

Sylvia Andrew

Demony
przeszłości

Rozdział pierwszy

Gorące promienie popołudniowego słońca wpadały przez szpary w okiennicach na werandzie. Serena niechętnie podeszła do okna, aby je domknąć. Dzień był upalny, a świeży wiatr znad morza zapewniał przyjemną ochłodę. Wróciła na miejsce i znieruchomiała w oczekiwaniu na reakcję gościa, któremu właśnie przedstawiła opracowany przez siebie plan.

- A zatem, lady P.? - spytała. Bardzo niewiele osób na wyspie mogło w ten sposób zwracać się do żony gubernatora. Serena z rodu Calvertów z Anse Chatelet, przez większą część życia bliska znajoma lady Pendomer, korzystała z tego przywileju.

- Moja droga, to się nie uda! Nawet nie podejrzewasz, jak wysokie koszty niesie za sobą uczestnictwo w londyńskim sezonie. Zapewniam cię, że dla nas były one aż nadto odczuwalne. Z przykrością muszę zauważyć, że twoja sytuacja nie pozwala ci wydać sumy choćby w części zbliżonej do niezbędnej.

Serena chłodno popatrzyła na starszą damę. Na lady Pendomer nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- Nie ma potrzeby, byś obdarzała mnie jednym ze spojrzeń

swojego ojca. Zrobiłabym ci niedźwiedzią przysługę, gdybym nie wypowiedziała się szczerze i otwarcie. Nie pora na owijanie w bawełnę, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Po prostu brak ci środków, aby się odpowiednio zaprezentować. Wierz mi, lepiej pozostać w domu, niż starać się zaistnieć na salo-
nach w sposób, który naraziłby cię na ostracyzm.

Serena uśmiechnęła się przekornie.

- Sugeruje pani, że brak mi stylu? - zapytała.

- Moja droga, brak ci niezbędnych funduszy. Jeśli pragniesz skupić na sobie uwagę towarzystwa, przede wszystkim musisz wynająć dom pod budzącym szacunek adresem i sprawić sobie modną garderobę: buty, wachlarze, szale i wszelkiego typu fatałaszkę. Poza tym nie poradzisz sobie bez służby, powozu i koni, w dodatku nie możesz liczyć na niczyje wsparcie ani gościnę. Kiedy wyekspediowaliśmy Caroline, przynajmniej mogliśmy zapewnić jej dach nad głową w Rotherfield House, u kuzynów Henry'ego. Ty nie jesteś w tak komfortowej sytuacji. A może lord Calvert pozostawił po sobie jakieś sekretne Eldorado, o którym nic mi nie wiadomo?

- Nie, testament ojca nie skrywał żadnych przyjemnych niespodzianek. Majątek rodzinny prezentuje się tak, jak to pani przedstawiła. Posiadłość zapewnia nam dochód wystarczający zaledwie na utrzymanie i coroczną spłatę części długu hipotecznego.

- A zatem nie uda się efektywniej wykorzystać twoich ziem uprawnych?

- Wątpię, by to było możliwe.

- Co wobec tego zamierzasz?

- Udało mi się odłożyć niewielką sumkę na czarną godzinę. W dodatku mam nieco biżuterii...

- Nie, Sereno! - przerwała jej lady Pendomer. - Nie wolno ci tego robić! Jeśli kiedyś wyjdiesz za mąż, biżuteria będzie twoim posagiem, a jeśli postanowisz zachować samodzielność, zapewni ci bezpieczną przyszłość.

- Nie musiałabym przecież sprzedawać wszystkiego. Może tylko naszyjnik Cardomanów...

- Naszyjnik Cardomanów! Wielkie nieba! Chciałabyś go sprzedać? Mówisz serio?

- Czemu nie? W końcu nie grzeszy urodą...

- Ależ mówimy o bezcennej biżuterii rodowej! Naszyjnik może i nie wydaje się piękny z perspektywy najnowszych trendów w modzie, lecz cokolwiek by mówić, liczy sobie ponad sto pięćdziesiąt lat. Ile rodzin może się pochwalić klejnotem podarowanym jednemu z antenatów przez samego króla? Niektórzy twierdzą, że król Karol poślubiłby Arabellę Cardoman, gdyby mógł. Nie wolno ci pozbywać się biżuterii! Zresztą i tak nie znalazłabyś nabywcy.

- Obawiam się, że jest pani w błędzie. Mam już chętnego. Co do rodziny... Czyżby zapomniała pani, że ja i Lucy jesteśmy ostatnie z rodu Calvertów? To nazwisko i tak zniknie, kiedy znajdziemy mężów... lub kiedy umrzemy. Lucy musi się stąd wydostać, nim będzie za późno. Utrata naszyjnika to nic w porównaniu z dramatem, który mógłby jej zagrozić. - Serena podeszła do skraju werandy, uchyliła jedną z okiennic i zapatrzyła się na morze. Gasnące słońce rzucało złocistą poświatę na fale przetaczające się leniwie w głąb zatoczki, której posiadłość zawdzięczała nazwę. - Wydaje się pani zaskoczona, że nie wyszłam za mąż. Gdyby jednak Caroline była zmuszona do pozostania na wyspie lub gdyby nie poznała lorda Dalcraiga

podczas sezonu w Londynie, czy życzyłaby sobie pani, aby przyjęła oświadczyzny od jednego z „atrakcyjnych kawalerów” na St Just? - Odwróciła się ku wieloletniej przyjaciółce i, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła: - Oczywiście, że nie. Miała pani dość rozumu, aby wyekspediować dzieci z naszej wyspy. Miejscowy klimat zdaje się fatalnie wpływać na mężczyzn. Jedni to słabeusze, kompletnie pozbawieni sił witalnych i wszelkiej inicjatywy, gotowi z ochotą podporządkować się każdemu, kto zechciałby nimi pokierować... A inni są samolubni, wstrętnei... - Nieoczekiwanie urwała i ponownie odwróciła się do okna. Po chwili milczenia dodała: - Lucy jest cudowną, wrażliwą dziewczyną. Nie pozwolę, by wyszła za kogoś, kto pozbawi ją tej wrażliwości, ani za kogoś, kim z czasem zaczęłaby gardzić.

- Jesteś niebywale surowa w ocenie śmietanki towarzyskiej naszej wyspy.

- Przyzna pani, że mam po temu wszelkie powody.

-Wiem, jak wielką wagę przywiązujesz do bezpiecznej przyszłości Lucy, i nie przeczę, że tutaj, na St Just, możliwości są ograniczone. Niemniej koszt takiego przedsięwzięcia jak sezon w Londynie dla dwóch osób...

- Och, ja zostanę!

- Jak to? A kto zaopiekuje się Lucy?

- Lucy zabierze ze sobą Shebę, ciocia Spurston zaś będzie pełniła rolę przyzwoitki. Nie mogłabym na tak długo przekazać spraw Anse Chatelet w obce ręce.

- Ależ koniecznie musisz jechać! - oświadczyła lady Pendomer stanowczo, zupełnie zapominając, że jeszcze przed chwilą protestowała przeciwko podróży do Londynu. - Jeśli wyprawa ta ma dojść do skutku, ty również musisz wziąć w niej udział.

Tak bardzo przejmujesz się przyszłością Lucy, a powinnaś też pomyśleć o własnej, prawda?

- Proszę dać spokój! - zachnęła się Serena. - Kto zechciałby dwa razy zaszczycić mnie spojrzeniem? Jestem panną w średnim wieku i brak mi posagu. Nie, musimy przede wszystkim zatroszczyć się o szczęście Lucy.

- Mogłabym się na ciebie pogniewać, gdybym nie wiedziała, jak usilnie walczyłaś o zachowanie Anse Chatelet w rodzinie. Masz niespełna dwadzieścia siedem lat i daleko ci do wieku średniego. Wyglądasz nieco mizernie, ale to dlatego, że o sobie nie dbasz. Mogłabyś być bardzo elegancką dziewczyną, gdybyś tylko nosiła odpowiednie stroje. Nawet jeśli bałam się o ciebie, kiedy byłaś dzieckiem, to teraz nie mam już żadnych powodów do niepokoju.

- Bała się pani o mnie? Lady P., czyżby chciała pani powiedzieć, że mnie nie akceptowała?

- Nie, obawiałam się o twoją przyszłość. Byłaś nieokrzesana, brakowało ci dyscypliny, nie panowałaś nad sobą. Wszystkie te wady bez wątpienia odziedziczyłaś po ojcu. W dodatku oboje byliście kompletnie zauroczeni Richardem... Przyznaję, na wszystkich nas robił wrażenie, ale w pewnej chwili stało się jasne, co to za typ. Potem już nikt go nie idealizował, tylko ty i twój ojciec. Potrafiłabym zrozumieć twoje zauroczenie, w końcu obaj bracia byli znacznie starsi od ciebie, lecz lord Calvert powinien mieć więcej rozumu.

- Zapłacił wysoką cenę za swoją ślepotę. Wszyscy ponieśliśmy surową karę.

- Wybacz mi. Nie chciałam przypominać ci zdarzeń z przeszłości. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś w Londynie zna-

lazła sobie odpowiedniego kawalera. Oceniasz siebie stanowczo zbyt nisko.

- Chodzi raczej o to, że cenię się aż nazbyt wysoko. - Serena uśmiechnęła się na widok pełnej niedowierzania miny rozmówcy. - Już wyjaśniam, w czym rzecz. Moi bracia przed śmiercią omal nie doprowadzili Anse Chatelet do ruiny. Wie pani dobrze, że zrobiliśmy wszystko, aby uratować majątek. Staram się zapewnić Lucy życie, jakie mnie nie było dane...

- Twoje losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej, gdybyś zamieszkała ze swoją babką cioteczną w Anglii. Dawno temu zaprosiła cię pod swój dach.

- Wiem i jestem jej za to wdzięczna. Sama jednak pani rozumie, że to nie było możliwe. Chodziło o Lucy... Gdy ojciec się starzał, coraz więcej obowiązków związanych z prowadzeniem posiadłości spadało na mnie. Po prostu nie było nikogo innego, kto mógłby się tym zająć. Uważam bez fałszywej skromności, że wywiązałam się z tego równie dobrze, jak mężczyzna i zdecydowanie lepiej, niż zrobiliby to moi bracia. Zapewniam panią, że po tych wszystkich latach nie zdecydowałabym się na zamażpójście i rezygnację z kierowania sprawami Anse Chatelet. Chyba że znalazłabym męża, któremu mogłabym zaufać i który radziłby sobie lepiej ode mnie. Jeśli nawet taki ktoś istnieje, w co wątpię, z pewnością wybierze sobie lepszą partię niż starzejąca się panna z podupadającą posiadłością na Karaibach.

- I ty twierdzisz, że cenisz się zbyt wysoko?

- Tak. Cenię się zbyt wysoko, aby godzić się na byle co. Zresztą, który mężczyzna zechciałby podzielić się z żoną władzą nad jej majątkiem? Czy mogłabym szanować kogoś takiego? - Serena uśmiechnęła się do lady Pendomer. - Nie, jestem

skazana na życie w staropanieństwie. A teraz porozmawiajmy o czymś innym. Lucy zjawi się tu lada moment.

Lady Pendomer nie dała się jednak zbyć.

- Bez względu na to, jakie głupstwa wygadujesz, Sereno, nadal uważam cię za znakomitą kandydatkę na pracownicę i kochającą żonę dla prawdziwego szczęściarza.

- Z pani opisu wynika, że jestem pospolitą nudziarą.

- Absurd, moja droga! Moim zdaniem byłaby z ciebie świetna żona, i tyle. Czy Will Norret nie mógłby pokierować sprawami Anse Chatelet przez rok? Pendomer będzie miał na niego baczenie. Wsparłabym cię, na przykład ułatwiłabym ci dobór garderoby. Tak sobie myślę, że Maria byłaby pomocna...

Pokojówka lady Pendomer niegdyś pracowała dla madame Rosy, znanej londyńskiej modniarki. Gdyby Maria uszyła suknie dla Lucy, mogłyby zaoszczędzić sporo pieniędzy. Lady Pendomer mówiła dalej:

- Co jednak najważniejsze, byłabym szczerze zdumiona, gdyby udało ci się przekonać Lucy, by jechała bez ciebie. Przemyśl to sobie, Sereno. Twój szalony plan z pewnością legnie w gruzach. Jeśli jednak zmusisz Lucy do samotnego wyjazdu...

- Sheba z nią będzie.

- Niewolnica!

- Sheba wcale nie jest niewolnicą, lady P.! To wolna kobieta. W Anse Chatelet nie ma niewolników.

- Niech ci będzie, lecz Sheba ma równie nikłe pojęcie na temat Anglii, jak Lucy. Niania nie sprawdzi się w roli opiekunki w obcym mieście. Jeśli, jak mówiłam, zmusisz Lucy do wyjazdu bez ciebie, wówczas okrutnie potraktujesz to biedne dziecko. Nie pomogę ci w realizacji tego zamiaru.

Po wyjściu lady Pendomer Serena nie mogła zebrać myśli. Nie umiała podjąć decyzji, co jej się nie zdarzało. Przez lata praktycznie samodzielnie kierowała majątkiem, gdyż jej ojciec, nominalnie głowa rodziny, zestarzał się i ciężko chorował. Potem zmarł i Serena stała się właścicielką Anse Chatelet. Sytuacja nie byłaby dramatyczna, gdyby nie dług hipoteczny, zaciągnięty w celu spłacenia wierzycieli rodziny. Serena żyła w bezustannym strachu, że któregoś dnia z powodu nietrafnej decyzji lub zwykłego niedopatrzenia nie spłaci raty kredytu. Przedstawiciel wierzyciela w Barbados nie pozostawił jej cienia złudzeń: jego mocodawca był gotów ją wywłaszczyć, i to jak najszybciej. Wyjazd z Anse Chatelet na cały rok i rezygnacja z wpływu na zarządzanie majątkiem byłyby szaleństwem.

Gdyby się jednak zastanowić... Lucy szybko dorastała. Jej osiemnaste urodziny zbliżały się nieuchronnie. Jeśli miała zostać przedstawiona londyńskiej śmietance towarzyskiej, należało wkrótce wyruszyć do Anglii. Uroda i wdzięk takiej dziewczyny nie mogły się marnować tutaj, na wyspie St Just. Skoro Caroline Pendomer, panna o nader umiarkowanych przymiotach, potrafiła podczas pierwszego sezonu zainteresować sobą majątnego dżentelmena tak szlachetnego rodu jak lord Dalcraig, to Lucy była skazana na sukces. Sukces zaś oznaczał bezpieczną przyszłość.

Parę minut później Lucy wbiegła na werandę.

- Sasha, jesteś! Joshua i cała reszta urządzają wyścigi krabów na plaży! Chodź, zobacz! - wykrzyknęła i chwyciła Serenę za rękę, aby pociągnąć ją za sobą.

- Lucy, zaczekaj! Muszę z tobą omówić pewną ważną sprawę. Ile razy mam powtarzać...

- ...żebyś zwracała się do mnie „ciociu Sereno”? - dokoń-

czyła Lucy jednocześnie z ciotką i tak jak ona zmarszczyła surowo czoło. - Była tutaj lady Pendomer.

- Skoro o tym wiesz, to dlaczego nie przyszłaś z nią porozmawiać?

- Nie wiedziałam. Zgadłam po twojej minie; rzadko bywasz taka naburmuszona. Chodź na plażę, Joshua nie będzie czekał w nieskończoność.

- Lucy, moje słonko, nie jesteś już dzieckiem... - Serena się zawahała, lecz mówiła dalej: - Wiesz, że zawsze starałam się robić to, co dla ciebie najkorzystniejsze...

- Na litość boską, co za marsowa mina! Cóż takiego naopowiadała ci lady P.?

- Nic, co powinno ci zaprzętać głowę. Pora jednak, byśmy porozmawiały o twojej przyszłości. Myślałam o londyńskim sezonie, abyś mogła zadebiutować.

Lucy zrobiła wielkie oczy i raptownie usiadła na stołku obok Sereny.

- Przecież nie możemy sobie na to pozwolić - szepnęła.

- Owszem, możemy. Wystarczy to rozsądnie zaplanować. Zamierzam sprzedać naszyjnik Cardomanów.

- Ależ to dziedzictwo Calvertów!

- Och, wybacz mi, Lucy, byłam pewna, że ten naszyjnik ani trochę ci się nie podoba - oznajmiła Serena niewinnie.

- Oczywiście, jeśli wolisz go zachować, to nie ma o czym mówić.

- Moim zdaniem, jest odrażający! Tyle że od niepamiętnych czasów stanowi własność rodziny.

- Twój dziadek nosił się z zamiarem spieniężenia naszyjnika, lecz nie zdążył tego zrobić przed śmiercią. Za ten drobiazg mogłybyśmy uzyskać okrągłą sumkę, która z nawiązką wy-

starczyłaby na pokrycie naszych wydatków. Jaki lepszy użytek można zrobić z tak nieładnej biżuterii?

- Sasha, ten naszyjnik należy do ciebie. Nie mogę korzystać ze sprzedaży twojej własności.

- Dlaczego nie? Jesteśmy ostatnie z rodu Calvertów, Lucy, i jeśli nie chcesz, abym w twoim imieniu przechowywała naszyjnik do czasu, aż osiągniesz pełnoletność, to moim obowiązkiem jest sprzedać go w imię szczytnego celu. - Serena uśmiechnęła się z czułością, widząc, jak wątpliwości Lucy zamieniają się w entuzjazm. Podekscytowana dziewczyna nie wytrzymała i rzuciła się ciotce na szyję.

- Och, dziękuję! - wykrzyknęła. - Nawet mi przez myśl nie przeszło, że kiedykolwiek ujrzę Anglię. Och, Sasha! Marzyłam o wyjeździe do Londynu, ale nie wierzyłam, że te marzenia się ziszczą. Będę debiutantką! Londyn! Och, kiedy wyruszamy?!

- Zaraz, spokojnie. Wcale nie jestem pewna, czy mogę ci towarzyszyć. Nawet po spieniężeniu naszyjnika nie będziemy dysponowały zasobami, które wystarczyłyby do zaspokojenia wszystkich naszych potrzeb i zachcianek. Z tego względu musimy postępować rozsądnie. Będziesz potrzebowała ubrań, lekcji dobrych manier, stosownej wiedzy. Gdybym miała zabrać się z tobą, również musiałabym sprawić sobie suknie i rozmaite dodatki. Bez obawy, nie pojedziesz sama, będzie ci towarzyszyła Sheba. Ponadto jestem pewna, że ciocia Spurston znacznie lepiej niż ja wprowadzi cię w kręgi towarzyskie. Zresztą, wiesz doskonale, że muszę na miejscu dbać o nasze ziemie.

- Potrzebuję twojej opieki i wsparcia. Bez ciebie sobie nie poradzę. Nie mogłabyś choć raz zapomnieć o Anse Chatelet?

- Anse Chatelet to nasz jedyny kapitał, Lucy. Jest nieporów-

nanie ważniejszym elementem rodzinnego dziedzictwa niż naszyjnik Cardomanów. Nie wolno o tym zapominać. - Serena widziała, jak z twarzy Lucy znika radość i nadzieja.

- Oczywiście - przyznała dziewczyna cicho. - Jestem nie-mądra. Skoro jednak nie możemy wspólnie wybrać się do Anglii, to obie zostaniemy w posiadłości.

Lucy wyszła, a Serena ciężko westchnęła. Było gorzej, niż zakładała. W pierwszym momencie chciała biec za bratanicą, lecz zmieniła zdanie. Lucy miała impulsywne usposobienie, lecz zasadniczo kierowała się rozsądkiem. Serena postanowiła dać jej czas na przemyślenia.

Następne tygodnie dowiodły, jak poważny błąd popełniła Serena w ocenie podopiecznej. Lucy pozostała nieugięta i konsekwentnie odmawiała wyjazdu do Londynu bez ukochanej opiekunki i towarzyski. Argumenty, perswazje, groźby, wszystko zdało się na nic. Lucy oznajmiła, że bez cioci nie potrafiłaby się cieszyć wyjazdem i równie dobrze obie mogą żyć w staropanieństwie na St Just. Gdy Serena zwróciła się do lady Pendomer o wsparcie, przyjaciółka oznajmiła:

- Nigdy nie byłam skłonna oświadczać triumfalnie „A nie mówiłam?” niemniej przestrzegałam cię, że do tego dojdzie. Nieposłuszeństwo Lucy względem ciebie zasługuje na dezaprobatę, lecz w gruncie rzeczy zgadzam się z nią. Albo obie wyruszyście do Anglii - znasz moje wątpliwości w tej sprawie - albo Lucy zadowolony się tym, co jest dostępne na St Just.

Serena słabła w swoim postanowieniu, kiedy na wyspę dotarł list z Anglii, który definitywnie przesądził sprawę. Babka cioteczna Spurston zaproponowała, by obie zatrzymały się pod jej dachem w Surrey. Była też gotowa pomóc w przygotowaniach do towarzyskiej prezentacji Lucy. Problem w tym,

że lekarz stanowczo zabronił starszej pani udziału w imprezach sezonu, wobec czego Serena musiała towarzyszyć Lucy jako przyzwoitka.

Lady Pendomer dokładała wszelkich starań, aby ułatwić im wyjazd. Napisała do przyjaciół w Londynie, poprosiła męża, żeby zechciał nadzorować Willa Norreta, zarządcę plantacji, a przede wszystkim zleciła swojej pokojówce uszycie kilku sukien. Naszyjnik szybko znalazł nabywcę i przygotowania do wyjazdu do Anglii ruszyły pełną parą.

Debiut Lucy miał ogromne znaczenie zarówno dla niej samej, jak i dla jej ciotki. Obie dowiedziały się jednak ze zdumieniem, że w miejscu odległym o ponad sześć tysięcy kilometrów ktoś niecierpliwie czeka na ich wypłynięcie z Anse Chatelet i przybycie do Londynu.

Rozdział drugi

Dla obserwatora o wyrobionym oku nie ulegało wątpliwości, że dżentelmen podążający Grosvenor Square w kierunku Upper Brook Street jest niewątpliwie zamożny. *Eleganckie spodnie i granatowy płaszcz miały prosty krój*, lecz były doskonale uszyte. Nakrochmalony fular został spięty kosztowną brylantową szpilką. Nieznajomy miał laskę dyskretnie obitą złotem oraz pierwszorzędne, wypolerowane na błysk buty. Włosy uczesane tak, żeby sprawiać wrażenie potarganych, wystawały spod czapki z futra bobra. Człowiek ten nie był jednak modnisiem. Miał szerokie bary i sprężystą sylwetkę, otaczała go aura władczości. Widać było, że nawykł do wydawania rozkazów. Wielu nazwałoby go przystojnym, lecz w jego błękitnych oczach czaił się chłód, a pięknie wyrzeźbione usta sprawiały wrażenie wrogo zaciśniętych.

Dżentelmen skręcił ku jednemu z domów na samym końcu ulicy, gdzie w drzwiach powitał go Wharton, kamerdyner, oraz dwóch służących.

- Wharton, przynieś butelkę madery do biblioteki. Spodziewam się wizyty pana Bradpole'a. - Pan domu nie miał

nic więcej do dodania. Jeden ze służących z pokorą przyjął czapkę i laskę.

- Tak jest, wasza lordowska mość. Czy przed przyjściem pana Bradpole'a wasza lordowska mość zechce zapoznać się z treścią tej informacji?

Lord Winterset (tak się bowiem nazywał wyniosły dżentelmen) przyjął wręczoną mu przez kamerdynera wizytówkę i zerknął na nią dość obojętnie.

- Wharton, kiedy przyszedł pan Fothergill?

- Wkrótce po tym, jak wasza lordowska mość raczył wyjść.

- Jeśli znowu się zjawi, powiedz, że nie ma mnie w domu.

Gdy lord Winterset zamknął za sobą drzwi biblioteki, a Wharton znikł w piwnicy na wino, obaj służący powrócili do pomieszczenia na tyłach domu. Tam zrezygnowali z zawodowej sztywności i przybrali bardziej ludzkie miny.

- Zimny jak trup, co nie? - zagadnął młodszy. - Ciekawe, czy stary Fothergill wyzwie go na pojedynek.

- Na pewno nie, jeśli mu życie miłe. A ty, Percy, pilnuj własnego nosa. Gdyby Wharton cię słyszał, nie popracowałbyś długo w służbie u jego lordowskiej mości. I nic by nikogo nie obeszło, że jesteś chłopakiem mojej rodzonej siostry.

- No to co? Wzruszyłbym ramionami i poszedł swoją drogą. Jego lordowska mość jest taki zimny, że aż ciarki przecho-
dzą, gdy się przy nim stoi. Nie mam pojęcia, co w nim widzą te wszystkie damy.

- Jego majątek, ot co. Cóż z tego, że jego lordowska mość jest oschły i chłodny, skoro uczciwy z niego człowiek? Mogłeś trafić gorzej, znacznie gorzej. Poza tym, co ci przyszło do głowy z tym Fothergillem? Czemu miałby wyzywać jego lordowska mość na pojedynek?

- Myślałem, że wiesz. Powiadają, że nasz pan uwiódł córkę starego.

- Niemożliwe! Znowu kombinują?

- Jak to?

- Idę o zakład, że ktoś chce naciągnąć jego lordowską mość. Fothergillowie nie są pierwszymi, którym marzy się fortuna Wintersettów i dlatego próbują szantażu. Nic im to jednak nie da. Skończą tak jak inni. Z jego lordowską mością nie ma żartów.

- Chcesz powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że dość już częściej gadaniny i pora wracać do roboty. Ruszaj, młodzieńcze, słyszę powóz! To na pewno Bradpole.

- Co to za jeden?

- Prawnik, kurzy mózdzku!

Gdy tylko minęli próg sieni, ponownie przybrali miny pełne powagi, a następnie stanęli przy prowadzących na ulicę drzwiach.

Pan Bradpole został powitany z należnym szacunkiem, a następnie skierowany do biblioteki, gdzie lord Wintersett na niego czekał. Na początek zamienili kilka słów na tematy rodzinne, a potem prawnik przyjął podsunięty mu kieliszek madery. Gospodarz zaproponował mu wygodne miejsce w fotelu przy kominku.

- Milordzie, dysponuję informacjami, które z pewnością pana zainteresują.

- Mianowicie?

- Wieści pochodzą od naszego agenta na Karaibach.

Lord Wintersett zmarszczył czoło.

- Mów dalej.

- Lord Calvert nie żyje. Zmarł pod koniec maja.

Lord Winterset wstał i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek madery.

- Wypiję za to - oświadczył. - Niech go diabli!

- Milordzie!

- Och, wszystkich nas porwą diabli, Bradpole, w to nie wątp, ale, moim zdaniem, on szczególnie na to zasłużył. Kto dziedziczy?

- Jego córka.

- Sasha Calvert. Wyszła za mąż?

- Nie.

- Marna szansa, by jeszcze zdążyła to uczynić. Jej wdzięki z pewnością przywiędły, jeśli w ogóle kiedykolwiek miały się czym pochwalić. Pobyt w tropikach fatalnie wpływa na kobiety, a ona musi dobiegać czterdziestki. W każdym razie na pewno będzie po trzydziestce. Jej majątek jest mizerny, jak podejrzewam. Chętnie wypiję za to, by i ją diabli wzięli!

- Milordzie, muszę zaprotestować. Żaden z nas nawet nie zna tej kobiety.

- Och, Bradpole, wiem, co mówię.

- Milordzie - przemówił prawnik z powagą - czy kiedykolwiek brał pan pod uwagę, że pani Stannard, pańska bratowa, mogła pod wpływem wzburzenia przeinaczyć nieco fakty podczas opisywania okoliczności niefortunnej śmierci pańskiego brata Anthony'ego? Do zdarzenia doszło przed wielu laty... Trzynastu, jeśli mnie pamięć nie myli. Czy nie byłoby lepiej zapomnieć o przeszłości? Ostatecznie lord Calvert i jego synowie nie żyją.

-Żyje jednak Sasha Calvert, Bradpole. Powiadasz, że wszystko odziedziczyła?

-Jest jeszcze wnuczka, dziecko Rodneya Calverta. Ona jednak nie ma udziałów w posiadłości, dysponuje zaledwie skromną kwotą. Jak rozumiem, panna Calvert jest jej opiekunką.

Lord Winterset spoznał uważnie na rozmówcę.

- Nie żywię urazy do wnuczki. - Usiadł po drugiej stronie kominka. - Zatem Sasha Calvert jest teraz panią na Anse Chatelet. Pytanie jak długo? Po śmierci jej ojca posiadłość jest skazana na upadek.

- Ze słów naszego agenta na Barbados wywnioskowałem, że panna Calvert zarządza posiadłością już od kilku lat. Nasz informator jest pełen podziwu dla jej osiągnięć, odwagi i siły woli. W ostatnich latach Anse Chatelet stało na nogi.

- Widać mamy do czynienia z damą wszechstronnie uzdolnioną. Nie wierzę jednak, by zawsze udawało się jej radzić sobie tak sprawnie, jak teraz. Posiadłość pozostanie w jej rodzinie pod warunkiem, że dług hipoteczny będzie na bieżąco spłacany. Pieniądze muszą trafiać do wierzyciela w wyznaczonych dniach. - Lord Winterset zacisnął usta. - Nie ma mowy o przekładaniu terminów, nikt nie będzie wysłuchiwał błagań damy w opałach.

- Czy mam rozumieć, milordzie, że chciałby pan przy pierwszej sposobności pozbawić pannę Calvert prawa do Anse Chatelet?

- Nie tylko chciałbym, Bradpole. Ja to uczynię. Przyjdzie dzień, kiedy noga się jej powinie, a wówczas postawię na swoim.

- Milordzie, zanim do tego dojdzie, z pewnością zmieni pan zdanie - oświadczył pan Bradpole z powagą. - Szczerze wątpię, by osoba pańskiego pokroju znajdowała przyjemność w tego typu zwycięstwie.

-W tej całej sprawie nie ma nic przyjemnego. Calverto-
wie zrujnowali życie mojej rodziny. Wiesz o tym równie do-
brze, jak ja.

- A w odwecie dołożył pan wszelkich starań, milordzie, by doprowadzić do upadku Anse Chatelet. - Prawnik staran-
nie dobierał słowa. - Jak pan sądzi, czy pańskie poczynania poprawią samopoczucie pańskiej matce? A może pani Stan-
nard będzie dzięki temu szczęśliwsza? Lub pański bratanek od-
zyska władzę w nogach?

- Bradpole - odezwał się lord lodowatym tonem - two-
ja rodzina od lat służy Wintersettom. Jesteś jedną z nielicz-
nych osób na świecie, którym ufam. Nie będę jednak tolero-
wał twoich wątpliwości. Czy wyrażam się jasno? Zamierzam
pozbawić Sashę Calvert domu.

Pan Bradpole w milczeniu zabrał się do składania doku-
mentów.

- Na litość boską, Bradpole, dlaczego tak zażarcie bronisz
tej kobiety? To ladacznica, brak jej wstydu i przyzwoitości.
Mój biedny brat tak bardzo się wstydził, że padł jej ofiarą... -
Lord Winterset zaklął i odwrócił się do okna. - Ogólnie bio-
rąc, nie widzę powodu, by podziwiać innych ludzi - mówił
ze wzrokiem wbitym w przestrzeń za szybą. - Poza paroma
wyjątkami są mi całkowicie obojętni. Tony jednak był... nie-
powtarzalny. Łagodny uczony, który kochał świat w chwilach,
gdy go zauważał, rzecz jasna. Mógłbym przysiąc, że właśnie
dlatego się zastrzelił. Zrujnował swoje małżeństwo, i to w do-

datku ze wspaniałą kobietą. Nic dziwnego, że nie mógł potem żyć.

Pan Bradpole otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz szybko je zamknął, gdy lord Wintersettt się odwrócił.

- Życzę sobie, byś mnie informował o wszelkich sprawach związanych z St Just. Czy wyrażam się jasno?

- Oczywiście, milordzie. Zadbam o to. Jak rozumiem, pan-na Calvert nosi się z zamiarem sprowadzenia bratanicy do Londynu, aby dokonać jej prezentacji podczas najbliższego sezonu.

- Sasha Calvert w Londynie? Wybornie. Nie dość, że Anse Chatelet pozostanie praktycznie bez opieki, to w dodatku pan-na Calvert znajdzie się w moim zasięgu. Co więcej, na moim terenie. Świetnie! Daj mi znać, gdy zjawi się w Londynie.

Pan Bradpole opuścił pokój z obojętną miną, lecz gdy tylko znalazł się przed domem, na jego obliczu pojawiła się troska. Wiedział, jak bardzo lord Wintersettt przejął się śmiercią brata. Jako prawnik, sądził, że cała prawda jeszcze nie ujrzała światła dziennego, i wielokrotnie usiłował przekonać klienta do zajęcia bardziej umiarkowanego stanowiska. Lord Wintersettt był sprawiedliwy i potrafił wydawać obiektywne, bezstronne osądy. W tej jednej sprawie zachowywał się jednak w sposób niedający możliwości nawiązania dyskusji. Pan Bradpole powrócił do domu pełen złych przeczuc.

Źle się stało, że wyjazd pana Bradpole'a zbiegł się w czasie z powrotem pana Fothergilla, gdyż dżentelmen ten skorzystał z okazji i dotarł przed oblicze lorda Wintersetta. William i Percy pozbyliby się go, lecz lord Wintersettt tylko westchnął z rezygnacją, sam wprowadził gościa do biblioteki i zamknął drzwi.

- Panie Wintersett, przybywam żądać satysfakcji! - usłyszał.

- Pistolety czy szable, drogi panie?

. Fothergill się zająknął.

- Nie, na Boga, źle mnie pan zrozumiał. Co innego miałem na myśli. Otóż ja i moja żona... Oczekujemy, że oświadczy się pan naszej małej Amabel po tym, w jakiej sytuacji znalazła się wczoraj wieczorem za pańską sprawą.

- Zaskakuje mnie pan, Fothergill - rzekł lord Wintersett.
- Żyłem w przekonaniu, że to Amabel sama wpakowała się w „sytuację”, jak to raczył pan ująć.

- Amabel nie zgodziłaby się na nic podobnego bez zachęty. To porządna dziewczyna i na pewno nie zamknęłaby się w prywatnym pokoju sam na sam z mężczyzną o pańskiej reputacji. Moja córka wie, czego się od niej oczekuje.

- Och, pod tym względem całkowicie się z panem zgadzam, Fothergill - odparł lord Wintersett z ironicznym uśmiechem.
- W rzeczy samej, niesłuchanie pojętna z niej uczennica. Kto ją szkolił? Pańska żona?

- Cóż mają znaczyć te słowa?!

- Mają znaczyć tyle, że nie jestem półgłówkiem, za jakiego mnie pan uważa. Gdybym był na tyle niedoświadczony, by dać się złapać na takie sztuczki, już od bardzo dawna miałbym żonę. Proszę mi wierzyć, mało która dama jest w stanie mi się oprzeć.

- Jest pan z tego dumny, czyż nie?

- Ani trochę. Uważam, że to wyjątkowo nużące. Wszystkie te damy kusi moje bogactwo, nie ja sam. Zapewniam pana, Fothergill, cokolwiek naopowiadała panu żona, nie naraziłem na szwank dobrego imienia pańskiej córki. W najgorszym

wypadku ktoś mógłby zarzucić pańskiej pociesze drobną niestosowność, a to można złożyć na karb młodzieńczego zapału. Niech pan ma świadomość, że jej szanse na znalezienie godnego szacunku partnera życiowego spadną do zera, jeśli rozejdzie się wieść o tym, jak mnie pan nachodził dzisiejszego poranka.

- Ale prywatny pokój! Moja żona powiedziała... i pańska reputacja...

- Nie uwodzę niewinnych dziewcząt. W rezydencji lady Glastonbury pańska córka bez mojej wiedzy i zgody podążyła za mną do ogrodu zimowego, który trudno nazwać prywatnym pokojem. Nie miałem pojęcia, że za mną poszła, a mówienie o zachętach z mojej strony jest absurdem. Moim zdaniem, pańska córka ma tego świadomość. Proszę wracać do żony i powiedzieć jej, że nie jestem wart względów panny Amabel i że ona mnie nie interesuje. To ładna dziewczyna i powinna poszukać szczęścia gdzie indziej.

- Ależ...

- Mój człowiek odprowadzi pana do drzwi. Ta wizyta nieznośnie się przedłuża. Jeszcze jedno, Fothergill. Jest mi obojętne, co towarzystwo myśli na mój temat. Ostrzegam jednak, że podtrzymując te oskarżenia, narazi się pan na jeszcze większą śmieszność.

Po wyjściu Fothergilla znużony lord Winterset westchnął ciężko. Tego rodzaju rozmowa jak ta sprzed chwili nie była dla niego pierwszozną. W Londynie roiło się od ładnych i głupiutkich pańienek, których najważniejszą, jeśli nie jedyną ambicją życiową było poślubienie bogatego mężczyzny. Myśl o małżeństwie z taką istotą budziła w nim odrazę, wie-

dział jednak, że wkrótce powinien znaleźć sobie żonę. Z całą pewnością nie mógł przekazać młodemu Tony'emu tytułu i obowiązków związanych z prowadzeniem posiadłości. Chłopak, delikatny od urodzenia, teraz był przykuty do wózka inwalidzkiego. Winterset zmarszczył brwi na myśl o bratanku. Może powinien poświęcać mu więcej uwagi? Mały był inteligentny, ale niesłuchanie rozpieszczony. Alanna pozwalała mu zdecydowanie na zbyt wiele.

Ponure rozmyślenia lorda przerwał następny nieoczekiwany, choć zdecydowanie mile widziany gość. Na twarzy lorda Wintersetta pojawił się pogodny uśmiech, gdy na progu stanął lord Ambourne.

- Ned! Co tu robisz? Czy lady Ambourne jest z tobą, czy też możesz zjeść ze mną kolację? Dobrze, że jesteś, przyjacielu, bardzo dobrze. Właśnie zacząłem popadać w melancholię...

- Mogę zjeść z tobą kolację i z pewnością to uczynię. Perdita jest w Ambourne, nadzoruje pakowanie. Za trzy dni wyruszamy do Francji.

- Wyśmienicie. Wobec tego dokąd się wybierzemy? A może wolisz przekazać coś na miejscu? Albert z pewnością przyrzadzi coś wybornego. Mogę też uraczyć cię wyjątkowo zacnym burgundem.

Ostatecznie stanęło na tym, że lord Ambourne zostanie na kolacji przy Upper Brook Street. Lord Winterset wydał stosowne polecenia i obaj panowie zasiedli w wygodnych fotelach przed kominkiem, z butelką wina pod ręką.

- Co się stało, James? Pozwól mi zgadnąć: Fothergill?

- Słyszałeś o tej sprawie? Och, to drobiazg. Przywykłem.

- Z tego, co mi wiadomo, nie byłeś przesadnie uprzejmy dla tej młodej damy.

- W rzeczy samej, raczej nie. Gdybym był, przysłałaby się do mnie niczym pijawka, a wówczas sytuacja stałaby się znacznie trudniejsza. Teraz dziewczę dojdzie do siebie i po krzyku.

Lord Ambourne zawahał się, lecz postanowił chwycić byka za rogi.

- Pewnie tak - przytaknął. - Były jednak takie, które nie poradziły sobie z publicznym upokorzeniem. James, czy musisz być taki brutalny? Ani ja, ani Perdita nie jesteśmy zachwyceni tym, co się na twój temat wygaduje.

- Nie interesuje mnie to, co mówią ludzie. Ty też powinieneś puszczać plotki mimo uszu. - James rzucił okiem na Edwarda. - Przejmuję się tym, co ty o mnie sądzisz. Ty i twoja rodzina, Ned. Czy naprawdę jestem takim potworem?

- Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie wyobrazić, ale też najchłodniejszym człowiekiem pod słońcem - oświadczył. - Może znajdziesz sobie żonę?

James uśmiechnął się drwiąco.

- Uważasz, że dzięki temu bardziej pokocham ludzi?

- Niekoniecznie, ale przynajmniej te biedne gaśki trzymałyby się od ciebie z daleka. Wiesz, już teraz żal mi twojej przyszłej żony. Ale przecież...

- Co przecież?

- Przecież możesz znaleźć kogoś takiego jak Perdita.

- Wykluczone! Perdita jest wyjątkowa. Gdybyś pokazał mi kogoś takiego jak ona, z miejsca bym się oświadczył. Spełniłeś już swój obowiązek, więc zmienmy temat. Powiedz mi, co porabiałeś.

Tego samego wieczoru, gdy lord Ambourne powrócił do Rotherfield House, James wciąż rozmyślał nad słowami przy-

jaciela. Ned miał słuszną potrzebę żony. Obiecał sobie, że po definitywnym zakończeniu sprawy Calvertów poszuka odpowiedniej debiutantki, w miarę możliwości jak najmniej głupiej, i poprosi ją o rękę, by urodziła mu kilku dziedziców. Tymczasem zamierzał cierpliwie czekać, aż Sasha Calvert zjawi się w Londynie.

Rozdział trzeci

Serena usiłowała okazywać uprzejme zainteresowanie, choć już po raz trzeci w ciągu ostatnich pięciu minut zastanawiała się, jak długo będzie do tego zmuszona. Goście siedzieli w salonie jej babki ciotecznej, nieco przygnębiającym pomieszczeniu, które wydawało się jeszcze bardziej ponure z powodu szarego nieba za oknem. Serena i Lucy mieszkały u lady Spurston od dwóch tygodni i przez ten czas słońce ani razu się nie pokazało. Pomimo płonącego w kominie ognia w pokoju panował chłód, którego pani Galveston i jej córka zdawały się nie dostrzegać. Serena przez moment się zamyśliła, gdyż pani Galveston, zamożna wdowa w śliwkowych jedwabiach i imponującym kapeluszu, akurat dała jej spokój i zajęła się indagowaniem Lucy. Panna Eliza Galveston nieśmiało prezentowała lady Spurston aksamitną sakiewkę. Nerwowo wykręcała przy tym troczki, czujnie zerkając na boki, jakby w obawie, że ktoś podsłucha jej opowieść o własnoręcznym wyszywaniu torebki. Pani Galveston należała do grona najbliższych przyjaciółek babki ciotecznej Sereny i wywodziła się z jednej z najważniejszych rodzin w hrabstwie. Lady Spurston podkreśliła,

że należy jej okazywać względy z kilku powodów - przede wszystkim dlatego, że jej starsza córka Maria jest żoną arystokraty, a wnuczka właśnie przymierza się do debiutu.

Choć Serenę bawiła dociekliwość wdowy, Lucy mogła poczuć się onieśmielona. Na szczęście radziła sobie nieźle i odpowiadała na pytania z czarującą skromnością. Było to o tyle niełatwe, że niektóre uwagi pani Galveston mogły zostać uznane za natrętne, nawet wśród „kolonistów”.

- Sereno? - W głosie lady Spurston zabrzmiała przygana.
- Panna Galveston pyta o roślinność Jamajki.

• - Panno Calvert, muszę wyznać, że jestem zapaloną wielbicieleką przyrody. W domu zgromadziłam sporą kolekcję sprasowanych kwiatów, prawda, mam? Chętnie je pokażę...

Zanim Serena zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, pani Galveston uznała za stosowne wtrącić:

- Panno Calvert, proszę jej nie zachęcać. Ta dziewczyna stanowczo zbyt dużo czasu spędza przy swoich zbiorach. Co jednak ma robić taka biedna głuptaska? Interesuje ją jeszcze tylko mazanie farbą po aksamicie. - Skierowała wzrok na lady Spurston i ogłosiła werdykt: - Panna Lucy jest urocza i gdy uzyska nieco ogłady, ma szansę na dobrą partię. Zastrzeżenia budzi jedynie fakt, że panna Calvert jest jedyną przyzwoitką swojej bratanicy.

- A to dlaczego! - osłupiała Serena. - Jedna przyzwoitką w zupełności wystarczy.

Pani Galveston zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem.

- Cokolwiek się uważa w koloniach, panno Calvert, przyzwoitką bezwzględnie powinna być mężatką. Nie ma pani męża, jak mniemam?

- Nie, ale zdecydowanie osiągnęłam stateczny wiek.

- Żadna stara panna, bez względu na wiek, nawet obecna tu Eliza —a ona niewątpliwie dożyła wieku średniego, wręcz go przekroczyła - nie może być jedyną przyzwoitką młodej dziewczyny. Nie jest to dobrze widziane w kręgach, w których, jak sądzę, chciałaby się pani obracać. Źle się składa, że niedyspozycja pańskiej babki ciotecznej uniemożliwia jej towarzyszenie pani w Londynie. Bez przyzwoitki debiut się nie powiedzie.

Serena nie kryła konsternacji. Czyżby jej misterny plan zapewnienia bratanicy szczęśliwej przyszłości legł w gruzach? Pani Galveston z zadumą popatrzyła na Lucy, a potem ponownie na Serenę.

- Być może panna Lucy powinna poznać moją wnuczkę i jej matkę, lady Warnham. Maria ma trociny w głowie, zupełnie jak Eliza - fortuna poskąpiła mi bystrych córek - lecz przynajmniej dobrze wyszła za mąż. Isabella jest w wieku pani bratanicy i w tym samym czasie debiutuje. Kto wie, może coś zaaranżujemy... Zobaczymy. - Z nieskrywaną dezaprobatą zerknęła na skromną suknię Sereny. - Może i dla pani znalazłby się mąż, panno Calvert... Jakiś szanowany wdowiec, dajmy na to. Ależ ma pani okropnie spaloną słońcem cerę, niezwłocznie podeślę pani nieco maści Gowlanda. Tutaj, w Surrey, nie ma odpowiednich środków, ale na szczęście przywozłam zapas z Londynu. Po zastosowaniu na noc ma szansę naprawić część szkód spowodowanych niekorzystnym działaniem tropikalnego słońca. - Ponownie spojrzała na suknię Sereny, lecz powstrzymała się od uwag i pożegnała się z Sereną oraz Lucy, a lady Spurston pocałowała w policzek. W drzwiach przystanąła i oświadczyła: - Dorothy, dopił-

nij, aby panna Calvert zażywała ekstraktu wołowego doktora Massingera. Jest stanowczo zbyt chuda. Idziemy, Elizo! - Po tych słowach oddaliła się zdecydowanym krokiem.

Gdy pani Galveston wyszła, Lucy nie wytrzymała i powiedziała porywczo:

- Wolałabym umrzeć, niż spędzić jeszcze sekundę w towarzystwie tej kobiety! Sasha, błagam cię z całego serca, nie kontaktuj się z nią w żadnej sprawie!

- Dość! - przykazała lady Spurston ostrym tonem. - Pani Galveston okazuje ci uprzejmość i interesuje się tobą, choć nie musi. Ma znakomite koneksje i mogłabyś mówić o sporym szczęściu, gdyby postanowiła pomóc przy twoim debiucie. Powinnaś trzymać na wodzy swój niewyparzony język. Bezczelne dziewczęta nie mają co liczyć na akceptację.

- Najdroższa ciociu - odezwała się Serena pośpiesznie, zanim Lucy zdołała cokolwiek odpowiedzieć - po dzisiejszym popołudniu z pewnością się zgodzisz, że Lucy potrafi zachowywać się uprzejmie i dyskretnie, bez względu na to, jakiej prowokacji musi stawić czoło.

- Prowokacji!? O jakiej prowokacji mówisz?

- Przecież pytania pani Galveston nie były na miejscu.

- Sereno, pani Galveston wykazała całkowicie naturalne zainteresowanie i w podobny sposób traktuje wszystkich swoich rozmówców. Musiała przecież się upewnić, że obie jesteście godne jej asysty. Ostatecznie ma do czynienia z młodą dziewczyną z kolonii, o mizernym posagu, oraz z jej skromną ciotką.

- Mimo wszystko jesteśmy Calvertami z Anse Chatelet, ciociu Spurston - zauważyła Serena, przeczulona na punkcie rodzowego nazwiska. - Sądziłam, że jesteśmy dostatecznie

wiarygodne dla każdego, także dla osób o doskonałych koneksjach.

- Poza tym pani Galveston jest nieuprzejma! - wykrzyknęła Lucy. - Sasha nie potrzebuje jej maści Gowlanda ani ekstraktu wołowego!

- Ile razy mam powtarzać, żebyś zwracała się do ciotki Sereny, używając stosownego tytułu? Pani Galveston jest nieco bezpośrednia, niemniej niezwykle doświadczona. - Lady Spurston zerknęła na przygnębioną Lucy i dodała łagodniej: - Jestem pewna, że lubisz swoją ciotkę i nie chciałabyś, aby jej wysiłki poszły na marne. Dlatego powinnaś dołożyć starań, żeby spełnić wymogi stawiane młodym dziewczętom z wyższych sfer. A teraz chciałabym zamienić z twoją ciotką parę słów na osobności.

Lucy spojrzała na Serenę, skinęła głową i niechętnie wyszła.

- Dlaczego przypłynęłaś do Anglii? - zapytała lady Spurston.

- Dobrze wiesz dlaczego, ciotciu. Pragnę, aby Lucy poznała mężczyznę, którego chciałabym widzieć u jej boku przez resztę życia.

- A twoje plany matrymonialne?

- Pani Galveston może skupić uwagę wyłącznie na Lucy. Tak czy owak, wszelkie próby znalezienia mi męża byłyby bezsensowne. Nie wyobrażam sobie, by jakiś mężczyzna mógł się mną zainteresować. Mam za mały posag, aby przykuć uwagę kogoś, komu zależy na bogatej partnerce. Nie jestem już młoda i nie wyglądam atrakcyjnie, zatem romantyk minie mnie obojętnie. W dodatku brakuje mi potulności i pokory, by zaspokoić wymagania kogoś, komu potrzebna żona

do prowadzenia gospodarstwa domowego. Nie, moje ambicje sprowadzają się wyłącznie do zapewnienia Lucy szczęścia i stabilizacji. Potem wracam do Anse Chatelet.

- Aby umrzeć tam w staropanieństwie. Nieszczególnie zachęcająca perspektywa.

- Obawiam się, że to jedyne, co mi zostało.

Lady Spurston przez chwilę rozmyślała.

- Wcale nie jestem przekonana, że masz rację - oświadczyła w końcu. - Chwilowo jednak chciałabym porozmawiać o przyszłości twojej bratanicy. Lucy to śliczna dziewczyna. Nie wątpię, że znajdzie dobrą partię. Rzecz w tym, że ludzie będą oceniali ją także na podstawie twojego zachowania. Ostatecznie jesteś jej opiekunką. Jeśli chcesz, aby obracała się w najlepszym towarzystwie, musisz zwrócić uwagę na własny strój i maniery. Ta niewolnica, którą przywiozłaś z St Just - Bathsheba...

- Sheba została wyzwolona, ciociu. Mogła pozostać na St Just, lecz postanowiła przyplłynąć z nami, bo uważa, że bez niej sobie nie poradzimy - wyjaśniła Serena z uśmiechem.

- Kimkolwiek jest, dobrze ubiera Lucy. Dlaczego ty nie miałabyś skorzystać z jej pomocy?

- Raczej nie poproszę jej o wsparcie.

-W tym rzecz! Jesteś ubrana niestarannie, niemodnie, a powinnaś prezentować się jak dama. Twoje kolonialne maniery nie zostaną zaakceptowane w Londynie. Zachowuj się, jak na damę przystało. Lucy bierze z ciebie przykład. Poza tym nigdy nie zapominaj, że musisz stawić czoło wyzwaniu, tak samo jak ona.

Serena poczerwieniała, lecz zmusiła się do milczenia. Babka cioteczna zapewne miała rację. Gdyby tylko wiedziała, jak

ciężko było Serenie, jak tęskniła za słońcem i wolnością na St Just! Tygodnie spędzone w wilgotnym, zimnym klimacie wydawały się stuleciem. Nie mogła już znieść ograniczeń. Widać nazbyt długo czuła się panią własnego losu, przez lata cieszyła się wolnością i swobodą. Anglicy z St Just niewiele różnili się od londyńskich kuzynów. Jej niezależność niejednokrotnie ich szokowała, lecz nazwisko Calvert zamykało im usta. U siebie w domu nie odpowiadała przed nikim. Tutaj czuła się stłamszona.

- Sereno, milczysz. Mam nadzieję, że nie ogarnęło cię przygnębienie.

- Nie, ciociu. Wybacz, po prostu... zamyśliłam się. Masz absolutną rację. Obiecuję poprawę.

W następnych tygodniach Serena rzetelnie dotrzymywała obietnicy. Przestała poganiać Shebę podczas porannej toalety, cierpliwie znosiła zabiegi pokojówki, która usiłowała ubrać panią w sposób należyty. Wraz z Lucy spokojnie czekała, aż służąca naszykuje suknie przedpołudniowe, spacerowe, na przejażdżki powozem, balowe. Obie panny uczyły się elegancko chodzić, siedzieć, jeść, rozmawiać. Ćwiczyły kadryla i walca, choć Serena nie zamierzała tańczyć w Londynie. Dowiadywały się, jak zachęcać pożądanых kandydatów na męża i jak odprawiać nieodpowiednich kawalerów. Lady Warnham okazała się miłą i zgodną osobą, a Lucy całkiem nieoczekiwanie zaprzyjaźniła się z jej córką Isabellą. Lucy zdawała się świetnie bawić i cieszyć każdą minutą przygotowań, lecz dla Sereny to bezustanne szkolenie było niesłychanie nużące. Potrzebowała swobody, pragnęła oczyścić ciało i umysł z nadmiaru nagromadzonej energii. Na St Just dosiadłaby konia

i udała się na całodzienną przejażdżkę, tutaj jednak nie mogła liczyć na taki komfort. Musiała zadowolić się statecznym spacerem stępa po chłodnych i wilgotnych ogrodach, łagodnym kłusem po parku w towarzystwie służącego.

Gdy Serena poczuła, że dłużej nie zniesie takiego życia, nieoczekiwanie nadeszło wybawienie. Rozwiązanie problemu okazało się wielce ryzykowne, niewątpliwie „niegodne damy”, lecz zarazem idealne. Objawiło się pod postacią niczego nieświadomej pani Galveston, która pewnego dnia przyniosła tobołek z ubraniami za małymi na jej wnuki.

- Dorothy, to dla twojej fundacji dobroczynnej. Jak się nazywa? Towarzystwo Pomocy Szlachetnie Urodzonym Najuboższym? W gruncie rzeczy chodzi o najbardziej nieporadnych, przyznasz chyba? Zresztą wszystko jedno. Isabella nie ma gdzie trzymać odzieży, a Maria zamówiła jeszcze więcej sukni. Moim zdaniem, to tylko zbędne trwonienie pieniędzy. Jedna lub dwie ładne suknie wieczorowe oraz suknia popołudniowa to wszystko, czego trzeba Isabelli, ale w końcu Maria nigdy nie grzeszyła rozsądkiem. W tobołku znajdziesz też trochę rzeczy Michaela. Są stare, lecz zbyt porządne, aby oddać je pospólstwu ze wsi. Nikt by nie docenił tego gestu. Nie, nie dziękuj mi. Cieszę się, że z tych ubrań będzie jeszcze pożytek.

- Skierowała wzrok na Serenę. - Panno Calvert, krążą pogłoski, że naszyjnik Cardomanów został sprzedany. Jak mniemam, stanowił część dziedzictwa Calvertów?

Serena miała przygotowaną odpowiedź.

- Mój ojciec nigdy nie przepadał za tym naszyjnikiem, proszę pani. Przynosi pecha wszystkim właścicielom. Zastanawiam się jednak, gdzie się podziewał od czasu, gdy podjęliśmy decyzję o jego sprzedaży. Zakładałam, że do transakcji

doszło na obszarze Karaibów. Czy słyszała pani coś więcej na ten temat?

Ku nieopisanej uldze Sereny pani Galveston nie wiedziała nic więcej. Nabywca naszyjnika postanowił pozostać nieznanym zarówno na Karaibach, jak i w Anglii. Ubrania trafiły do szafy w jednej z nieużywanych sypialni. Serena przejrzała rzeczy, a gdy dostrzegła strój chłopca, przyszła jej do głowy śmiała myśl. Upewniła się, że drzwi są zamknięte, i przymierzyła odzież: spodnie, kilka koszul, kamizelkę i ciepłą kurtkę. Duża czapka, stylizowana na wojskową, skutecznie ukryła długie włosy. Znalazły się nawet buty do kompletu, pasowały prawie idealnie. Zadowolona Serena ukryła swoje nowe skarby w West Lodge - domku, który stał bezużytecznie od czasu, gdy po śmierci sir George'a Spurstona na stałe zamknięto drogę dojazdową do zachodniej części parku.

Przy najbliższej okazji, gdy babka cioteczna i Lucy wybierały się z wizytą do jednej ze znajomych, Serena oświadczyła, że bardzo boli ją głowa i w związku z tym musi pozostać w domu. Potem zaczekała, aż Sheba przestanie kręcić się po pokoju i pójdzie do kuchni. Wówczas przemknęła się do stajni. Pomieszczenia były prawie puste: zastała w nich tylko chłopaka stajennego oraz Traska, starego konia myśliwskiego. Osiodłanie go nie sprawiło większych trudności, dzięki czemu wkrótce znalazła się w domku i pośpiesznie zaczęła się przebierać. Halkę zostawiła w sypialni, bez trudu więc zrzuciła suknię oraz lekkie pantofelki, by zastąpić je koszulą, fularem, spodniami, kurtką i butami. Wzięła ze sobą pewien przedmiot, przechowywany w specjalnie zamaskowanym schowku w walizie. Było jasne, że gdyby ciotka wiedziała o tym drobiazgu, nie kryłaby stanowczej dezaprobaty. Otóż chodziło

o mały pistolet. Na St Just, poza domem, Serena zawsze miała go przy sobie ze względu na niebezpieczeństwo grożące jej ze strony jadowitych węży oraz zbiegłych niewolników. Wsunęła broń do kieszeni kurtki. Nie miała pojęcia, co może jej grozić w Anglii, lecz wolała być gotowa na wszystko.

Z włosami ukrytymi pod czapką niczym nie różniła się od ładnego chłopca. Dodatkowo uwiarygodniała ją szczupła sylwetka oraz opalenizna, tak niemiła oku pani Galveston.

Pół godziny później rozkoszowała się wspaniałymi widokami i świeżym powietrzem North Downs. Ziemia była bardzo twarda, a Trask liczył sobie zbyt wiele lat, by pocwałować, jakby sobie tego życzyła, niemniej poczucie wolności wręcz ją obezwładniło. Po przejeździe zatrzymała się na najwyższym w promieniu wielu kilometrów wzgórzu. Daleko na północy dostrzegła unoszący się nad miastem mglisty dym, lecz tam, gdzie się znajdowała, powietrze było czyste. W pobliżu nie widziała ani jednego domu. Nareszcie poczuła się szczęśliwa, po raz pierwszy od wyjazdu z St Just. Rzecz jasna, angielski krajobraz w niczym nie przypominał tropików, niemniej doceniała jego piękno.

- Co tu robisz, do diaska?! Jak się nazywasz? - rozległ się głos za jej plecami.

Podskoczyła ze strachu, a Trask uznał, że nagłe szarpnięcie wodzami jest zachętą do biegu, rzucił się więc na złamanie karku. Zdumiona Serena wkrótce doszła do siebie i uświadomiła sobie, że bez większego trudu zapanuje nad koniem. Zdarzało się jej okiełznać znacznie bardziej niepokorne zwierzęta. Postanowiła jednak pozwolić Traskowi na galop, gdyż nie miała ochoty na bliższy kontakt z nieznanym. Liczyła na to, że mu ucieknie. Zirytowana usłyszała za sobą tętent ko-

pyt. Smukła męska dłoń mocno chwyciła wodze Traska i zatrzymała go.

- Puść! Nie potrzebuję pomocy! - krzyknęła Serena z wściekłością.

- Chyba jednak potrzebujesz, niewdzięczny smarkaczu! - odparł nieznajomy, spoglądając na nią z rozbawieniem. - Jeśli nie będziesz się do mnie zwracał z należyтым szacunkiem, nauczę cię dobrych manier. - Z jego głosu nie znikła nuta wesołości, niemniej dało się w nim słyszeć stanowczość. Nieznajomy przez cały czas mocno zaciskał dłoń na wodzach Traska.

- Zaczniemy od początku. Jak się nazywasz?

Milczała jak zakłeta.

- Sprawileś sobie wagary? Dobrze myślę?

Kąciki jej ust uniosły się w nieśmiałym uśmiechu. Skinęła głową.

- Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz. Nikomu nie powtórzę.

Spojrzała na nieznajomego. Była świadoma tego, że jej burztynowe oczy zdradzają rozbawienie.

Dostrzegł jej wesołość i spochmurniał. Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na wodzach.

- Ostrzegam cię, smarkaczu, że i tak się dowiem, kim jesteś. Co robisz na mojej ziemi?

Serena, modulując głos, postanowiła go udobruchać.

- Przecież nic takiego się nie stało - oświadczyła. - Przejeżdżałem przypadkiem i tylko na chwilę przystanąłem, aby podziwiać widoki.

- Wobec tego nie masz powodu się bać. Nadal czekam na odpowiedź.

Serena zrozumiała, że natręt tak łatwo nie ustąpi. Musiała

natychmiast coś wymyślić, jeśli miała zachować w tajemnicy swoją tożsamość. Odchrząknęła i potulnym tonem przyłapanego na ściąganiu uczniaka oświadczyła:

- Przepraszam, nie wiedziałem, że to teren prywatny. Nie chciałem nikomu uczynić krzywdy, tylko przejeżdżałem. Nudziło mi się w domu.

- Wymknąłeś się guwernerowi, co? Gdzie mieszkasz?

Serena machnęła ręką w bliżej nieokreślonym kierunku.

- Tam - burknęła.

- Jak się nazywasz? Nie puszczę cię, dopóki się nie dowiem.

Mów!

- Mam na imię... William.

- Pewnie Szekspir, co?

- Nie, proszę pana. Blake. Nazywam się William Blake. Czy mogę już odjechać?

Obcy wybuchnął szczerym śmiechem. Serena nie mogła uwierzyć, jak ogromnie zmienił się w tej jednej chwili. Stał się zaskakująco ludzki, przyjazny.

- Też poeta - oświadczył. - To dla mnie prawdziwy zaszczyt, mistrzu - zadrwił.

Serena postanowiła zachowywać się z godnością.

- Moja rodzina jest spokrewniona z innym Blakiem, proszę pana. - Mówiła te słowa z czystym sumieniem, gdyż były prawdą. - Mam na myśli Roberta Blake'a, admirała, a nie Williama, poetę. - Zawahała się i zrobiła błagalną minę. - Wkrótce zaczną mnie szukać. Proszę mnie tutaj nie przetrzymywać, bo wszystko się wyda.

- Dobrze, Williamie Blake'u. Nikt nie może dowiedzieć się o twoich wagarach. Obiecuj mi jednak, że więcej tego nie zrobisz. Zgoda? - Patrzył na nią uważnie, aż w końcu ustąpiła

i niechętnie skinęła głową. - W przyszłości lepiej uważaj, jak siedzisz w siodle. Mogłeś spaść z konia i boleśnie się potłuc. Ruszaj!

Serena zamierzała zaprotestować, bo przecież pomoc nieznanego nie była jej do niczego potrzebna, lecz zmieniła zdanie, aby nie wdawać się z nim w niepotrzebne dyskusje. Po raz ostatni rzuciła okiem na mężczyznę, lekko skłoniła głowę i potrząsnęła wodzami. Odjechała, nie oglądając się za siebie.

Przez pewien czas Serena na wszelki wypadek nie opuszczała posiadłości babki ciotecznej. Spotkanie z nieznanym dżentelmenem potraktowała jak ciekawą i emocjonującą przygodę, niemniej miała świadomość ryzyka, na jakie się naraziła. Nie wyobrażała sobie nawet, co powiedziałyby lady Spurston, gdyby wyszło na jaw, że jej podopieczna przebiera się za chłopaka. Pani Galveston z pewnością umyłaby ręce i zrezygnowała z pomagania Lucy.

W takiej sytuacji Serena skupiła się na tym, by dbać o dobry humor babki ciotecznej. Od śmierci męża lady Spurston tak bardzo przywykła do samotności, że niemal bezustanna obecność dwóch młodych dam często ją irytowała. Lubiła jednak wspominać młodość, więc Serena godzinami przesiadywała ze starszą panią i oglądała stare rysunki oraz pamiątki z dawnych lat. Ciotka była jej wdzięczna za uwagę. Pewnego dnia oznajmiła:

- Poczciwa z ciebie dziewczyna, Sereno. Dobrze traktujesz Lucy. Idę o zakład, że większość zaplanowanych do uszycia sukni została przeznaczona dla niej. Mam dla ciebie niespodziankę. W tamtym sekretarzyku znajdziesz niewielką szkatułkę. Bądź łaskawa podać mi ją, proszę.

Serena posłusznie spełniła prośbę. Szkatułka okazała się nadspodziewanie ciężka jak na swoje skromne rozmiary.

- Połóż ją tutaj, na stole. Dziękuję. - Lady Spurston uchyliła wieczko i wyciągnęła ze szkatułki miniaturę. - To portret twojej matki, gdy była w wieku Lucy. Teraz należy do ciebie.

Serena uważnie przyjrzała się ładnej twarzy o kształcie serca, dużym, błękitnym oczom, porcelanowej cerze i jasnym włosom, otoczonym wiankiem z róż.

- Szkoda, że jej nie przypominam. Z pewnością wszyscy się nią zachwycali.

- Mogła zostać księżną - oświadczyła staruszka. - Niestety, choć twój ojciec był od niej znacznie starszy, zakochała się w nim bez pamięci. Namieszał jej w głowie opowieściami o tropikalnych wyspach. W końcu nie mogła przestać o nim myśleć.

- Otello i Desdemona - mruknęła Serena.

- Słucham?

- To z dramatu Szekspira, ciociu. Desdemona z tego samego powodu zakochała się w Otellu.

Ciotka spojrzała na nią z dezaprobatą.

- Jeśli przy każdej okazji będziesz cytowała Szekspira, ludzie uznają cię za mola książkowego, moja droga.

- Na St Just nie mieliśmy do czytania nic poza Biblią, dziełami Szekspira oraz garścią zbiorków poezji. Prawie wszystko to znam na pamięć. Czy mama wróciła tutaj kiedyś, aby cię odwiedzić?

- Nie, nigdy jej nie widzieliśmy po tym, jak twój ojciec zabrał ją na St Just. - Lady Spurston umilkła, lecz po chwili dodała: - Nie chcieliśmy, aby twoja mama wychodziła za Lionela Calverta, powinnaś o tym wiedzieć. Był wdowcem i miał

dwóch synów, niewiele młodszych od niej. Starszy - Richard, prawda? - był uroczym rozrabiaką. Nie pamiętam tego drugiego, ojca Lucy. Jak miał na imię?

- Rodney.

- Otóż to, Rodney. Bardzo spokojny chłopiec. Ona zawsze była taka posłuszna, wrażliwa, obowiązkowa. Mimo to nie udało się jej przekonać, by została. Twój dziadek w końcu musiał wyrazić zgodę. Potem zmarła podczas twoich narodzin... - Starsza pani zamilkła. W pewnej chwili raptownie podniosła głowę i oświadczyła ostro: - Później wybuchł skandal, prawda? Mam nadzieję, że nie na tyle poważny, by zniweczyć plany Lucy.

- Nie, skąd. Skandal rozegrał się dawno temu, od trzynastu lat jest spokój. Mój ojciec zadbał o to. Tak czy owak, Rodney nie był wplątany w tamtą awanturę. Już wtedy był inwalidą.

- To dobrze. Pozostałe rzeczy ze szkatułki również należą do ciebie.

Serena ostrożnie odłożyła portret i zajrzała do środka. Dostrzegła tam nieco biżuterii oraz pokaźną liczbę złotych monet.

- Niewiele mogę ci zostawić. Te świecidełka należałyby do twojej matki, gdyby żyła. Moim zdaniem, potrzebujesz ich już teraz, nie ma powodu, byś czekała do mojej śmierci. Możesz także wydać pieniądze na ubrania dla siebie. Dla siebie, powtarzam, nie dla Lucy.

Serena wstała i gorąco uścisnęła babkę cioteczną.

- Nie wiem... naprawdę nie wiem, co powiedzieć, ciociu. Ogromnie ci dziękuję.

Twarz staruszki złagodniała, lecz jej głos zabrzmiał ostro:

-Sereno, pamiętaj o opanowaniu! Powściągnij uczucia.

Dama nie może publicznie okazywać przesadnej wrażliwości. Och, tak bardzo żałuję, że moja przypadłość nie pozwala mi towarzyszyć wam w Londynie. Maria Galveston czy też raczej lady Warnham, jak ją powinnam nazywać po ponad dwudziestu latach od jej ślubu, zawsze była dobrą dziewczyną. Nie mam powodu zakładać, że się zmieniła. Nadal mamy jeszcze nieco czasu przed rozpoczęciem sezonu i dołożę wszelkich starań, abyście zostali należycie przygotowani.

Serena z przyjemnością gawędziła z babką cioteczną oraz oddawała się innym, spokojnym rozrywkom, lecz nie zdołała oprzeć się pokusie następnej przejażdżki. Potrzebowała pociechy, bo, ku jej radości podszytej żalem, Lucy coraz więcej czasu spędzała z nowymi przyjaciółmi. Trudno było się dziwić. Dziewczynie przez lata brakowało towarzystwa rówieśników o podobnej pozycji społecznej. W Anglii uczyła się nie tylko dobrych manier niezbędnych młodej damie z wyższych sfer, lecz także dowiadywała się od Isabelli oraz jej rodzeństwa, jakie są ich rozrywki i zainteresowania. Nawet Sheba zdawała się doskonale czuć w angielskim gospodarstwie, na pewno znacznie lepiej niż Serena.

Pogardzała ludźmi, którzy użalali się nad sobą, sięgnęła więc po chłopięce ubranie i wyruszyła na szczyt Downs. Tam zeskoczyła z siodła, przywiązała Traska do drzewa i podeszła na skraj urwiska. Pogoda zdawała się odzwierciedlać jej nastrój, gdyż niebo zasnuwały deszczowe chmury. Serena poczuła nieznaną dotąd melancholię. Doszła do wniosku, że bój o Anse Chatelet stracił sens, a jej przyszłość rysuje się równie ponuro, jak pola w oddali. Westchnęła ciężko i odwróciła się, by wracać do domu.

Przy Trasku stał wysoki dżentelmen.

- Proszę, proszę. Czyżby to mój młody przyjaciel William?
 - odezwał się pogodnie. - Którym to ze słynnych Williamów jesteś dzisiaj?

- Dzień dobry panu - przywitała się Serena grzecznie, rozpaczliwie usiłując sobie przypomnieć, jakim nazwiskiem przedstawiła się ostatnio w rozmowie z nieznanym.

- Chyba twierdziłeś, że nazywasz się Wordsworth.

- Nie, proszę pana. - Serena odetchnęła z ulgą. - Blake. Nazywam się William Blake.

- Pamięć szwankuje mi w krytycznych momentach... Podobnie jak tobie.

Serena nie potrafiła się opanować i uległa pokusie.

- To z pewnością ma związek z pańskim wiekiem - odparła z powagą. - Mój dziadek był bardzo zapominalski.

Zerknął na nią uważnie, lecz wyglądała jak ucieleśnienie niewinności.

- Hm - mruknął. - Demencja jeszcze mi nie doskwiera. Na przykład doskonale pamiętam, że puściłem cię wolno pod jednym warunkiem: miałeś tego więcej nie robić.

Serena zaczynała się dobrze bawić, choć ryzyko było nie-małe. Zrobiła urażoną minę.

- Nie jestem pewien, co pan ma na myśli. Żaden Blake nie łamie obietnic, gwarantuję panu.

- Czyżby? Zatem to nie wagary? Guwerner złamał nogę, zgadza się?

- Rękę. Fatalny upadek, wyjątkowo niefortunny. - Serena zerknęła z ukosa na dżentelmena i dodała pośpiesznie: - Tylko żartowałem. Tak naprawdę mam wolny dzień, bo dzisiaj obchodzę urodziny. - Pochyliła głowę na wspomnienie wpadki Lucy.

- To brzmi wiarygodnie. Dlaczego jednak nie obchodzisz święta w domu? Gdzie są twoi rodzice?

- Nie żyją.

- Rozumiem. Czy mogę kontynuować przejażdżkę w twoim towarzystwie?

Serena podejrzliwie rzuciła okiem na rozmówcę, lecz najwyraźniej mówił poważnie. Popatrzyła na jego gniadą klacz, która nieopodal skubała trawę.

- Myślisz, że potrafiłbyś nią pokierować?

- Och tak! - wykrzyknęła.

- Na pewno? - powątpiewał nieznajomy.

- Proszę mi pozwolić spróbować, będę jechał ostrożnie, obiecuję!

Roześmiał się na widok entuzjazmu rzekomego chłopca. Po chwili jednak zmarszczył czoło.

- Co się stało? Zmienił pan zdanie? Jednak nie zamierza pan pozwolić mi dosiąść klaczy? Jestem pewien, że dam sobie radę.

- Wierzę ci.. Poza tym Douce jest łagodna jak owieczka, choć mogłaby stawać w szranki z wiatrem. Po prostu zastanawiałem się przez moment.... Gdzieś już widziałem te oczy. Tylko gdzie? Zresztą, to bez znaczenia. Chodź, pomogę ci wskoczyć na siodło.

Serena zdążyła już samodzielnie wdrapać się na klacz, która przebierała nogami i pogodnie poruszała łbem.

- Piękna jak marzenie! - zawołała. - Niech się pan pośpieszy!

Nieznajomy poprawił uprząż, aby dostosować ją do drobniejszego jeźdźca, a gdy po chwili dosiadał Traska, Serena dyskretnie poprawiła czapkę, aby się upewnić, że jej nie zgu-

bi podczas jazdy. Oboje ruszyli wzdłuż urwiska. Z początku Serena dbała o to, aby klacz kroczyła spokojnie i usiłowała oswoić się z jej reakcjami. Potem jednak dotarli na otwartą przestrzeń i uległa pokusie. Popędziła klacz, która posłusznie pogalopowała.

Douce niemal frunęła nad miękkim, elastycznym angielskim torfem. Gdy Serena w końcu zwolniła i powiodła wzrokiem dookoła, nigdzie nie dostrzegła Traska ani dżentelmena. Uznała, że nic nie szkodzi, zwłaszcza że czapka się jej przekrzywiła, a fular łopotał na wietrze. I jedno, i drugie należało natychmiast doprowadzić do porządku. Niechętnie zawróciła, a gdy zjawiała się w polu widzenia dżentelmena, ściągnął wodze i znieruchomiał. Jak nietrudno było się domyślić, kipiał wściekłością.

- Należą ci się baty, chłopcze - rzekł rozsierzdony. - Złaż z konia!

- Przepraszam... - zająknęła się Serena i dodała błagalnym tonem: - Proszę pana, niech mi pan wybaczy...

Zeskoczył na ziemię i podszedł bliżej. Serena także zsunęła się z klaczy i złapała nieznanomego za rękę.

- Niech pan się nie złości - poprosiła. - Dostałam od pana najwspanialszy prezent urodzinowy w życiu. Proszę tego nie psuć.

Dżentelmen zmarszczył czoło i popatrzył na dłoń zaciśniętą na swojej ręce, a potem wbrew sobie cofnął się o krok. Odwrócił się, by dosiąść Douce, lecz znieruchomiał z jedną stopą w strzemieniu.

- Być może to ja zasługuję na baty - powiedział. - Mogłeś skrócić kark. Gdy zniknąłeś, bałem się, że zdarzył się wypadek.

- Och, nie! Było cudownie. Nie wiem, jak panu dziękować! Odniosłem wrażenie, że ktoś podarował mi skrzydła.

- Ta twoja poetycka natura... Cokolwiek by mówić, z pewnością masz pojęcie o jeździe konnej. Zgoda, tym razem postaram się zapomnieć o tym, jakiego stracha mi napędziłeś. Wskakuj na konia, pora wracać. Wygląda na to, że wkrótce solidnie się rozpada.

Rzeczywiście, gdy zjeżdżali w dolinę, na niebie gromadziły się ciemne chmury. Zanim dotarli do drogi, rozpętała się ulewa. Dżentelmen pogrążył się w rozmyślaniach, a zmoknięta Serena szybko zapomniała o krótkotrwałej euforii.

- Zatrzymamy się tu niedaleko, póki nie przestanie lać - obwieścił dżentelmen. - Stara Margery udzieli nam schronienia, a może nawet uraczy nas miską stawy. Nie liczyłbym jednak na ucztę godną urodzinowego przyjęcia. Tędy.

Skręcili w wąską dróżkę, na której końcu stał skromny stary domek. Serenę ogarnął strach.

- Nie... Nie, muszę wracać...

- Chłopcze, nie wygaduj głupstw! Nigdzie nie pojedziesz, mamy urwanie chmury! Co powiedzieliby twoi opiekunowie? Na pierwszy rzut oka dom wydaje się obskurny, niemniej Margery zawsze dba o to, by w piecu było napalone.

Serena zeskoczyła na ziemię i weszła za dżentelmenem do domku. Nie zastali nikogo, lecz w piecu leżało drewno gotowe do rozpalenia.

- Z pewnością poszła do pracy u rolnika, który mieszka nieopodal. Nie będzie miała nam za złe, jeśli rozpalimy ogień. Przed wyjściem starannie go wygasimy. Przynieś więcej chrustu na podpałkę i drewna. Znajdziesz je w szopie. Po-

tern ściągniemy mokrą odzież i podsuszymy ją w ciepłe. To nie potrwa długo...

Dżentelmen zajął się ogniem, a Serena wysliznęła się na dwór. Potem na palcach podkradła się do Traska i po cichu zaprowadziła go na skraj dróżki. Tam dosiadła konia i pognała przed siebie, kierując się w stronę domu ciotki.

Rozdział czwarty

Ogień głośno trzaskał, szybko rozgrzewając wyziębioną izbę. Dobrze się stało, że znaleźli schronienie; *deszcz* przesiąkł przez grubą kurtkę dżentelmena, a chłopiec musiał być zmarznięty na kość. Na dworze rozległy się kroki.

-Nareszcie! Długo cię nie było. Nie mogłeś znaleźć drewna?

- Wasza lordowska mość? Co pan tutaj robi? Och, błagam o wybaczenie, gdybym wiedziała o pańskiej wizycie, wszystko bym przygotowała.

James Stannard, szósty baron Wintersett, wyprostował się i zmierzył wzrokiem nieoczekiwanego gościa.

- Witaj, Margery - powiedziała. - Pozwoliliśmy sobie schronić się pod twoim dachem. Co ty robiłaś na dworze w taką pogodę? Sądziłem, że na cały dzień wybrałaś się do Rufforda.

- Musiałam wyjść z domu, żeby odnaleźć kozę. Uciekła mi, piekielnica, same przez nią kłopoty. Milord jest zawsze mile widziany. Niewiele mam, ale chętnie się podzielę. Może przyniosę więcej drewna do pieca?

- Gdzie chłopak? Posłałem go po opał, powinien już być z powrotem.

- Milordzie, nie ma tu żadnego chłopaka. Jesteśmy tylko my dwoje.

- Co takiego? Oczywiście, że jest!

James wyszedł na podwórze. Deszcz ustał równie nagle, jak się pojawił, Douce spokojnie stała pod ukośnym dachem szopy. Po Trasku i Williamie nie było ani śladu.

- Gdy szłam ścieżką, widziałam jakiegoś chłopca na głównej drodze - przypomniała sobie Margery, która ruszyła w ślad za gościem. - Gnał co koń wyskoczy, zupełnie jakby sam diabeł go ścigał.

- W którą stronę? - W pierwszej chwili lord Winterset z zamierzał wskoczyć na Douce i rzucić się w pościg za uciekinierem, lecz po namyśle uznał to za zbędne. - Zresztą wszystko jedno, to bez znaczenia. Podejrzewam, że musiał wracać. - Skierował wzrok na domek. - Przyślę kogoś do naprawy dachu, Margery. Znowu przecieka. Powinnaś przeprowadzić się do wsi. To miejsce nie nadaje się do mieszkania.

- Tutaj dokonam żywota, dziękuję waszej lordowskiej mości - oświadczyła Margery i zacisnęła usta.

- Jak wolisz. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, daj znać Rossettowi. Znajdzie ci jakiś ką.

James wcisnął kilka monet w dłoń staruszki, dosiadł konia i ruszył do domu. Po drodze zastanawiał się nad zachowaniem chłopaka. Dziwnie się przedstawił: William Blake. Lord Winterset szczerze wątpił, że to jego prawdziwe imię i nazwisko. Ktoś z pewnością zakorzenił w nim miłość do poezji, lecz nie zapewnił mu dostatecznego nadzoru. Gdy stał nad urwiskiem, już z daleka rzucała się w oczy jego smukła sylwetka i przygarbione ramiona. James Stannard uśmiechnął się niewesoło. Musiał postradać zmysły, skoro pozwolił chłopcu osiąść

Douce! Londyńscy przyjaciele z pewnością by osłupieli na ten widok. Lord Wintersett, nazywany żartobliwie Górą Lodową, uległ impulsowi.

Tego wieczoru we troje zasiedli do kolacji, gdyż niedługo przed posiłkiem zjawiała się jego matka. Z początku James nie krył zachwyty, lecz lady Wintersett nie rozpoznała ani syna, ani synowej. Całkowicie pogrążyła się w mrocznym świecie własnych myśli i nie sposób było nawiązać z nią kontakt. Alanna Stannard siedziała pomiędzy teściową a szwagrem. Ubrana była w bardzo ładną, lawendową suknię, podkreślającą jej urodę: czarne włosy, błękitne oczy i różaną cerę. Trudno było uwierzyć, że od dawna jest wdową, matką dziecka, które nigdy nie widziało własnego ojca. James zastanowił się przelotnie, czemu żona jego zmarłego brata nigdy nie wyszła ponownie za mąż. Wyglądała prawie tak samo jak dziewiętnastoletnia dziewczyna, która tak nagle i nieoczekiwanie zauroczyła Tony'ego. I pomyśleć, że ten chłopak nigdy wcześniej nie interesował się kobietami. Zajmowały go wyłącznie książki i rośliny, był łagodny, oderwany od rzeczywistości, miał zadatki na geniusza. Co takiego dostrzegł w Alannie, że zwrócił na nią uwagę? I co ona zobaczyła w nim? Tworzyli pozornie wyjątkowo nieodbraną parę, gdyż za uroczą buzią skrywała się próżność. Tak przynajmniej uważał James. Gdy Tony brał ślub, jego brat zastanawiał się, czy Alanna popełnia błąd. Poszukiwała przecież bogatego, młodego mężczyzny, który zapewniłby jej odpowiednią pozycję w towarzystwie. Najwyraźniej jednak źle ją ocenił. Po powrocie z Karaibów mieszkała w Wintersett Court, wraz z kruchym dzieckiem, przed-

wcześnie urodzonym po śmierci Tony'ego. James posmutniał jak zawsze na myśl o bracie.

- Dwukrotnie cię spytałam, czy mógłbyś zakupić dla mnie i dla mamy nieco francuskiej koronki na czepki, a ty nie odpowiedziałeś mi ani słowem - odezwała się Alanna.

Lord Winterset popatrzył na matkę i spytał:

- Mamo, czy chciałabyś dostać nowy czepki z koronki?

Jedyną odpowiedzią był nieopisanie smutny uśmiech. Lady Winterset powoli wstała i opuściła pokój. Pani Stannard cicho westchnęła i również wstała od stołu.

- James, powinieneś częściej przyjeżdżać - zauważyła. - Odnoszę wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która potrafi skłonić mamę do jakiegokolwiek reakcji.

- Masz na myśli jej przelotny uśmiech, po którym natychmiast wychodzi z pomieszczenia?

- To i tak dużo, wierz mi. Mama całymi godzinami przesiaduje przy łóżku Anthony'ego, lecz zawsze ma taką samą, obojętną minę. - Alanna westchnęła. - Byłabym wdzięczna, gdybyś postarał się sprawić nam koronkowe czepki.

- Mój bratanek źle się czuje? Czemu znowu leży w łóżku?

- Zima nie służy Anthony'emu. Jest bardzo niespokojny, twierdzi, że bołą go nogi.

- Przecież to jasne, że Tony'ego bołą nogi, do diaska! Jak mają go nie boleć, skoro w ogóle nie zażywa ruchu? Powinien więcej ćwiczyć. Najlepiej zrobisz, jeśli zabierzesz go na dwór. Jeśli to konieczne, niech wyjedzie na wózku inwalidzkim.

Alanna popatrzyła na niego z przyganą.

- Twojej mamie nie spodobałoby się, że przeklinasz, James - oświadczyła surowo. - Z pewnością wołałaby, abyś kłął w swoim klubie, skoro musisz to gdzieś robić. Przykro mi to mówić,

ale skąd możesz wiedzieć, co jest najlepsze dla mojego synka? Właściwie nigdy go nie widujesz. Doktor Charlesworth...

- Jestem zdania, że doktor Charlesworth to konował. Nie robi nic innego, tylko potwierdza twoje opinie i wygłasza takie same osady jak ty. Pochlebia ci, ot co. Dlaczego nie chcesz się zwrócić o poradę do doktora Galbraitha?

- Nie zna się na rzeczy. Konsultowałam się z nim i wiem na pewno, że nie nadaje się do leczenia mojego dziecka. Wykończyłyby małego Anthony'ego, gdybym wysłuchała jego zaleceń.

- Mały Anthony! A to dopiero! Chłopak ma prawie trzy-nastcie lat, Alanno. Jesteś nadopiekuńcza i w ten sposób mu szkodzisz.

- Troszczę się o niego najlepiej, jak potrafię. Cóż w tym złego? Tylko on się dla mnie liczy.

W błękitnych oczach Alanny zaśniły łzy. James wstał i podszedł do kominka. Nie miał ochoty dalej się kłócić. Pomiędzy nim a Alanną często dochodziło do sprzeczek, które konsekwentnie kończyły się jej płaczem. Ponieważ łzy budziły w nim irytację, a w dodatku nie zamierzał pozostawać w Winterset Court, aby sprawdzić, czy zrobiono to, co zaproponował, dyskusja stawała się bezcelowa.

Alanna ruszyła ku drzwiom.

- Zaczekaj - odezwał się. - Musimy porozmawiać. Podejdz tutaj, usiądź. - Wróciła do stołu i usiadła ze spuszczoną głową. James starannie zamknął drzwi do jadalni, nalał dwa kieliszki brandy i jeden podsunął bratowej.
- Dobrze ci zrobi. Mam wieści, które mogą cię zdenerwować. - Umilkł na moment i oświadczył szybko: - Sasha Calvert przybywa do Anglii.

Alanna gwałtownie uniosła głowę i przycisnęła dłoń do szyi. Jej twarz nagle pobladła.

- Co powiedziałaś? - wyszeptła.

- Napij się brandy, dobrze ci zrobi. Sasha Calvert postanowiła sprowadzić do Anglii swoją bratanicę. Widać podrosła na tyle, by można było oficjalnie wprowadzić ją na salony. Towarzystwo na St Just nie jest dostatecznie dobre jak na ambicje panny Calvert.

- Nie wolno jej przyjeżdżać do Anglii, nie wolno! - Alanna histerycznie podniosła głos. - James, musisz ją powstrzymać!

- Wykluczone, moja droga. Nawet gdybym miał taką możliwość, z pewnością bym z niej nie skorzystał. Prawdę mówiąc, to dla mnie pomyślnie zrządzanie losu. Sasha Calvert znajdzie się wiele tysięcy kilometrów od Anse Chatelet, co pomoże mi w realizacji planów.

- James, nic nie rozumiesz!

- Alanno, weź się wreszcie w garść - wycodził. - Nie powinno cię obchodzić, czy Sasha Calvert przebywa w Anglii, czy też na antypodach. Nie jeździsz do Londynu, zatem przypadkowe spotkanie możemy wykluczyć. Jeśli sobie życzysz, wyjedź na wakacje do Irlandii. Sasha Calvert na pewno tam nie trafi.

Alanna patrzyła na Jamesa szeroko otwartymi oczami. Postanowił rozmawiać z nią nieco łagodniej.

- Uwierz mi, doskonale rozumiem twoje uczucia. Nienawiść nazwiska Calvert równie mocno, jak ty. Oboje mamy ku temu powody. Tym razem rozprawię się z ostatnim członkiem tej podłej rodziny.

Pomimo tych wszystkich zapewnień Alanna nie wydawała

się przekonana. Raz za razem prosiła Jamesa, by uniemożliwić przyjazd Sashy Calvert do Anglii, i nie chciała wierzyć, że nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby chciał. Wdowa przejęła się do tego stopnia, że przestała logicznie myśleć i w końcu trzeba było posłać po pokojówkę, by odprowadziła panią do pokoju.

James kilka razy dosiadał Douce i wyruszał na przejażdżkę po Downs, gdzie uważnie rozglądał się za drobną, trochę dziwnie ubraną postacią w siodle. W twarzy chłopaka James dostrzegał znajome rysy, raz po raz przypominał sobie szczegóły spotkań z chłopakiem i w końcu w jego umyśle zaczęło kiełkować niewiarygodne podejrzenie. Choć pozostał w Winterset Court znacznie dłużej, niż pierwotnie zamierzał, na horyzoncie nie pojawił się ani chłopiec, ani jego koń.

Serena uznała, że jej wypadki są zbyt niebezpieczne, a stawka za wysoka, aby ponownie ryzykować. Wolała nie myśleć o tym, co mogłoby się zdarzyć w tamtej wiejskiej chacie. Jakie wyjaśnienie miałaby podać, gdyby obcy zapytał ją, czemu nie zdejmuję mokrych rzeczy? Jak by zareagował, widząc, że został oszukany?

Gdy dotarła do stosunkowo bezpiecznej kryjówki w West Lodge, z trudem ściągnęła mokre ubranie i rozwiesiła je, na czym się tylko dało. Do domu wróciła ubrana, lecz bez halki i z mokrymi włosami. Pech chciał, że od razu natknęła się na Shebę.

- Panno Sereno, gdzie pani się podziewała? Ma pani całkiem mokre włosy. Gdzie halka? Powinna się pani wstydzić!

Serena pośpiesznie skierowała się do sypialni, a po chwili

dołączyła do niej przejęta Sheba. Gdyby babka cioteczna ujrzała krewną w tym stanie, rozpętałyby się burza. Serena nie zdążyła całkiem się przebrać, gdy w drzwiach stała Lucy.

- Na litość boską, Sasha, gdzieś ty była? Widzę, że na dworze, masz mokre włosy. Wszędzie cię szukałam. Coś ty znowu wymyśliła, ciotuniu kochana?

Serena postanowiła milczeć, lecz Lucy ani myślała dać się zbyć. W końcu Serenie przyszło do głowy, że bratanica zacznie ją wypytywać w obecności ciotki Spurston, wyznała więc, że pojechała konno na wycieczkę po Downs. Ani słowem nie wspomniała o dżentelmenie. Lucy sprawiała wrażenie szczerze rozbawionej.

- Sasha, i pomyśleć, że dotąd wydawałaś mi się taka chłodna i opanowana! Najdroższa ciotuniu, tak bardzo cię kocham!
- Mocno uściśnieła Serenę. - Przysięgam, że nie puszcę pary z ust. Aha, mam coś dla ciebie.

Wybiegła z pokoju i wkrótce powróciła z wyjątkowej urody sakiewką owiniętą w srebrny papier.

- To prezent na twoje urodziny.

Serena zaniemówiła z wrażenia. Sakiewka była przepięknie hartowana w motywy kwiatowe, wśród których dominowały delikatne orchidee oraz paprocie. Lucy musiała poświęcić wiele godzin na wyszywanie misternych wzorów.

- Sasha? - odezwała się Lucy niepewnie.

- Ja... - Serena odchrząknęła. - To jest piękne... Dziękuję ci. - Popatrzyła na zaniepokojoną twarz bratanicy. - Jeszcze nigdy nie widziałam równie ślicznej sakiewki. Dziękuję ci bardzo!

- Zatem wszystko w porządku. Przez chwilę sądziłam, że ci się nie podoba. Teraz opowiedz mi o swoich przejażdżkach.

- Musimy to przełożyć - oświadczyła Serena stanowczo.
 - Lady Spurston czeka na dole. Nie chcę, żeby zadawała mi zbędne pytania. Na niektóre z nich zapewne trudno byłoby mi znaleźć odpowiedź.

Nieco później Serena przyniosła chłopięce ubrania do domu i dołączyła je do innych rzeczy przeznaczonych dla biedoty. Pistolet ukryła w walizce i skupiła uwagę na obowiązkach, zdecydowana zapomnieć o nowym znajomym. Następne dni dowiodły, że to postanowienie było trudne do zrealizowania. Zdumiało ją, jak ogromny żal czuje na myśl o tym, że już nigdy nie ujrzy tego mężczyzny.

Nagrodą za jej wysiłki była aprobata lady Spurston.

- Twoja prezencja poprawia się z godziny na godzinę. Już teraz mogłabym z czystym sumieniem zaprowadzić cię między ludzi. Środek przysłany przez panią Galveston doskonale wpływa na twoją skórę. Nigdy nie będziesz piękną, niemniej twoja cera nie jest już tak upiornie brązowa. Poza tym jestem pewna, że nieco się zaokrągliłaś. Nowe suknie wyglądają zdecydowanie atrakcyjnie, a służąca uczy się zaskakująco szybko.

Serena w skrytości ducha uważała, że jej opalenizna blednie tylko i wyłącznie ze względu na kiepską pogodę lecz uśmiechnęła się, a przy następnym spotkaniu z panią Galveston podziękowała jej uprzejmie za maść.

Dobre intencje Sereny zostały jednak wystawione na jeszcze jedną próbę. Lady Spurston zapomniała przygotować ubrania przed następną wizytą przedstawiciela instytucji dobroczynnej i cała sprawa przesunęła się na następny miesiąc. Pogoda się poprawiła i w końcu uroki angielskiej wiosny okazały się zbyt kuszące. Serena ponownie wykradła chłopięcą

odzież, wsunęła pistolet do kieszeni i po ożywionej wymianie zdań z Shebą wymknęła się do stajni. Z pomocą zaprzyjaźnionego chłopca stajennego osiodłała Traska i niezauważenie wymknęła się do Lodge. Podekscytowana, z mocno bijącym sercem, pojechała wiejskimi drózkami w kierunku Downs.

Trask również odczuwał wiosenny przyptyw energii. Pędził lekko z Sereną na grzbiecie, aż wreszcie, zadyszany, zatrzymał się na skraju urwiska. Powietrze było krystalicznie czyste; Sereną widziała krajobraz w promieniu wielu kilometrów. Zauroczona zeskoczyła z grzbietu Traska i przeciągnęła się. Nie mogła odmówić tropikom specyficznej urody, lecz angielskie powietrze działało na nią niczym szampan. Było jej gorąco, lecz nie zdecydowała się rozpiąć kurtki, nie zdjęła też czapki. Minęło tyle czasu, że szczerze powątpiewała w możliwość ponownego spotkania z nieznanym dżentelmenem.

Los jednak zdecydował inaczej. Douce i jeździec wyłonili się zza drzew, zupełnie jakby tam na nią czekali. Nagle zrozumiała, jak ogromną radość sprawia jej widok tego mężczyzny. Warto było zaryzykować...

- Zatem ponownie się spotykamy - powiedział dżentelmen.

- Tak chciała fortuna - odparła.

Umilkła, zakłopotana jego przenikliwym spojrzeniem. Wyczuła w mężczyźnie jakąś zmianę. Wcześniej zachowywał się inaczej, nie patrzył na nią z taką uwagą. Co się zdarzyło? Przeszył ją strach, brała nawet pod uwagę możliwość ucieczki, lecz nagle obcy uśmiechnął się i wszystko wróciło do normy. Pokrzepiona uznała w duchu, że wybujała wyobraźnia płata jej figla.

- Stęskniłem się za twoim widokiem, chłopcze. - Tak dziwnie zaakcentował ostatnie słowo. W dodatku stanął tak blisko, jak jeszcze nigdy dotąd. - Życie mnie nauczyło, że najlepiej wszystko sprawdzać osobiście - oznajmił. - Pozwól mi więc na własne oczy przekonać się także o tym...

Nagle wyciągnął rękę i błyskawicznie ściągnął czapkę z głowy Sereny. Odetchnął z wyraźną satysfakcją, kiedy kaskada ciemnych włosów spłynęła na jej ramiona.

- Tak przypuszczałem - powiedział.

Przypatrywał się jej w milczeniu. Na koniec przyciągnął Serenę do siebie i mocno pocałował w usta.

- Tak podejrzewałem - dodał, nie kryjąc zadowolenia. - Myśl o tobie nie dawała mi spokoju, mój mały przebierańcu - szepnął, obsypując jej twarz szybkimi pocałunkami. - Przez ciebie niejedna noc okazała się bezsenna. Teraz nadeszła pora zapłaty - dodał, rozpinając kurtkę Sereny.

Nagle się ocknęła.

- Przestań! - krzyknęła. - Dość! Dość, powiadam!

Chciała się wyrwać, lecz bez trudu przytrzymał ją w miejscu. Jej wysiłki najwyraźniej go bawiły.

- Nie próbuj udawać. Zapewniłaś mi nie lada rozrywkę, moja droga, ale maskarada skończona. Koniec zabawy. Jestem gotów przyznać, że nietypowa z ciebie istota. Zainteresowałaś mnie, w przeciwieństwie do większości kobiet. - Ponownie pochylił głowę i wyszeptał prosto w jej usta: - Później omówimy warunki. - Jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie i pocałował z nową mocą.

Serena wpadła w panikę. Była bezradna, nie miała pojęcia, jak się zachować. Trudno się dziwić. Skąd mogła wiedzieć, skoro brakowało jej doświadczenia? Żaden mężczyzna

nie rzucił się na nią z takim żarem, nie przytrzymał jej tak stanowczo. Wkrótce jednak odezwała się duma i poczucie godności osobistej. Udało się jej kopnąć Traska, który prychnął i podskoczył. Wtedy nieznajomy mimowolnie rozluźnił uścisk, a wówczas wyrwała mu się i pośpiesznie cofnęła. Nim zdolał ponownie ją pochwycić, wydobyła z kieszeni pistolet i odciągnęła kurek.

- Stój! - krzyknęła. - Ani kroku dalej! - Nie zważając na ostrzeżenie, ruszył ku niej, na co wycelowała mu broń w kolana. - Mówię poważnie! Roztrzaskam ci rzepkę!

W milczeniu mierzyli się wzrokiem. Serena spoglądała uważnie na mężczyznę, a jej ręka ani drgnęła.

- A niech mnie... - mruknął i zaśmiał się z lekkim podziwem. - Wierzę ci.

- I dobrze - oznajmiła ponuro.

- Może jednak się omyliłem. Czy to oznacza - wybac, jeśli moje słowa wydadzą ci się nieco obcesowe - że cała ta sprawa nie stanowiła elementu planu, który miał ci umożliwić zawarcie ze mną bliższej znajomości?

- Wolałabym bliżej zaznajomić się z boja dusicielem niż z panem. Dlaczego coś podobnego przyszło panu do głowy?

- A cóż innego miałem pomyśleć? Och, wyceluj ten pistolet gdzie indziej. Daję słowo, że nic ci z mojej strony nie grozi.

- Chwilowo sama będę decydowała, gdzie celować. Póki co, nie zamierzam panu wierzyć.

- Zatem jesteśmy kwita, Williamie Blake'u... A może Williamie Wordsworcie? Jak się nazywasz, dziewczyno?

Zawahała się.

- Serena - wyznała. - Więcej pan się nie dowie.

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Serena! I mam w to uwierzyć? Znowu coś wymyślasz.

- Nie, to moje prawdziwe imię.

-Serena... Paradne, doprawdy! Czekaj! Czy zamierzasz wrócić do domu konno?

Odwróciła głowę i ujrzała, jak Trask powoli znika z pola widzenia. Odetchnęła głęboko i wykonała ruch, jakby chciała pobiec za wierzchowcem. Zanim jednak zrobiła choćby jeden krok, mężczyzna chwycił ją za nadgarstek i gwałtownym szarpnięciem zmusił do wypuszczenia broni. Serena krzyknęła z bólu i spojrzała na napastnika wzrokiem pełnym nieskrywanego strachu. Nie puścił jej, ale też nie próbował ponownie całować.

- Jeśli obiecasz, że nie będziesz trzymała mnie na muszce, zwrócę ci pistolet - oznajmił cicho, patrząc jej prosto w oczy. - Nie chcę ci zrobić krzywdy. Wierzysz mi? Obiecujesz?

Serena skinęła głową, na co podniósł broń z ziemi i wręczył ją właścicielce. Po krótkim wahaniu ostrożnie ją schowała i dyskretnie roztarła obolały nadgarstek. Dżentelmen zauważył ten gest i wyciągnął rękę, aby ponownie chwycić jej przegub. Cofnęła się nerwowo, a wówczas podniósł ręce i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Nic ci nie zrobię. Przykro mi, że sprawiłem ci ból. Przepraszam też za swoje zachowanie. Chyba powinniśmy sobie wyjaśnić to i owo, jak sądzisz?

- Trask? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Douce bez trudu go dogoni. Zaczekaj, zaraz wrócę z twoim wierzchowcem.

Po chwili przyprowadził Traska i zaczekał, aż Serena doprowadzi się do porządku.

- Serena. Też coś! - prychnął i wydał usta. - Trudno byłoby znaleźć mniej stosowne imię.

- Co pan powie na Prudence? - podsunęła Serena, a mężczyzna wybuchnął śmiechem. Po chwili mówiła dalej: - Może niespecjalnie przypominam syrenę, ale jeszcze mniej mam wspólnego z pruderią. Tak czy owak, nawet nie wie pan, jak ciężko być kobietą. Dziewczynom nie wolno robić tylu rzeczy, które uchodzą płazem chłopakom.

- Powiedz mi, dlaczego postanowiłaś przemienić się w chłopca?

Patrzyła na niego niepewnie. Na ile mogła mu zaufać?

- Sereno, dałem ci słowo. Nie tracę czasu na niechętne mi kobiety, kiedy już się upewnię, że są niechętne, rzecz jasna. Niewiele z nich mógłbym z czystym sumieniem zaliczyć do tej grupy.

Serena podjęła decyzję.

- Źle mnie pan zrozumiał. Zastanawiałam się, ile może pan ode mnie usłyszeć, a nie czy ponownie mnie pan... zaatakuje. Wierzę panu na słowo. Nie potrafię jednak zrozumieć, dlaczego po odkryciu mojej płci doszedł pan do wniosku, że można mnie tak niegodziwie potraktować. Nie jestem tego typu kobietą.

- Do diaska, a co miałem pomyśleć? Przyzwoite młode damy zazwyczaj nie szwendają się po bezdrożach bez stosownej eskorty. Poza tym przyzwoite młode damy nie przebierają się za chłopców i nie jeżdżą, za przeproszeniem, okraciem.

- Wszystko rozumiem, tylko dlaczego uznał pan, że robię to, aby przyciągnąć pańską uwagę? A może, pańskim zdaniem, to zupełnie naturalne? Jest pan winny zbrodni o wiele poważniejszej niż moja.

- Jak to? Jakiej znowu zbrodni?

- Próżności! - Z satysfakcją dostrzegła, że jej uwaga okazała się celna.

- Odkąd sięgam pamięcią, słaba płeć darzyła mnie zainteresowaniem - oświadczył wyniośle. - Nie jestem jednak na tyle naiwny, by wierzyć, że kobiety kochają mnie bezinteresownie. Wszyscy doskonale wiedzą, że pochodzę z zamożnej rodziny, zatem nietrudno się domyślić, dlaczego jestem atrakcyjny.

- Nic dziwnego, jeśli poza majątkiem nie ma pan nic do zaproponowania kobiecie.

- Czy naprawdę tak uważasz? Sądzisz, że bogactwo to mój jedyny atut?

- Zgodziliśmy się przecież, że nie jesteśmy sobą zainteresowani - zauważyła Serena wyniośle, lecz zepsuła efekt, dodając: - Poza tym nie miałam pojęcia, i nadal nie mam, kim pan jest. Jakże więc mogłabym być zainteresowana pańskim majątkiem?

Arystokrata ukłonił się uprzejmie.

- Nazywam się Wintersett.

- Cóż, panie Wintersett...

- Lordzie Wintersett. Na imię mam James i tak się do mnie zwracaj, nalegam. Skoro ustaliliśmy już, jak prezentują się nasze relacje - a raczej jak prezentuje się nasz brak relacji - powinnaś mi zdradzić, czemu udawałaś chłopca. Póki co, wiem jedynie, że ciężko być kobietą.

Ruchem głowy wskazał zwalone drzewo na skraju ścieżki i oboje usiedli na pniu. Serena na wszelki wypadek zajęła miejsce dość daleko od Jamesa.

- Do niedawna wiodłam swobodniejsze życie niż teraz - zaczęła ostrożnie. - Nie zrozum mnie źle, Jamesie, moje

poprzednie życie było jak najbardziej godne szacunku. Po prostu czułam się... bardziej niezależna. To właściwe słowo.

- Jesteś za młoda na wdowę.

- Możesz się zastanawiać, ile dusza zapragnie. Nie powiem ci nic ponad to, co uznam za stosowne. Tak czy owak, udało mi się samodzielnie kierować własnym losem.

- A teraz?

- Teraz muszę dawać przykład osobie młodszej od siebie.

- Jesteś guwernantką? Wybacz, lecz trudno mi w to uwierzyć.

- Może jestem, może nie. Czasami, niezbyt często, trudno mi znieść ograniczenia, które mnie krępują. W takich chwilach pragnę swobody.

- Wszystko to rozumiem, lecz dlaczego się przebierasz?

- I jeszcze pytasz? Przed chwilą zademonstrowałaś, w sposób nad wyraz brutalny, co się dzieje z kobietami, które - jak to ująłeś? - „szwendają się po bezdrożach bez stosownej eskorty”. Czy wyobrażasz sobie oburzenie, jakim zapałałaby śmietanka towarzyska na wieść o tym, że osoba, mająca dawać przykład, łamie wszelkie obowiązujące zasady? Przebranie miało mi gwarantować swobodę, której potrzebowałam. Co do jazdy okrakiem..., Czy zdarzyło ci się widzieć chłopaka, jadącego bokiem, w damskim siodle?

- Racja, to logiczne. I co teraz?

- Teraz będę musiała zapomnieć o przejażdżkach incognito i zacznę zachowywać się, jak na damę przystało. - Westchnęła.
- Skupię się na spacerach po ogrodzie; porannych wizytach, zawsze składanych popołudniami; uprzejmych rozmowach, w których trakcie nie pada ani jedno istotne słowo. Masz pojęcie, że nazwano mnie mołem książkowym, bo lubię Szekspi-

ra. Zapewne skończę jako dama, której jedyną rozrywką jest prasowanie kwiatów pod szkłem oraz haftowanie.

James roześmiał się.

- Niech cię Bóg chroni przed takim losem - oświadczył. - Muszę przyznać, że mnie intrygujesz, Sereno. Nie ulega wątpliwości, że nie jesteś guwernantką. Zajmujesz znacznie wyższe miejsce w hierarchii społecznej niż te nieszczęśnice. Mam też praktycznie pewność, że nie jesteś wdową. Jakim zrządzeniem losu wiesz takie życie?

Serena patrzyła na niego z niepokojem. Ten człowiek był stanowczo zbyt inteligentny. W krótkim czasie mógł dowiedzieć się wszystkiego, i to od niej samej!

- Na mnie pora! - oznajmiła pośpiesznie i ruszyła po czapkę, która nadal leżała tam, gdzie ją upuścił lord Wintersett.

- O, wykluczone! - zaprotestował i chwycił jej nakrycie głowy. - Nie uciekniesz mi tak łatwo. Podobnie jak ty spędziłem znaczną część życia w towarzystwie ludzi, którzy śmiertelnie mnie nudzili...

- Wcale tego nie powiedziałam! Bardzo kocham mo...

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a dostarczyłaby mu następnych informacji. Jego twarz się zmieniła, wydawał się teraz zupełnie obcy.

- Czyżbym znowu się pomylił? - spytał lodowatym tonem.
- Czy to możliwe, że szukasz ucieczki od nudnego kochanka? Czy dlatego wybierasz się na te... eskapady?

- Och, nie! Jestem... kimś w rodzaju przywoitki. Osoba, którą kocham, jest moją podopieczną.

- Bzdura, jesteś za młoda.

- Mam dwadzieścia siedem lat.

- Nie będę okazywał niedowierzania. Musisz przecież wie-

dzieć, ile masz lat. Przyznaję jednak, nie odgadłbym twojego wieku. - Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl. - Skoro jesteś przyzwoitką, musisz być mężatką albo wdową.

- Nic podobnego - zaprzeczyła energicznie. - Właśnie dlatego jestem taka ostrożna.

- Oczywiście. Rozumiem. Przekonałem się o tym na własne oczy.

Serena zachichotała.

- Widziałeś moje alter ego - przyznała rozbawiona. - Pamiętaj jednak, że to nieładnie urządzać sobie drwiny z damy. A teraz prosiłabym o swoją czapkę...

- Jeszcze nie usłyszałaś wszystkiego, co mam do powiedzenia, Sereno. - Popatrzył na jej uroczą buzię, bursztynowe, rozbawione oczy i nieco zaniepokojoną minę. - Pół godziny w twoim towarzystwie zapewniło mi więcej rozrywki niż rok spotkań z większością moich znajomych. Nie zamierzam rezygnować z czegoś tak fascynującego.

- Ale... nie mogę spędzać z tobą więcej czasu.

- A to czemu?

- Przecież musisz sobie zdawać sprawę, że to niemożliwe. Udawanie chłopca, to jedno. Przebieranie się i wymykanie chyłkiem z domu na schadzkę to coś zupełnie innego. Takie postępowanie byłoby dla mnie ujmą na honorze.

- Nigdy bym nie podejrzewał, że tak bardzo brakuje ci hartu ducha. W dodatku jesteś próżna.

- Co takiego?!

- To, co słyszałaś, Sereno. Jak możesz oskarżać mnie o próżność, skoro sama nie potrafisz uporać się z tą wadą? Czemu przyszło ci do głowy, że jestem zainteresowany schadzkami z tobą? Mogę przebierać w kobietach jak w ulęgałkach...

- To jasne. Biorąc pod uwagę twój gigantyczny majątek... Powiedz tylko, czego ode mnie oczekujesz?

- Towarzystwa. Przyjaźni. Nazwij to, jak chcesz. Świetnie się przy tobie czuję i nie zamierzam tego tracić.

- Obawiam się, że to konieczność. Nic na to nie poradzisz. Nie zgadzam się na potajemne spotkania.

- Sereno, obawiam się, że nie masz wyboru. - Chciała gwałtownie zaprotestować, lecz uciszył ją ruchem ręki. - Jeśli nie zgodzisz się przyjeżdżać tutaj w przebraniu chłopca, powiedzmy raz na tydzień, kiedy będę w domu... - popatrzył jej w oczy - ..wówczas odszukam twój dom i ujawnię prawdę. Wierz mi, odnalazłbym cię bez większego trudu, gdybym tylko chciał.

Serena patrzyła na niego z przerażeniem.

- Nie zrobiłbyś tego! - zawołała. - To nie miałyby sensu!

- Zgadzam się, że wolałbym uniknąć tej ostateczności. Z pewnością pójdziesz po rozum do głowy i wszystko ułoży się z obopólną korzyścią.

- Przecież to najzwyczajniejszy szantaż!

- Nie da się zaprzeczyć. Dobrze, że tak szybko to pojęłaś. - James zrozumiał, że Serena mu nie dowierza, powiedział więc powoli i wyraźnie: - Dowiem się, kim jesteś, a wówczas okryjesz się niesławą. Musisz wyrazić zgodę na kontynuację naszej znajomości.

Nie wątpiła, że nie rzucał słów na wiatr.

- Ty... łotrze!

- Och, Sereno, nie rozczarowuj mnie. O cóż takiego cię proszę, czego już nie robisz? Przecież wyjaśniłem ci, że nie jestem zainteresowany romansem. Poza tym nawet nie przyszło mi do głowy, by sugerować ci spotkanie w innym miejscu

niż to urwisko. Wszystko będzie odbywało się tak jak wtedy, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Pozostaniesz w chłopięcym przebraniu, a jeśli zechcesz, będę się do siebie zwracał „Williamie”.

Zerknęła na niego niepewnie.

- Przecież wiesz, że nie jestem chłopcem. To dość... krępujące. Nie chcę chodzić w spodniach, mając świadomość, że znasz moją prawdziwą płęć.

- Obiecuję, że nigdy nie spojrzę na twoje spodnie - zapowiedział z lekką kpina w głosie.

- Będziesz nazywał mnie Williamem?

- Bezustannie.

- I nie będziesz mi pomagał ani w szczególny sposób troszczył się o mnie tak, jakbyś to czynił w stosunku do kobiety?

- Będę dla ciebie ostry i surowy, jakbyś była najbardziej męskim członkiem mojego klubu.

- I nie będziesz źle o mnie myślał z powodu tej maskarady?

- Właśnie teraz zaczynam o tobie źle myśleć, Sereno...

- Ha!

- Zamierzam zwracać się do ciebie tym imieniem, kiedy będziesz zachowywała się jak kobieta. Chwilowo cierpisz na całkowicie kobiecą przypadłość: nie potrafisz stawić czoła temu, co nieuchronne. Jeśli pragniesz być postrzegana jak mężczyzna, zacznij myśleć logicznie i trzeźwo. - Podniósł dłoń i zaczął liczyć na palcach. - Po pierwsze, kierując się tylko i wyłącznie chęcią sprawienia sobie przyjemności, zaczęłaś przebierać się za chłopca i wypuszczać na przejażdżki po Downs. Mam rację?

Serena niechętnie skinęła głową.

- Po drugie, biorąc pod uwagę możliwość spotkania się z oskarżeniem o próżność, pragnę zauważyć, że nasze rozmowy sprawiały ci równie dużą przyjemność, jak mnie. Zgadza się?

Serena ponownie skinęła głową. James wydawał się zadowolony.

- Po trzecie, nie wyrażając zgody na kontynuowanie tych przyjemności, narażasz się na bardzo niemiłe konsekwencje. Nad czym tu się zastanawiać? Praktycznie nie masz wyboru.

Serena nie zamierzała jednak składać broni.

- Jaką przyjemność mogę czerpać z czegoś, co robię pod przymusem?

- Chcesz tego i zdajesz sobie z tego sprawę. Przymus nie ma tu nic do rzeczy. A teraz pora zakończyć tę niepotrzebną rozmowę. Będziesz Serena czy Williamem?

- Jeśli się zgodzę, nie będziesz próbował się dowiedzieć, gdzie mieszkam i kim jestem?

- Przyrzekam z ręką na sercu.

- A pozwolisz mi od czasu do czasu przejechać się na grzbiecie Douce?

Twarz Jamesa, zwykle chłodna, rozpromieniła się w uśmiechu.

- Ależ oczywiście.

Serena odetchnęła głęboko.

- Umowa stoi! - oświadczyła stanowczym tonem.

Tak przebiegło pierwsze z serii spotkań Sereny i Jamesa. Ciotka Spurston, której zdrowie polepszyło się wraz z nadejściem wiosny, postanowiła w każdy piątek odwiedzać panią Galveston w Reigate. Lucy mogła tam dołączać do Isabelli

podczas zajęć tanecznych, w których uczestniczyli młodzi ludzie z okolicy. Lekcje odbywały się pod ścisłym nadzorem, rzecz jasna. W ich trakcie lady Spurston odświeżała dawne znajomości. Serena nie musiała brać udziału w tych wyprawach, gdyż w powozie wygodnie mieściły się tylko dwie osoby, a lady Spurston świetnie bawiła się w trakcie pogawędek z przyjaciółmi.

- Sereno, dla odmiany będziesz mogła nacieszyć się samotnością. Niewiele będziesz jej miała po rozpoczęciu sezonu.

Można było odnieść wrażenie, że wszystko zostało przemyślane tak, aby ułatwić Serenie spotkania z lordem Winterstem. Sheba gderała, ale udzielała swojej pani stosownej pomocy. Babka cioteczna, co oczywiste, zawsze zabierała ze sobą stangreta oraz stajennego, a Tom, chłopak ze stajni, został jednym z najwierniejszych przyjaciół Sereny Traskowi podobały się przejażdżki, zwłaszcza że przez kilka ostatnich lat poważnie go zaniedbywano.

Rozdział piąty

W życiu Sereny nie brakowało dotąd zajęć i radości, lecz nie mogłaby z czystym sumieniem nazwać go szczęśliwym. W dzieciństwie niejednokrotnie doskwierała jej samotność. Dorastała w gospodarstwie zdominowanym przez dwóch mężczyzn o silnych osobowościach: ojca i brata Richarda. Z perspektywy czasu Serena wyraźnie dostrzegała egoizm i cynizm brata, który wykorzystywał uwielbienie, jakim darzyli go siostra i ojciec. Byli zaślepieni jego urokiem i brawurą. „Prezencja lwa i serce lwa”, powiedział kiedyś ojciec. Richard i ojciec bezlitośnie wykorzystywali Rodneya i jednocześnie nim gardzili, bo na to pozwalali. Rodneyowi udało się na pewien czas wymknąć prześladowcom, kiedy poślubił matkę Lucy. Po jej śmierci powrócił do Anse Chatelet z maleńką córką.

Serena za wszelką cenę starała się uchronić przed pogardą, jaka spotkała jej brata, i robiła wszystko, by zyskać aprobatę lorda Calverta i podziw Richarda. Przede wszystkim chciała udowodnić, że jest śmiała i zaradna. W wieku czternastu lat umiała już celnie strzelać, sprawnie jeździć konno i żeglować niemal tak dobrze jak jej opiekunowie. Później od świtu do zmierzchu urabiała sobie ręce po łokcie, aby Anse Chatelet

nie padło łupem wierzycieli. Praca dawała jej satysfakcję, lecz nie należała do lekkich. Świadomość obowiązków - wobec Lucy i posiadłości - ogromnie ciążyła Serenie.

Teraz, w samym sercu angielskiej wsi, przekonała się, czym jest beztroska. Wraz z lordem Wintersettem wędrowała po wzgórzach, dolinach, ścieżkach i polach Surrey. Rzadko kiedy zdarzało się im kogoś napotkać, gdyż trzymali się niepopularnych tras i odwiedzali odludne zakątki. Ulubionym miejscem Sereny pozostał jednak wierzchołek urwiska, gdyż tam czuła się niemal jak na dachu świata, daleko od ograniczeń przyziemnego życia.

James od razu się zorientował, że przy Serenie mówi swobodnie i bez zahamowań, co mu się dotąd nie zdarzało. Do tego z nietypowym dla siebie zainteresowaniem czekał na wszystko, co miała mu do powiedzenia. Nigdy go nie zawiodła. Jej błyskotliwa inteligencja, ogromne poczucie humoru, świeżość poglądów były dla Jamesa stałym źródłem przyjemności. Praktycznie jedyną barierą, która nadal ich dzieliła, było jej silne postanowienie, by ukrywać szczegóły z prywatnego życia. James wyczuwał, że Serena broni się w ten sposób przed wątpliwościami, które mogłyby zaistnieć w związku z jej zachowaniem. Szanował to i nie starał się zastawiać na nią pułapek. Nie zależało mu na tym, aby się zdradziła. Wszelkie wnioski i spostrzeżenia odnotowywał w pamięci, lecz nie przywiązywał do nich szczególnej wagi. Jemu także odpowiadało poczucie izolacji od społeczeństwa, w świecie stworzonym na szczycie wzgórza tylko dla niej i dla niego.

Oczywiście istniały między nimi pewne różnice. Serena doświadczyła już uporczywości i bezwzględności lorda Wintersetta w dążeniu do celu. Od czasu do czasu czuła się zniechęcona,

gdy dostrzegą jego chłód, obojętność na uczucia innych, nawet tych, których lubił. James szybko się zorientował, że jest szczególnie wrażliwa na punkcie swojej niezależności, na dodatek obdarzona temperamentem. Lata dyscypliny nauczyły ją panowania nad sobą, lecz gdy zapominała o samokontroli, robiła to, na co miała ochotę, i nie myślała o konsekwencjach.

Pewnego pamiętnego dnia James musiał użyć siły fizycznej, aby uratować ją przed tragedią. Zawędrowali wówczas dalej niż zwykle i natrafili na samotną chatę, przed którym rozgrywały się wstrząsające sceny. Mieszkańców, parę w podeszłym wieku, właśnie siłą wyrzucano z domu. Dwóch mężczyzn, wynajętych przez zarządcę majątku, demonstracyjnie ciskało podniszczone meble na trawnik przed budynkiem. Kobieta zanosila się płaczem, mężczyzna miał guza na czole - wyraźny dowód na to, jak zostali potraktowani. Serena rzuciła się biegiem w kierunku domu.

- Co się tutaj dzieje?! - zawołała. - Natychmiast przestańcie!

Mężczyźni rozejrzeli się ze zdumieniem, lecz na widok chłopca tylko wzruszyli ramionami i powrócili do swoich zajęć.

- Niewyraźnie mówię?! Dość tego, rzezimieszki!

Jeden z mężczyzn poczuł się urażony i natychmiast się ku niej odwrócił.

- Ty bezczelny smarkaczu! - wykrzyknął. - Zmiataj stąd! Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Dom ma być pusty przed wieczorem. Nie będziesz nas uczył fachu. - Okręcił się na pięcie. - Ejże, ty! - krzyknął.

Staruszka powoli podeszła do sterty mebli i usiłowała wno-

sić je z powrotem. Osiłek skoczył ku niej i szarpnął ją tak brutalnie, że wyładowała w kałużę błota. Złociste oczy Sereny rozbłysły gniewnie. Momentalnie zeskoczyła z konia i podbiegła do ubogiej kobiety, aby pomóc jej wydostać się z brudnej wody. W tym momencie James doszedł do wniosku, że należy interweniować, nim rzekomy William wpakuje się w poważne tarapaty. Wjechał na łąkę i wprowadził Douce pomiędzy osiłka a Serenę.

- Jakież problemy? - spytał oziębłe.

Obaj mężczyźni ściągnęli czapki z głów.

- Jaśnie panie, prosimy o wybaczenie. Wykonywaliśmy obowiązki, kiedy nagle zjawił się ten młody dżentelmen.

- Czy należy do nich popychanie kobiety, która mogłaby być waszą matką?

Mężczyźni poczerwienieli.

- Stara musiała się potknąć - wymamrotał jeden. - Nie chciała robić tego, co jej kazaliśmy. Przez nich są same kłopoty.

- Nie płacą czynszu?

- Nie w tym rzecz, jaśnie panie. Właściciel ziemi potrzebuje jej do innych celów, a w tym domu nie ma warunków do życia, ani dla człowieka, ani dla zwierzaka. Przeznaczono dla nich inne miejsce.

- Przecież to ich dom! - krzyknęła Serena. - Czemu mają go opuścić, skoro nie chcą?

- Jeśli właściciel potrzebuje tej ziemi i zaproponował im inne miejsce zamieszkania, powinni się zgodzić. Nie mają wyboru - zauważył James i popatrzył na mężczyzn. - Pamiętajcie tylko, żeby obchodzić się delikatnie ze starcami. Chodź, Williamie.

- Nigdzie nie pójdę, dopóki się nie upewnię, że tym ludziom nie dzieje się krzywda! - oświadczyła Serena zapalczewie. - Gdzie jest ich nowy dom?

- W domu robotniczym, młody panie! - wykrzyknął starzec. - Chcą nas rozdzielić, mnie i Sal!

- I co z tego? Twoja kobieta i tak nie ma z ciebie pożytku, staruchu! - zadrwił drugi osiłek.

- Jak śmiesz! To ohydne! - wrzasnęła Serena. Obiegła Douce i kopnęła robotnika w goleń.

- Co jest! - ryknął i złapał Serenę za kołnierz.

James w jednej chwili skoczył jej na pomoc. Chwytał mężczyznę z taką siłą, że omal nie złamał mu ręki, a następnie odepchnął go zdecydowanym ruchem i powalił na ziemię. Przerobiła Polgara68.

- Ty! - warknął. - Jeszcze raz dotkniesz mojego bratanka i będziesz tego żałował do końca życia. Dla kogo pracujesz?

- Dla jaśnie pana Olivera Camdena - wymamrotał osiłek, gramoląc się niezdarnie. - A jaśnie pan niech lepiej uważa, mój pan nie lubi, kiedy ktoś wtyka nos w jego sprawy.

- Znam Olivera. Nie wierzę, by miał takie intencje, porozmawiam z nim. Tymczasem macie zostawić tych starych ludzi w spokoju, rozumiecie? Williamie, wskakuj na konia. Jedziemy.

- Ale... - usiłowała zaprotestować Serena.

- Powiedziałem: jedziemy!

Najwyraźniej nie zamierzała posłuchać, więc James chwycił ją pod pachę i nie zważając na jej protesty i krzyki, zaniósł ją do cierpliwie czekającego Traska i posadził w siodle. Potem przywołał Douce i wkrótce oboje ruszyli w dalszą drogę. Na wszelki wypadek James mocno trzymał wodze Traska.

- Puść! - syknęła. - Puść mnie! Jesteś taki sam jak oni, równie wstrętny!

James jechał w ponurym milczeniu. Nie zważając na protesty Sereny, prowadził jej konia, aż oboje opuścili las i przemierzili jeszcze spory dystans. Gdy się zatrzymał, Serena momentalnie zawróciła konia i pognała go z powrotem ku chacie. James dogonił ją bez trudu i tym razem zmusił, by zeskoczyła na ziemię. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie i patrzyli sobie w oczy. Serena wciąż była wściekła.

- Jak śmiesz traktować mnie jak dziecko?! - wykrzyknęła.
- Ci ludzie potrzebowali mojej pomocy. Wróć tam, a ty mnie nie powstrzymasz.

- Głupio postępujesz, Sereno - oznajmił. - Czy naprawdę chcesz zrobić z siebie widowisko? Niewiele brakowało, a twoja tajemnica wyszłaby na jaw. Gdybym nie powstrzymał tamtego mężczyzny, lada chwila by się zorientował, kogo szarpie za kołnierz. Weź się w garść!

- Ale tamten starzec... i kobieta...

- Oliver nie złamał prawa, doskonale wiesz, że to jego ziemia i może przesiedlić zajmujących nią ludzi.

- Ale przecież on zamierza ich rozdzielić, choć przeżyli ze sobą tyle lat!

Zaintrygowany James nie odrywał od niej wzroku.

- Czemu są dla ciebie tacy ważni?

- Nie w tym rzecz... Jeśli sprawuje się nad kimś pieczę, trzeba zapewnić mu godne życie. Znałam już podobnych starszków. Jeśli się ich rozdzieli, umrą z tęsknoty.

- Daj spokój, i tak są jedną nogą w grobie. Zapomnij o nich.

Serena posłała mu pełne obrzydzenia spojrzenie i okręciła się na pięcie. Przez pewien czas stali nieruchomo, milcząc.

- Porozmawiam z Oliverem - zapowiedział James. - Z pewnością uda mu się znaleźć jakiś dom we wsi, aby ich tam przesiedlić. Co najwyżej będzie zachodził w głowę, jaki ja mam w tym interes. Czy teraz jesteś zadowolona?

Serena momentalnie się odwróciła. Jej twarz pojaśniała z wdzięczności. Szybko podeszła do Jamesa i chwyciła go za rękę. Przez ułamek sekundy myślał, że dziewczyna go pocałuje i nieoczekiwanie zapragnął jej dotknąć. Zanim zdołał nad sobą zapanować, położył dłoń na jej palcach.

- Sereno! - wyszeptał.

Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy, potem oboje się cofnęli o krok, jakby nagle stanęli nad przepaścią.

- Obiecałeś... obiecałeś, że zawsze będziesz mnie nazywał Williamem - przypomniała niepewnie.

James usilnie próbował odzyskać panowanie nad sobą. Wiedział, że następna chwila będzie decydująca. Gdyby Serena domyśliła się, jak silnie na niego wpływa jej bliskość, z pewnością nie zgodziłaby się na następne spotkania. Jej przyjaźń i zaufanie stały się dla niego ważniejsze, niż przypuszczał. Nie wolno mu było stracić tej młodej kobiety tylko z powodu przejściowej fali pożądania. Przyjaźń z Sereną nie dałaby się przeliczyć na pieniądze.

Czekała na jego odpowiedź.

- Wspomniałem, że kiedy będziesz zachowywała się irracjonalnie, jak podczas spotkania z tymi ludźmi, zamierzam zwracać się do ciebie twoim prawdziwym imieniem. Postępuj rozsądnie, a ponownie staniesz się dla mnie Williamem.

Ta odpowiedź uspokoiła Serenę. Podczas wszystkich dotychczasowych spotkań, z wyjątkiem jednego, kiedy odkrył, że ma do czynienia z kobietą, lord Winterset zachowywał

się nienagannie. Gdyby choć raz okazał jej cieplejsze uczucia, byłaby zmuszona zrezygnować z wypraw, nawet za cenę zde-maskowania. Była zdumiona, że poczuła ulgę - mogła teraz z czystym sumieniem kontynuować tę dziwną przyjaźń.

Następnego tygodnia Serena nie pojawiła się o ustalo-nej porze. James ufał nowej przyjaciółce tak głęboko, że na-wet przez myśl mu nie przeszło, by spełnić groźbę: odszukać ją, gdyby odmówiła przybycia na spotkanie. Nie czuł złości ani rozczarowania, tylko niepokój. Czy po ostatniej wypra-wie bezpiecznie powróciła do domu? A może zachorowała? Kiedy tydzień później również nie ujrzał jej o ustalonej porze, zdenerwował się do tego stopnia, że gotów był rozpocząć po-szukiwania. Zrozumiał wtedy prostą prawdę: musiał wiedzieć o tej dziewczynie jak najwięcej tylko i wyłącznie dla jej dobra. W końcu z nieopisaną ulgą dostrzegł jej sylwetkę na poblis-kim wzgórzu. Momentalnie popędził wierzchowca.

- Serena! Co się stało?

- Tydzień temu? Muszę przyznać, że kamień spadł mi z ser-ca, gdy stało się jasne, iż nie przyjedziesz do... do miejsca, w który mieszkam. Lordzie Wintersett, powinnam była wcześ-niej sprawdzić, czy faktycznie jesteś gotów spełnić groźby.

- Nie dręcz mnie dłużej. Mów zaraz: przytrafił ci się jakiś wypadek? Co cię zatrzymało? Może ktoś cię napadł?

- Nie. Moja... Osoba, z którą mieszkam, poczuła się źle. Nie mogłam zostawić jej samej.

Nagle oboje sobie uświadomili, że James ściska dłonie Se-reny. Cofnęła się zawstydzona.

- Lordzie Wintersett, obiecałeś zwracać się do mnie imie-niem William - przypomniała.

- Wiem - przytaknął. - Czasami jest mi tak piekielnie trud-

no pamiętać o tym zobowiązaniu. Bałem się o ciebie. Co z tego, że ubierasz się jak chłopiec, skoro jesteś kobietą w każdym calu. Wyczuwam to, cokolwiek powiesz i zrobisz. Jesteś taka wrażliwa i delikatna.

Serena wybuchnęła śmiechem i pomachała pistoletem.

- Niech ma się na baczości złoczyńca, który uznałby mnie za bezbronną istotę! - zapowiedziała buńczucznie.

- Co by ci przyszło z tej zabawki, gdybyś spadła z konia i złamała nogę?

Nie ulegało wątpliwości, że James jest szczerze przejęty, więc Serena, nie bez pewnego rozbawienia, postanowiła wprowadzić go w lepszy nastrój.

Mijały tygodnie. Serena miała świadomość, że nadoziera pora przeprowadzki do Londynu. Otrzymała list od lady Pendomer, w którym dama ta donosiła, że na cały czas pobytu Sereny w stolicy kuzyn sir Henry'ego, lord Ambourne, jest gotów wynająć jej po bardzo umiarkowanej cenie mały dom przy Dover Street. Serena napisała do lorda Ambourne'a i otrzymała niezwykle uprzejmą odpowiedź z ofertą wynajęcia domu, z pełnym wyposażeniem i służbą. Lord Ambourne ubolewał, że nie będzie mógł zapoznać się z Sereną tak rychło, jakby sobie tego życzył, lecz wraz z hrabiną spędza pierwszą część lata w francuskiej posiadłości.

Lucy coraz bardziej się niecierpliwiła; chciała jak najszybciej posmakować życia w wielkim mieście. Suknie dla niej i dla Sereny były od dawna gotowe. Ostatnie drobiazgi, takie jak bury, wachlarze, szale i tym podobne, miały zostać kupione na miejscu, w Londynie. W Surrey nie było już nic do roboty, a mimo to Serena zwlekała z wyjazdem. Miała pewność,

że spotka lorda Wintersetta podczas sezonu i że ich przyjaźń przetrwa próbę przeprowadzki, lecz w Londynie musiała być panną Calvert lub Sereną, jednak z pewnością nie Williamem.

Kiedy w rozmowie z lordem Wintersettem wspomniała o nieuchronnym wyjeździe, jej przyjaciel również zdawał się ubolewać nad koniecznością przenosin.

- Jak mniemam, wyruszasz do Londynu na sezon - zauważył. - Z pewnością chodzi o debiut twojej podopiecznej. Och, Williamie, nie patrz na mnie takim wzrokiem. Nie wtykałem nosa w twoje sprawy i nie masz powodu sądzić, że cokolwiek się pod tym względem zmieniło. Cóż, należy pogodzić się z tym, że nic nie trwa wiecznie, nawet coś, co jest tak przyjemne. Spotkam cię w Londynie?

Skinęła głową.

- Dziwne będą nasze przyszłe kontakty - ciągnął. - Mam poczucie, że znam cię lepiej niż swoich najstarszych znajomych, a przecież będziemy musieli udawać obcych sobie ludzi. Zauważ również, że nigdy nie widziałem cię w sukni.

Spojrzała na niego pełnym powątpiewania wzrokiem.

- Przyjacielu, nie oczekuj zbyt wiele. Pamiętaj, że wybieram się do stolicy jako przyzwoitka.

- To tylko dodaje pikanterii całej sytuacji. Ujrzę przemianę Williama Niepokornego w Serenę Nobliwą Przyzwoitkę. Ta perspektywa jest tak przyjemna, że niemal wynagradza mi konieczność przerywania naszych spotkań w dotychczasowej formie. „Niemał” nie znaczy jednak „całkiem”.

Dojechali do skraju urwiska i przystanęli.

- Będzie mi brakowało Williama - wyznał lord Wintersett.

- Na szczęście w jego pamięci na zawsze pozostaną wspomnienia twojej dobroci i przychylności.

- Sereno...

- Nie! Sereną będę dopiero w Londynie - zaprotestowała pośpiesznie. - Zaczekaj do tego czasu. Kiedy zamierzasz przyjechać do miasta?

- Przez większą część roku mieszkam w Londynie. Dom, w którym się obecnie zatrzymałem, nie jest szczęśliwym miejscem. Ta wiosna w niczym nie przypominała dotychczasowych. - Uśmiechnął się do Sereny. - Chyba pojmujesz dlaczego, Williamie.

Serena zastanawiała się jednak nad wcześniejszymi słowami przyjaciela.

- Dlaczego twój dom nie jest szczęśliwy? - odważyła się zapytać.

- Bratanek jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Matka także jest niepełnosprawna, a ostatnio jej stan się pogorszył.

- Czy wyzdrowieje?

- Któż to wie? Jej przypadłość ma charakter psychiczny. Choroba wynikła z dwóch wstrząsów, które nastąpiły jeden po drugim. Mój ojciec i młodszy brat zmarli w miesięcznym odstępie. Ta tragedia nieodwracalnie odmieniła mamę. - Zamyślił się i po chwili dodał pośpiesznie: - Nie psujmy tak pięknego popołudnia ponurymi refleksjami. To może być jedna z naszych ostatnich przejażdżek. Czy podczas następnego galopu zadowolisz się Traskiem, czy też może życzyłybyś sobie dosiąść Douce?

Serena uśmiechnęła się pogodnie.

- Też pytanie.

Tydzień później Serena oznajmiła Jamesowi, że to ich ostatnie spotkanie. Rozejrzał się po okolicy i zastanowił, dlaczego, u licha, wszystko wygląda tak pogodnie i miło, skoro stosowniejsza byłaby ulewa.

- Ostatnim razem podkreśliłaś, że wybierasz się do Londynu, nie jestem więc zaskoczony. Poza tym wkrótce nie będę mógł spędzać tyle czasu w Surrey, obowiązki wzywają mnie do stolicy.

Serena obrzuciła Jamesa niespokojnym spojrzeniem.

- O co chodzi?

- Szanuję twoją prywatność, podobnie jak ty moją. Teraz jednak, gdy nasz londyński debiut jest bardzo bliski, wraz z podopieczną wysłuchuję niezliczonych porad, a także plotek. Kilka razy usłyszałam twoje nazwisko i powiem ci, że tamten lord Winterset w niczym nie przypomina znanego mi mężczyzny.

- Nie?

- Ani trochę. Doszły mnie słuchy, że lord Winterset jest bezlitosny i obojętny. Podobno kobieta, która usiłuje go sobą zainteresować, naraża się na ostrą odprawę. Nawet jego faworyty - wybaczyć, nadal wypowiadam się jako William, więc mogę wspominać o tego typu sprawach - nie orientują się, gdy jego zainteresowanie przemija.

- Nie kwestionuję prawdziwości tych historii. Kiedyś napomknęłaś, jak ciężko być kobietą. Nie masz pojęcia, jak trudno być bardzo bogatą kobietą. Nazwałaś mnie próżnym, bo uznałem, że zagięłaś na mnie parol. Podpowiedziało mi to doświadczenie. Nie zamierzam zanudzać cię tego typu opowieściami, wydaje mi się jednak, że znam wszystkie sztuczki stosowane przez kobiety po to, by mnie usidlić. Rzecz jasna,

nie chodzi tutaj o mnie, lecz o majątek. Co do faworyt... Taki już ich los. Same o nim zdecydowały i ponoszą konsekwencje swojego postanowienia. W każdym razie są godziwie wynagradzane.

Serena wpatrzyła się w panoramę doliny.

- Co się stało?

- Raz usprawiedliwiasz brak troski o innych tym, że dybią na twój majątek. Drugi raz wykorzystujesz bogactwo, by stłumić potrzebę troski o innych. „Są godziwie wynagradzane”, powiadasz. Twoje słowa nie brzmią przekonująco, lordzie Wintersett.

Złapał ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Spójrz na mnie, Sereno, bo to ważne. Nikt nie może powiedzieć, że kiedykolwiek złamałem obietnicę.

- To chyba już coś - przyznała ostrożnie - ale nadal za mało. Moim zdaniem, brakuje ci...

- Czego?

- Sama nie wiem. Dobroci?

- Czy to dla ciebie ważne? - zdumiał się. - Mam na myśli uniwersalną dobroć.

- Chyba tak.

- To nie jest cecha, którą pragnąłbym w sobie rozwijać. Dobroć należy okazywać idiotom i głupcom pełnym dobrych chęci, a ja zawsze starałem się ich unikać. Sereno, czy chcesz, abym ci coś obiecał? Czy o to chodzi?

- Nie! - zaprzeczyła energicznie. - Nie, to nie jest dobry moment na składanie obietnic. Sytuacja między nami jest... zbyt sztuczna.

- Czasami odnoszę wrażenie, że tylko ona jest prawdziwa w moim świecie - wyznał.

- Świat, o którym mówisz, istnieje tylko tutaj, na wzgórzu. On również nie jest rzeczywisty - podkreśliła ze smutkiem.

- Świat londyńskiej śmietanki towarzyskiej jest nieskończenie bardziej sztuczny niż świat, który sami sobie stworzyliśmy. Będziesz zasypywana pochlebstwami, wplątywana w rozmaite niezręczne sytuacje, jak ja kiedyś... Proszę cię jednak, nie zmieniaj się w Londynie. - Lekko zmarszczył czoło. - Mam niedobre przeczucie, że cię stracę. Nie możemy złożyć teraz ślubów? Przysięgi, która połączyłaby nas niewidzialnym węzłem? Jestem gotów to uczynić, powiedz, że również tego pragniesz.

- Jeśli spotkamy się ponownie w Londynie i nadal będziesz pragnął, by połączyły nas śluby - przyjaźni, lojalności, sama nie wiem jakie - wówczas cię wysłucham. Nie wcześniej. A teraz muszę wracać do domu.

- Zatem do zobaczenia w stolicy, Sereno. Nim się rozstanieśmy, muszę uczynić *coś jeszcze*.

Delikatnie pocałował ją w usta. Z niewyobrażalną radością uświadomił sobie, że Serena odwzajemniła jego pocałunek.

- Bez względu na to, czy masz tego świadomość, czy też nie, właśnie połączyła nas obietnica, zapowiedź tego, co nas czeka - wyszeptał, gdy oderwali się od siebie.

Zaskoczona i oszołomiona patrzyła na niego w milczeniu.

- Do zobaczenia w Londynie - powiedział.

Pocałował ją ponownie, potem puścił. Z zadumą patrzył, jak Trask niesie Serenę coraz dalej i dalej, w dół doliny.

Gdy James powrócił do domu, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że idylla właśnie dobiegła kresu. Nie miał pojęcia, co ją zastąpi. Serena nazwała tę sytuację „sztuczną”. Zapewne miała rację, ale przecież byli w stosunku do siebie bardziej szczerzy

niż osoby spotykające się w londyńskich salonach. Czy Serena się zmieni, gdy przywdzieje piękne suknie? Nie potrafił sobie wyobrazić, jak papie i trzepocze rzęsami wzorem dam z towarzystwa, niemniej był pewien, że straci naturalną, niewymuszoną spontaniczność, która budziła w nim niekłamanym zachwytem. Na dodatek piastowała funkcję przyzwoitki. Kim jest jej podopieczna? Wśród okolicznych rodzin chyba tylko dziewczyna Warnhamów osiągnęła wiek odpowiedni do debiutu. Jej rodzina nie musiała jednak poszukiwać dodatkowej przyzwoitki, wystarczyła przecież sroga pani Galveston. Domysły nie mają sensu, uznał, i tak wkrótce poznam prawdę.

Nie powtórzył się już historyczny wybuch Alanny, do którego doszło na wieść o przybyciu Sashy Calvert do Anglii, lecz wdowa przez cały czas była blada i spięta, a na dodatek gorączkowo aktywna. James zaproponował, że na lato odeśle ją do Irlandii, lecz odmówiła, zwłaszcza na wieść o tym, że młody Tony pozostanie w Anglii, gdyż tam czuje się najlepiej.

- James, nie rozłączysz nas! - wykrzyknęła.

- Utwierdzam się w przekonaniu, że tak byłoby najlepiej dla chłopca - oświadczył brutalnie. - Tony nigdy nie zechce poznać normalnego życia, jeśli będziesz się przy nim bezustannie kręcić i wmawiała mu, jaki jest delikatny. Gdzie on teraz jest?

- Dzisiaj wstał z łóżka. Jest u siebie, nawet miał lekcję z guwernerem.

James poszedł do pokoju chłopca. Nie znosił odwiedzin u jedyne go dziecka ukochanego brata. Tony w niczym nie przypominał ojca. Urodził się w siódmym miesiącu ciąży i od początku rozwijał się powoli. Z chorowitego niemowlęcia zmienił się w bladego, ospałego inwalidę. Brakowało mu

łagodnej odwagi ojca, a także chęci poznawania świata. Cały czas spędzał w łóżku lub na wózku inwalidzkim, pod czujnym okiem nadopiekuńczej matki. Ze wszystkich ofiar tragedii, jaka wydarzyła się na St Just, on ucierpiał bodaj najbardziej.

Tony siedział na wózku, lecz był sam. W pokoju brakowało guwernera. Chłopiec popatrzył na stryja.

- Dzwonię i dzwonię, a nikt nie przychodzi - oświadczył.

- Gdzie pan Gimble?

- Poszedł do biblioteki po jakąś książkę. Stryjku, czy mógłbyś mi podać pudełko orzeszków w cukrze? Jest na stoliku przy łóżku.

- Powiedz mi, chłopcze, czy koła tego wózka można popychać rękami?

- Tak.

- Wobec tego popchnij je trochę. Stolik jest tuż obok.

Chłopiec otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Ale... Ale...

- Śmiało. Jeśli dasz sobie radę, przyniosę ci jedno ze szczeniąt Flossie, obejrzysz je z bliska.

Oczy chłopca pojaśniały. Natychmiast się pochylił, aby chwycić obręcz kół. Kostki jego delikatnych dłoni zbiały, gdy mocno pchnął koła.

- Poruszył się!

- Pewnie - potwierdził James, dyskretnie popychając wózek nogą. Niestety, do pokoju weszła Alanna, która bardzo nie lubiła, gdy James spędzał zbyt wiele czasu z jej synem. Na widok Tony'ego rzuciła się, by go powstrzymać.

- Mamo, nie! - wykrzyknął. - Muszę to zrobić. Stryjek James obiecał, że przyniesie mi szczeniaka.

- Szczeniaka! James, chyba oszalałeś! Anthony będzie kasz-

łał i prychał przez pół nocy, jeśli wpuścisz tu jakieś zwierzę. Chodź, kochanie, mamusia poda ci wszystko, czego potrzebujesz. Chciałeś pudełeczko, prawda?

Zniecierpliwiony James wyszedł z pokoju.

Następnego ranka doręczono list od Bradpole'a, w którym prosił on o spotkanie z lordem Wintersettem. Sashy Calvert spodziewano się w połowie kwietnia, miała zamieszkać w domu wynajętym od lorda Ambourne'a przy Dover Street. James uśmiechnął się. Zrządzeniem losu to właśnie Ned miał gościć Calvertówny. James chodził z Nedem do szkoły i uważał go za bliskiego przyjaciela. Ned nic nie wiedział o wydarzeniach, które przed wielu laty rozegrały się w Anse Chatelet, gdyż historię samobójstwa Tony'ego na Karaibach trzymano w ścisłej tajemnicy. Alanna życzyła sobie tego dla dobra syna, a Calvertowie mieli własne powody, by ukrywać prawdę. Ogłoszono zatem, że Tony zmarł z powodu szkodliwego wpływu tropikalnego klimatu.

Na spotkaniu pan Bradpole przybrał poważny wyraz twarzy.

- Nie udało mi się ustalić, którym statkiem panna Calvert i jej bratanica przypłynęły z Karaibów. Listy pasażerów mają się nijak do rzeczywistości. Codziennie przybywają do Londynu zastępy ludzi, aby uczestniczyć w sezonie. Od zarządcy majątku lorda Ambourne'a dowiedziałem się, że oczekuje on lokatorek w przyszłym tygodniu. Czy nadal trwa pan w swoim postanowieniu, lordzie Winterset?

James się zawahał. W gruncie rzeczy ostatnio ogarniało go obrzydzenie na myśl o zemście na Calvertach. Ujawnianie słabości lub niezdecydowania nie leżało jednak w jego naturze, uchylił się więc od odpowiedzi.

- Jak tam sprawy w Anse Chatelet? - zainteresował się.
- Wieści powoli docierają z Karaibów do Anglii, a jeszcze wolniej kursują między Barbados a St Just. Dlatego przez pewien czas nie spodziewam się żadnych nowin.
- Wobec tego daj mi znać, gdy będziesz coś wiedział. Wówczas zadecyduję, co dalej.

James postanowił przekonać bratową do rozmowy o przeszłości.

- Uwierz mi, Alanno, nie zamierzam rozdrapywać zabliznionych ran. Po prostu nadszedł czas, abym postanowił, jak postąpić z Sashą Calvert. Potrzebuję twojej pomocy. Muszę wiedzieć, co naprawdę się zdarzyło.

Błękitne oczy Alanny napełniły się łzami.

- Powtarzałam ci to już wielokrotnie - wyszeptwała łamiącym się głosem. - James, to był istny koszmar. Dlaczego zmuszasz mnie do wspomniania tamtych chwil?

- Postaraj się. Czy przed wyjazdem na St Just byliście szczęśliwi, ty i Tony?

- Och, tak! - wykrzyknęła. - Na wyspie także. Aż do chwili, gdy...

- Mieszkaliście w tym domu... w Anse Chatelet?

- Tak. Lord Calvert zaprosił Tony'ego do posiadłości, a sam wybrał się na eksplorację wyspy i poszukiwanie nowych roślin.

- Kto jeszcze mieszkał tam w owym czasie?

- Niech pomyślę... Lord Calvert, poza tym Sasha i Rodney, ale on był niepełnosprawny, starszy brat Richard i mała Lucy.

- I co się stało?

- Chodzi o tę kobietę, Sashę. Towarzyszyła Tony'emu podczas każdej wyprawy.

- Gdzie byłaś podczas tych ekspedycji?

- Zostawałam w Anse Chatelet. - Mówiła z rezerwą, jakby obawiała się jego niewypowiedzianych słów krytyki. - Podejrzewam, że powinnam była wyruszyć z Tonym, ale nie przywykłam do takich wypraw. Z trudem znosiłam upał...

- A Tony? Dla niego zmiana klimatu również musiała stanowić nie lada wyzwanie.

- Był do tego stopnia zafascynowany tropikalną roślinnością, że chyba nie zwracał uwagi na skwar. Na mnie zresztą również - uzupełniła z goryczą. - Wciąż przebywał poza domem.

- Kiedy się zorientowałaś, że Tony ma romans z tą kobietą z rodziny Calvertów?

- Ona była przebiegła. W domu nigdy nie trzymała się blisko niego, a gdy wychodzili na wyprawy, wszyscy byli przekonani, że tylko prowadzi go przez las. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłaby mu wpaść w oko. Ani trochę mnie nie przypominała. Nie miała w sobie krztyny kobiecości. I pomyśleć, że przez cały czas... Mój biedny Tony! Mój biedny, kochany Tony! - Zaczęła szlochać.

- Alanno - poprosił James łagodnie - powiedz mi, jeśli możesz, co zdarzyło się przed śmiercią Tony'ego.

- Wszystko ci opowiem, ale nie teraz. Teraz koniecznie musisz iść zobaczyć, co z Anthonym...

- Pan Gimble się nim zajmuje. Alanno, opowiedz mi, co się stało.

- Nie czułam się dobrze. Powiedziałam Tony'emu o dziecku... i wtedy wyznał prawdę. Oznajmił mi, że kocha Saszę Calvert i że zamierza mnie opuścić. Doszło do upiornej sceny. Straciłam panowanie nad sobą. Może nie powinnam była robić tego, do czego się posunęłam.

- Co zrobiłaś?

Alanna umilkła i otarła usta chustką. Potem podjęła opowieść:

- Poszłam do lorda Calverta, aby poinformować go o skandalicznym zachowaniu jego córki. Z początku nie chciał dać mi wiary, lecz w końcu oświadczył, że zależy mu na poznaniu prawdy, i zajmie się tą sprawą osobiście. Czekaliśmy na tarasie, aż w końcu przyszli. Gdy ojciec ją oskarżył, Sasha tylko się śmiała. - Manna zbladła jak kreda. Zamknęła oczy. - Przenigdy nie zapomnę tego śmiechu. Wciąż dźwięczy mi w uszach, choć przecież minęło już tyle lat... Czy wyobrażasz sobie, jak się poczuł Tony, kiedy oznajmiła... Och, James, miała na twarzy wypisane szyderstwo! Oznajmiła, że nim gardzi i nie zamierza kruszyć o niego kopii. Wcale nie chciała mi go odbierać, choć był w niej zakochany do szaleństwa. Jeden kochanek mniej czy więcej nie miał dla niej żadnego znaczenia, przez jej łóżko przewinęło się ich mnóstwo, a nawet najgorszy lepiej się sprawdził niż jakiś żalosny, niemrawy botanik. Obwieściła, że z chęcią mi go zwraca i że mogę go sobie zabrać do domu. Ona odetchnie z ulgą.

James wstał i zaciśniętą pięścią uderzył w kominek.

- Mów dalej! - wychrypiał.

- Lord Calvert nie posiadał się z wściekłości. Z pewnością miał świadomość, jaką kobietą jest jego córka, lecz udawał, że wini Tony'ego. Poprząsił, że doprowadzi go do ruiny, wyrzuci z wyspy i zadba o to, aby nigdy nie mógł powrócić na Karaiby. Wątpię, by Tony usłyszał choćby jedną z tych pogroźek. Wyglądał jak... Przypominał ducha, żywego trupa. Zdruzgotany poszedł do naszych pokojów. Po kilku minutach podążyłam za nim, ale... Resztę wiesz.

- A co z Richardem Calvertem?

- Richard? Chcesz wiedzieć, co z Richardem? Co on ma wspólnego z tą sprawą?

- Przecież stracił życie mniej więcej w tym samym czasie.

- Później. Po tym jak odszedł Tony... Moim zdaniem, śmierć Tony'ego i śmierć Richarda nie mają ze sobą nic wspólnego. Richard spadł z urwiska, kiedy wracał do Anse Chatelet. Był pijany. Zdaje się, że rzadko trzeźwiał.

- Nieźle towarzystwo! Jak rozumiem, tylko Sasha pozostała przy życiu. Co mam z nią zrobić? Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Anse Chatelet stanie się moją własnością. Czy to wystarczy?

- Nie chcę, aby Anse Chatelet stało się twoją własnością! Zostaw Sashę Calvert tam, gdzie jej miejsce. Spraw tylko, abyśmy nie musieli jej już nigdy widzieć. James, błagam cię, odeślij ją z powrotem na Karaiby! Nawet nie staraj się nawiązywać z nią kontaktu! Niech zniknie bezpowrotnie!

- Głupstwa opowiadasz. Odesłać pannę Calvert? Czemu miałbym tak postąpić?

- Nie znasz jej. To niegodziwa kłamczucha. Potrafi omotać ofiarę siecią kłamstw, rzucić na człowieka zaklęcie tak silne, że nieszczęśnik nie umie potem odróżnić prawdy od fikcji. Na wyspie powiadali, że zgłębiała sztukę wudu. Pomyśl o Tonym; to ona doprowadziła do jego śmierci.

- Teraz już z pewnością nie jest z niej taka Kirke. Niewątpliwie ma dobrze po trzydziestce.

Alanna puściła tę uwagę mimo uszu.

- Odeślij ją! Spraw, by musiała opuścić Anglię. Nie wolno jej tutaj zostać. Już raz udało się jej nas unieszczęśliwić i jest gotowa powtórzyć tę niegodziwość, jeśli jej nie przeszkodziemy. Pozbądź się jej!

- Chyba rzeczywiście to jedyny sposób - przyznał James po namyśle. - Należałoby ją zdyskredytować w oczach śmietanki towarzyskiej, aby nie miała wyjścia i musiała wyjechać. Byłaby to sprawiedliwa zemsta. Niełatwo jednak będzie cokolwiek uczynić bez wplątywania w tę brudną sprawę jej bratanicy.

- Skąd u ciebie te skrupuły w stosunku do bratanicy? Wszyscy Calvertowie są tacy sami i trzeba ich jednakowo traktować.

- Lucy Calvert to niewinna dziewczyna i należy ją chronić - oznajmił James stanowczo. - Alanno, nie masz powodów do obaw. Sasha Calvert zapłaci za cierpienia Tony'ego i twoje.

- Jeżeli zniszczysz wizerunek tej kobiety w oczach towarzysztwa, wówczas pies z kulawą nogą nie da wiary jej historiom - powiedziała Alanna powoli. Po raz pierwszy tego wieczoru na jej ustach pojawił się uśmiech. - To chyba najlepsze rozwiązanie. Jeśli chcesz, pomogę ci w jego realizacji. Właściwie sama chętnie się wszystkim zajmę.

- Alanno, jesteś zbyt porywcz. Sasha Calvert nie zdążyła nawet dotrzeć do Anglii. Gdy zjawi się tutaj, należy dać jej czas na zaistnienie w określonych kręgach. Potem zaczniemy działać.

Rozdział szósty

Serena i Lucy, a wraz z nimi także Sheba, pojechały do Londynu wynajętym powozem pocztowym. Pojazd okazał się nad podziw komfortowy, a podróż niezbyt długa, zajęły więc na Dover Street stosunkowo wypoczęte. Przed drzwiami czekał już na nie zarządca majątku lorda Ambourne'a. Przedstawił się jako Etienne Masson i, ku ich zdumieniu, okazał się Francuzem.

- Wolałbym raczej być uważany za Normandczyka, madame - wyznał z uśmiechem.

Przedstawił paniom służącego Johna oraz gospodynię, panią Starkey. Ta ostatnia dygnęła i oznajmiła:

- Pokoje pań są gotowe. Czy mam pójść przodem?

John skupił uwagę na dozorowaniu rozładunku licznych waliz oraz przenoszeniu ich do pokojów, Masson zaś opisywał lokalizację najlepszych sklepów oraz miejsc godnych obejrzenia.

- Madame, John świetnie zna Londyn. Będzie paniom towarzyszył, dokądkolwiek się panie udadzą.

- Zawsze? - zdumiała się Lucy.

- Taki jest zwyczaj, mademoiselle - wyjaśnił zarządca.

- Szczerze mówiąc, bardzo mnie to cieszy - oznajmiła Serena. - Już czuję się przytłoczona ogromem tego miasta. Na dodatek panuje tu bezustanny ruch i zgiełk...

- Madame, proszę o wybaczenie. Dopiero co panie przybyły, lecz wkrótce przekonają się panie, że Londyn to w gruncie rzeczy niewielkie miasto - a w każdym razie ta jego część, którą powinny panie znać. Hm... Zważywszy, że tworzą panie bardzo małą grupkę, pani Starkey weźmie na swe barki obowiązki służącej i gospodyni domu. Gdyby jednak zaistniała potrzeba znalezienia pokojówek dla obu pań, niezwłocznie się tym zajmę.

Serena poczuła ulgę, że wydatki na życie będą znacznie niższe, niż zakładała.

- Sprowadziłyśmy z St Just własną pokojówkę i ona nam wystarczy - powiedziała. - Później jednak powiadomię pana o naszej ostatecznej decyzji.

- W takim razie pozwolę sobie się oddalić. Mam nadzieję, że pobyt w Londynie sprawi paniom przyjemność i dostarczy niezapomnianych wrażeń.

Po wyjściu pana Massona Serena i Lucy postanowiły zwiedzić dom. Rezydencja okazała się imponująca.

- Jak lord Ambourne może wynajmować tak wspaniałe budynki? - zdumiała się Serena. - Czemu sam z niego nie korzysta?

- Hrabina zatrzymuje się tutaj sporadycznie, kiedy jest sama - wyjaśniła pani Starkey. - Gdy jednak w Londynie przebywa rodzina... - w jej głosie zabrzmiał respekt - ...wówczas wszyscy kierują się na Arlington Street, do Rotherfield House. Obecnie domownicy pojechali do Normandii, lecz, moim zdaniem, należy się ich spodziewać w drugiej połowie sezonu.

- Mam nadzieję - oświadczyła Serena. - Chciałabym osobiście podziękować lordowi Ambourne'owi za jego dobroć.

Pani Starkey uśmiechnęła się przychylnie.

- Wydaje mi się, że podziękowania raczej należą się jego małżonce. Pani Perdita czy też raczej lady Ambourne bardzo dba o swój dom. Mieszkała w nim przed ślubem, a jaśnie pan postanowił nadal dzierżawić budynek, właśnie przez wzgląd na jej sentyment. Ale, ale, zapominam o obowiązkach. Czy młode panie miałyby ochotę na przekąskę?

Serena nie była pewna, czy odpowiada jej styl pracy służby w domu lorda Ambourne'a. Służący z Anse Chatelet znali ją od dziecka. Betsy, gospodyni, pełniła funkcję niani Sereny, a Sheba opiekowała się Lucy. Serena przez wiele lat polegała na nich i korzystała z ich wsparcia przy kierowaniu sprawami majątku. Z tego względu relacje łączące personel oraz właścicielkę były swobodne i przyjazne. Od pani Galveston i jej przyjaciółek słyszała upiorne opowieści o pokojówkach i służących, którzy gardzili każdym, kto nie znał swojego miejsca. W jej umyśle utrwaliła się myśl, że zawsze musi trzymać londyńską służbę na dystans, aby „nie być wykorzystywaną”. Innym źródłem zmartwień była pozycja Sheby w nowym domu. Czy londyńska służba zaakceptuje przybyszkę z Karaibów?

Wszystkie te opowieści okazały się nieprawdziwe, przynajmniej w odniesieniu do personelu przy Dover Street. Sheba ze swoimi historiami o magii i ciepłym, szerokim uśmiechem szybko zyskała popularność w pokojach dla służby, podobnie jak w Surrey. Pani Starkey była oddana całej rodzinie Ambourne'ów i chętnie służyła również przyjaciołom swoich państwa.

- Ależ, pani Starkey! - wykrzyknęła Serena. - Nie może pani nazywać mnie młodą panią. Mam przecież piastować funkcję przyzwoitki panny Lucy

- Proszę mi wybaczyć, panno Calvert, ale trudno w to uwierzyć. Wygląda pani niesłychanie młodzieńczo i uroczo. Popatrzyła na Serenę z niekłamanym podziwem.

Stały przed lustrem w sypialni Sereny, gdzie pani Starkey pomagała Shebie przy nanoszeniu ostatnich poprawek przy sukni przeznaczonej na pierwszy publiczny występ w londyńskich salonach. Czy to dzięki maści od pani Galveston, czy też ze względu na nową garderobę, a może z zupełnie innego powodu, Serena wyglądała kwitnąco. Ciemne włosy miała modnie przycięte i ułożone, bursztynowe oczy w ciemnej oprawie lśniły, aksamitna skóra przybrała perłowy odcień. Nikt raczej nie uznałby jej za klasyczną piękność, lecz prezentowała się olśniewająco.

Serena zdecydowanym ruchem ściągnęła żółtą suknię z jedwabiu, rozpuściła włosy i na oczach zdumionej gospodyni poleciła Shebie związać je w ciasny kok z tyłu głowy. Pani Starkey mogłaby zaprotestować przeciwko swobodzie, z jaką Sheba wyraziła swoje zastrzeżenia, lecz z całego serca zgadzała się z ich istotą.

- Sheba, dość! Wyraziłaś już swoją opinię, a teraz rób, co ci kazałam! - poleciła Serena. - Potem przyniesiesz zieloną suknię, tę z wysokim kołnierzem.

Nadal mamrocząc pod nosem, Sheba przygotowała szarozieloną suknię, a następnie pomogła swojej pani ją włożyć.

- Sasha! Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła wzburzona Lucy na widok Sereny.

- Staram się wyglądać jak przyzwoitka - wyjaśniła Serena

chłodno. - Przybyliśmy do Londynu, by zapewnić ci udany debiut. Ty musisz lśnić, ja mam pozostawać w cieniu.

- Ależ ja wyglądam idealnie! - zawołała Lucy szczerze. - Jestem najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam... No, może z wyjątkiem ciebie w żółtej sukni. Mogę przysiąc, że to arcydzieło spod igły Marii jest doskonalsze od najpiękniejszych sukni londyńskich. Lady Pendomer to pierwszorzędną babka!

- Lucy! Skąd znasz takie określenia?

- Och... - Lucy się zarumieniła. - Wybacz, Sasha. Brat Isabelli tak mówi...

- Wielkie nieba! O tobie? - drażyła Serena, z rozbawieniem przypatrując się bratanicy. Czerwona jak burak Lucy pokiwała głową. - Cóż, jego opinia jest z pewnością szczerą, niemniej takie słowa nie przystoją młodej damie.

- Wybacz, ciociu Sereno. - Lucy się roześmiała, po czym spytała: - Czy nie ma nic niestosownego w mówieniu „Wielkie nieba”?

Lucy i Serena dołączyły do lady Warnham w domu pani Galveston przy Portman Square. Lada moment miał nastąpić debiut Lucy. Zdenerwowanie tylko dodawało jej uroku: oczy lśniły, a policzki poróżwiały. Podczas rautu Serena siedziała wytrwale w towarzystwie innych przyzwoitek i z najwyższym trudem ukrywała dumę. Młode damy z najsłynniejszych londyńskich rodzin były obecne na przyjęciu, lecz w oczach Sereny żadna z nich nie umywała się do bratanicy. Z rozbawieniem zauważyła, że wokół Lucy utworzył się krąg przyjaciół z Surrey, którego członkowie podejrzliwie traktowali wszystkich obcych i wyraźnie się od nich izolowali. Lucy zachowywała się tak, jakby została stworzona do bywania w towarzys-

twie. Kiedy panny Calvert powróciły na Dover Street, obie były niesłychanie zadowolone z przebiegu wieczoru.

Serena praktycznie bezustannie myślała o lordzie Wintersetcie. Cokolwiek robiła, czy dopasowywała jedwabie, czy przymierzała szale, spacerowała po parku, czy uczestniczyła w przyjęciu - zawsze była przygotowana na to, że zza rogu wyłoni się James. Narastał w niej niepokój przed ponownym spotkaniem. Za każdym razem, gdy wraz z bratanicą przygotowywała się do balu lub innego ważnego wydarzenia towarzyskiego, wyciągała z szafy jedwabną suknię o barwie topazu i zastanawiała się, czy tym razem natknie się na lorda Wintersetta. Konsekwentnie jednak odwieszała piękną kreację i wkładała coś skromniejszego. Ostatecznie była tylko przyzwoitką Lucy.

Do zmiany zdania przekonał Serenę nie kto inny, a bratanica. Śliczna debiutantka miała pogodne usposobienie, a w Londynie bawiła się znakomicie. Któregoś dnia wróciła z gniewną miną ze spaceru po parku. Serena nie potrafiła się dowiedzieć, jakie zdarzenie tak bardzo zirytowało jej podopieczną, lecz naprawdę zaczęła się przejmować wtedy, gdy Lucy odmówiła przyjęcia zaproszenia na spotkanie z Isabellą, które miało się odbyć następnego popołudnia. Gdy Serena ostatecznie wyciągnęła od bratanicy wyjaśnienie przyczyn jej niezadowolenia, nie potrafiła się zdecydować, czy powinna się złościć, czy też odetchnąć z ulgą.

- Pokłóciłam się z nimi - wyznała urodziwa debiutantka.

- O co? - Chciała wiedzieć Serena. - Przecież Isabellą to twoja przyjaciółka od serca.

- Nie chodzi o Isabellę. Wszystko przez inne dziewczęta. Zachowały się bardzo niestosownie.

- W stosunku do ciebie?

- Nie, do kogoś innego.

Serena nie miała najmniejszych wątpliwości, o kogo chodziło. Tak żarliwie Lucy mogła bronić tylko jednej osoby.

- Chodzi o mnie?

- Sasha, one cię nazwały kocmołuchem! Powiedziały, że wszystkie pieniądze wydajesz na mnie, a sobie nie zostawiasz ani pensa. Przecież to nieprawda... A może nie? - spytała zaniepokojona.

- Mam mnóstwo sukni, doskonale o tym wiesz.

- Wobec tego czemu ich nie nosisz?

Lucy sprawiała wrażenie poważnie przygnębionej. Serena przypomniawszy sobie słowa lady Spurston, która oświadczyła, że Lucy będzie oceniana nie tylko przez pryzmat własnego wyglądu, lecz także na podstawie prezencji swojej przyzwoitki. Starsza pani ofiarowała Serenie pieniądze i biżuterię, aby uniknąć tego typu komplikacji. Czyżby Serena zachowała się samolubnie, ignorując rady babki ciotecznej? Czy szukała azylu w gronie skromnie ubranych przyzwoitek? Ogarnęła ją złość na samą siebie, lecz także na osoby, które wzburzyły jej ukochaną podopieczną.

- Lucy, powinnaś spędzić popołudnie w towarzystwie przyjaciółek. Spraw, aby ich słowa na mój temat nie zmieniły waszych relacji. One po prostu nie rozumieją... A tak między nami, moja kochana Lucy, wkrótce mogą przeżyć nie lada zaskoczenie.

Tamtego wieczoru Serena włożyła jedwabną suknię o barwie topazu, a do niej brylantowe kolczyki w kształcie łezek oraz bransoletkę, prezent od babki ciotecznej. Ciemne włosy upięła na czubku głowy i zabezpieczyła szpilką z brylan-

tem. Luźno opadające loczki i fale uroczo okalały twarz. Sheba uśmiechała się szeroko, a pani Starkey nie kryła, że jest pod wrażeniem. Lucy ogarnęła ekstaza.

- Sasha, przyćmisz urodą wszystkie damy! - zawołała z zachwytem. - Och, wyobrażam sobie ich zaskoczenie...

- Lucy, pragnę, abyś dzisiejszego wieczoru zadała sobie nieco trudu. Będiesz nazywała mnie ciocią Sereną i obie przypomnimy sobie lekcje dobrych manier. Będziemy wspaniałe i eleganckie, jak przystało na damy z rodu Calvertów z Anse Chatelet. Zgoda?

- Och tak, zgoda - wyszeptła Lucy przejęta, a jej oczy zaślniły.

Tamtego dnia obie panny wybrały się na wspaniały bal u księżnej Stockhampton. Sereną wyczuwała na sobie ciekawskie spojrzenia, gdy wchodziły po ogromnych schodach, lecz trzymała wysoko uniesioną głowę i nie zwracała uwagi na otoczenie. Może i pełniła funkcję przyzwoitki, ale nikt nie miał prawa mówić o ciotce Lucy, że jest kocmołuchem!

Pani Galveston powitała ją w typowy sposób:

- Dobry wieczór, panno Calvert. Doskonale pani wygląda. Zaczynałam podejrzewać, że lepiej by się pani czuła w Surrey, lecz teraz widzę, jak bardzo się myliłam. Chyba jednak poszukamy dla pani odpowiedniego partnera. Powiem pani, że pierwszy lepszy wdowiec nie ma prawa ostrzyć sobie zębów na panią. Powinna pani pomyśleć o kandydatach z pierwszej ligi.

- Pani Galveston, nie szukam męża - wyjaśniła Sereną. - Doceniam jednak pani komplementy.

- Pani babka cioteczna byłaby dumna. Zawsze podkreśla-

ła, że odpowiednio dobrana suknia dobrze się pani przysłuży. Bez wątpienia zwraca pani na siebie uwagę.

Serena z uśmiechem podążyła dalej. Jeden z adoratorów bratanicy, przystojny, dobrze sytuowany młody mężczyzna, który sprawiał wrażenie zdenerwowanego, podszedł bliżej, aby spytać, czy mógłby zaprosić Lucy do tańca.

- Dziękuję, chętnie - odparła. - Najpierw jednak pragnęłabym przedstawić ci moją ciocię. Ciociu Sereno, oto Michael Warnham. Jak mniemam, znasz jego mamę?

Serena się rozkaszała, aby pośpiesznie stłumić mimowolny śmiech i lekko pochyliła głowę. Gdy młody dżentelmen, oddychając z ulgą, prowadził Lucy na parkiet, bratanica posłała ciotce żartobliwie wyniosłe spojrzenie.

Serenę wkrótce otoczyła gromada dam, które pragnęły przedstawić jej rozmaitych lordów i dżentelmenów. Z promiennym uśmiechem odpowiadała na pytania admiratorów, choć konsekwentnie odrzucała wszystkie zaproszenia do tańca.

Mniej więcej w połowie wieczoru do sali wszedł lord Winterset i rozejrzał się dookoła. W jednej chwili zorientował się, że nie ma Sereny. Być może poszła z podopieczną do jadalni. Właśnie miał opuścić salę balową, kiedy zwrócił uwagę na ożywioną grupę gości po przeciwnej stronie pomieszczenia, która otaczała młodą kobietę. Momentalnie ją rozpoznał. Ich spojrzenia się skrzyżowały. James przelotnie zerknął na wejście do ogrodu zimowego, a Serena zamknęła i otworzyła oczy. To wystarczyło, zrozumieli się bez słów. Kilka minut później stał na końcu ścieżki, częściowo ukryty za gęstwiną roślin. Po chwili dostrzegł zbliżającą się Serenę.

Wcześniej James nie wiedział, czego się spodziewać. Wyobrażał sobie, że ujrzy dyskretną, skromnie ubraną przyzwoitkę albo młodą kobietę, która potyka się o rąbek sukni. W najśmielszych marzeniach nie zakładał jednak, że spotka opanowaną, wyniosłą piękność. Brylanty w jej uszach i na nadgarstku, szpilka we włosach, przepiękna suknia nie przyćmiły urody tej damy. James niemal bał się do niej odezwać, bo przyszło mu do głowy, że jego Serena, przebrana za Williama, odeszła bezpowrotnie. Potem się uśmiechnęła, oczy pojaśniały jej z radości i uświadomił sobie, że niczego nie stracił. Przeciwnie, zyskał więcej, niż mógł sobie wyobrazić.

- Lordzie Wintersett? Powinieneś się wstydzić. Jeszcze nie zostaliśmy sobie przedstawieni, a już zapraszasz mnie na schadzki w ogrodzie zimowym księżnej. Zapewne powiesz potem, że to był mój pomysł.

- Sereno, brak mi słów. - Ujął jej dłonie. - William nigdy nie prezentował się tak ślicznie.

- Biedny William. Chyba już nigdy go nie spotkasz. Zresztą, co ja opowiadam. Szczęśliwy William. - Łagodnie oswobodziła dłonie. - Był wśród nas tak krótko, a jednak na zawsze zapadł nam w pamięć. Cieszył się wolnością, nikt nie patrzył mu na ręce, nikt go nie krytykował - może z twoim wyjątkiem, rzecz jasna. W Londynie trudno ukryć się przed wścibskimi spojrzeniami.

- Masz na myśli wścibskie spojrzenia wielbicieli, rzecz jasna.

- Raczej krytyków. Nie mogę długo z tobą rozmawiać. Zasadniczą powinnością przyzwoitki jest chronienie podopiecznej przed natrętami i niedopuszczanie do takich zachowań, jakie w tej chwili sama prezentuję. Nie mogę zostać zdema-skowana.

- Ty przyzwoitką? Pamiętam, wspominałaś o tym, lecz trudno w to uwierzyć. Jak możesz kimś się opiekować, skoro niewątpliwie sama wymagasz ochrony?

Serena popatrzyła na niego kpiąco.

- Co ty wygadujesz, lordzie Wintersett? - spytała. - Nie musisz prawie mi tanich komplementów. Znam cię dobrze i wiem, co o tobie myśleć.

- Doprawdy? Zatem śpieszę złożyć ci gratulacje, bo sam już nie wiem, co o sobie myśleć. Od pewnego czasu moje życie zmieniło się nie do poznania.

- Na mnie pora, i tak spędziłam z tobą za dużo czasu.

- William nie był taki płochliwy.

- William był owocem marzeń, tworem wyobraźni. Serena jest prawdziwa, ograniczają ją obowiązujące w towarzystwie reguły. Podobno zawsze unikałeś takich sytuacji, lordzie Wintersett. Co więcej, surowo karałeś biedne damy, które wciągały cię w pułapkę. Czy zamierzasz ciągnąć tę sytuację?

- Jeszcze pytasz? Po naszych potajemnych ślubach?

Policzki Sereny wyraźnie poczerwieniały.

- Muszę wracać na bal - oznajmiła.

- A jeśli nie pozwolę ci odejść? - James chwycił dłoń Sereny.

Pokręciła głową.

- Och, nie! Nie wolno ci mnie szantażować ani naginać do swej woli. Mam zbyt wiele do stracenia.

Zacisnął dłoń i zauważył cicho:

- Chyba mógłbym cię przekonać.

- Ale nie będziesz próbował. To nie byłoby wskazane ani uprzejme. Poza tym lord Wintersett mógłby spotkać się z odmową. A jeśli okażę stanowczość? - Wysunęła dłoń z jego

uścisku i ruszyła do drzwi. Orkiestra grała pierwsze takty walca.

- Wobec tego *zatańcz* ze mną!

Zawahała się, a on, korzystając z okazji, porwał ją na parkiet.

- Wszystko zgodnie z zasadami etykiety, Sereno - zapewnił.

Gdy okrążali salę, goście wodzili za nimi wzrokiem. Młodzi dżentelmeni podziwiali urodę i powab partnerki lorda Wintersetta, damy zazdrościły Serenie najbardziej pożądanego w towarzystwie bogatego kawalera. Matrony i przyzwoitki szeptały pod osłoną wachlarzy i kręciły głowami. Wintersett nawiązywał nowy flirt. Szkoda, że zainteresował się akurat skromną panną Calvert.

Serena i James zatracili się w tańcu. Przystojny arystokrata delikatnie przytrzymywał swoją partnerkę, ledwie ją muskał dłońmi, lecz nie mogliby być sobie bliżsi nawet wtedy, gdyby ją mocno objął. Towarzystwo obserwowało ich i plotkowało.

Gdy skończyli tańczyć, Serena chciała wrócić na swoje miejsce, lecz James nie zamierzał jej puścić.

- Chodźmy do jadalni, napijesz się ze mną szampana. Muszę z tobą porozmawiać o obietnicy.

- Obietnicy? - powtórzyła Serena, ponownie spłoniona.

- Nie chciałaś jej wysłuchać w Surrey. Kazałaś mi czekać do naszego spotkania w Londynie. Właśnie to nastąpiło. Nie zamierzam czekać dłużej. Chcę wziąć to, co do mnie należy. Doskonale o tym wiesz.

- Ciociu Sereno! - Głos Lucy sprawił, że magiczny urok chwili przysł jak bańka mydlana. - Tutaj jesteś! Postanowiłaś

jednak tańczyć? - Bratanica zerknęła z ciekawością na lorda Wintersetta.

- Lucy! - Serena rzuciła okiem na lorda Wintersetta i po stanowiła za wszelką cenę nie tracić panowania nad sobą. - Poznaj mojego znajomego, lorda Wintersetta. To moja bratanica, lordzie Wintersett, i zarazem podopieczna - dodała ostrzegawczo.

Lucy zrobiła wielkie oczy.

- Wintersett? - powtórzyła. - Lord Wintersett? Ależ, ciciu Sereno...

- Lucy...

- Twoja ciotka chce powiedzieć, panno Lucy, że nie trzeba wierzyć we wszystkie zasłyszane historie. Czy mam rację? - James świetnie się bawił. Nie żywił wątpliwości, że ta uroczą debiutantka wkrótce odkryje, jakiego rodzaju znajomość zamierzał zawrzeć z jej ciotką. - Czy mogę was obie odprowadzić do jadalni? Moglibyśmy podyskutować o tych historiach podczas kolacji.

Lucy nadal sprawiała wrażenie lekko zdezorientowanej niemniej pozwoliła się zaprowadzić na drugą stronę sali balowej. Tam napotkali Michaela Warnhama.

- Odnalazłaś cicię. - Popatrzył z ciekawością na Serenę i lorda Wintersetta, lecz postanowił mówić dalej: - Zapytałaś ją? Jeszcze nie? - Odwrócił się ku Serenie i uśmiechnął rozbawiająco. - Isabella i jej przyjaciele, do których również się zaliczam, wybierają się jutro do Hampton Court. Chcielibyśmy zabrać Lucy ze sobą. Panno Calvert, bardzo prosimy o zgodę. Moja mama zgodziła się pełnić obowiązki przyzwoitki.

Zdezorientowana Serena zauważyła, że lord Wintersett odwrócił głowę ku młodemu mężczyźnie. Zawahała się.

- Och, Sasha, powiedz, że się zgadzasz! - prosiła Lucy.

- Sasha!

Serena uśmiechnęła się, słysząc cichy okrzyk lorda Wintersetta.

- Lucy zwraca się tak do mnie, kiedy jesteśmy same - wyjaśniła. - To przezwisko z czasów, gdy byłam dzieckiem. Dobrze, moja droga. Później spotkam się z lady Warnham i omówię z nią szczegóły. To bardzo miło z jej strony. - Popatrzyła na Michaela i dodała: - Zapewne chciałabyś teraz dołączyć do Isabelli, prawda? Może pan Warnham cię do niej odprowadzi? - Lucy skinęła głową, pan Warnham się uklonił i oboje odeszli.

- Sasha! Czy naprawdę tak masz na imię? Niemożliwe. A jednak... Lucy nazwała cię Sashą. A ten... ten chłopak zwrócił się do ciebie „panno Calvert”. Jesteś Sashą Calvert?

Serena sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Lord Winterset był błądliwy jak kreda, mówił nerwowo, łamał mu się głos.

- Zapomniałam, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. To wstrząsające - zauważyła Serena z uśmiechem. - Jeśli jednak nie odpowiada ci brzmienie imienia „Sasha”, zwracaj się do mnie tak jak dotychczas. W gruncie rzeczy wolę, gdy się mnie nazywa Serena...

- Dlaczego utrzymywałaś, że masz na imię Serena?

- Moje imię to Serena. Lucy wołała na mnie Sasha od czasu, gdy była małym dzieckiem.

- Czemu nie wyjawiałaś mi tego wcześniej?

Serena spojrzała na niego tak, jakby nagle postradał zmysły.

- Dlaczego miałabym to robić? Mam na imię Serena, i już. Poza tym zapominasz, że do niedawna byłam Williamem. -

Niepewnie położyła mu dłoń na ramieniu. - Żle się poczułeś?

- Czuję się doskonale, zbytek troski - burknął i nerwowo przeczesał dłonią włosy. - Przesadne współczucie nigdy nie jest mile widziane - oświadczył opryskliwie.

Serena poczerwieniała, a po chwili zbladła.

- Najmocniej przepraszam - powiedziała cicho i natychmiast cofnęła dłoń.

James zmarszczył czoło, jakby nagle coś przyszło mu do głowy.

- Gdzie mieszkasz, Sasho Calvert?

Serena patrzyła na niego z niedowierzaniem. Miała wrażenie, że tak bliski jej mężczyzna przemawia wbrew własnej woli. W jego głosie słyszała irytację. Uznała, że w taki sposób mógł odzywać się do Williama, lecz z całą pewnością nie do panny Calvert z Anse Chatelet.

- Nie potrafię pojąć, dlaczego miałoby to pana interesować, lordzie Wintersett - odparła wyniośle. - Mimo to powiem. Na czas pobytu w Londynie zatrzymałam się przy Dover Street. Mój dom i moja posiadłość znajdują się na Karaibach.

Odwrócił się gwałtownie. Serena mogłaby przysiąc, że usłyszała z jego ust „Dobry Boże!”, lecz nie miała całkowitej pewności. Choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę, widać było, że coraz więcej gości zerka dyskretnie i po cichu komentuje ich zachowanie.

- Jesteśmy w centrum uwagi, a w takiej sytuacji trudno mi cokolwiek mówić - zauważyła cicho. - Może mi wyjaśnisz, co takiego powiedziałam lub zrobiłam, że poczułeś się urażony?

James nie odpowiedział.

- Proszę wybaczyć. Najwyraźniej źle zrozumiałam pańskie

Intencje. Być może jest pan tak niestały, jak sugerowałyby pańska reputacja. Nie zamierzam się panu naprzykrzać.

Te słowa sprawiły, że James drgnął i popatrzył na Serenę. Wykrzywił usta i obrzucił ją wyniosłym spojrzeniem, potem rozejrzał się po sali.

- Masz rację - przyznał oschle. - Wzbudzamy zainteresowanie. - Uśmiechnął się i dodał głośno: - Nie, to ja proszę o wybaczenie. Przyznaję, że trudno mi się od ciebie odebrać, zwłaszcza po idyllicznej scenie w ogrodzie zimowym, zaaranżowanej z taką... maisterią. Takie jest życie, co robić. Wyglądasz jednak tak rozkosznie, że z pewnością niejeden mężczyzna zechce zająć moje miejsce u twego boku. Sługa uniżony. - Ukłonił się i szybkim krokiem opuścił salę.

Serena z całych sił starała się zachować panowanie nad sobą. Z wysoko uniesioną głową wróciła do ławki, na której zasiadały pani Galveston i lady Warnham. Nie zamierzała dawać zebrany gościom satysfakcji, którą niewątpliwie odczuliby na widok jej rejterady do jakiejś ustronnej alkowy lub do szatni, gdzie mogłaby się ukryć niczym ranne zwierzę. Gdy jeden z synów lady Warnham zaproponował, że poda jej coś do picia, zgodziła się z wdzięcznością i powoli wysączyła przyniesionego jej szampana. Duma nie pozwalała jej opuścić balu, a irytacja pomogła jej dotrzeć do końca imprezy.

Było jasne, że okrutna odprawa, którą publicznie dał jej lord Winterset, stała się najważniejszym tematem rozmów matek i przyzwoitek. Choć część osób starała się okazać Serenie współczucie, wielu gości wzruszało ramionami i kręciło głowami z nieskrywaną dezaprobatą. Wszyscy wiedzieli, że lord Winterset jest niebezpiecznym człowiekiem i przestawanie z nim to ryzykowna sprawa. W opinii niektórych panna Calvert postąpi-

ła nieroztropnie, tak otwarcie zdradzając uczucia. Każdy widział przecież, jak tańczyła walca z Wintersettem.

Zarówno krytyka, jak i współczucie były dla Sereny jednakowo nieznośne, a ponieważ nie brakowało jej partnerów, postanowiła przyjmować wszystkie zaproszenia do tańca. Czarowała mężczyzn, z którymi miała do czynienia. Była obecna na balu ciałem, lecz duchem błędziła gdzie indziej. Zapomniała, kto był jej partnerem, gdy tylko milkła orkiestra. Gdyby ją ktoś spytał, nie potrafiłaby powiedzieć, o czym gawędziła na parkiecie i jak długo trwał taniec. W pewnej chwili podeszła do niej Lucy, niewątpliwie zaniepokojona krążącymi po sali plotkami, lecz Serena nie zamierzała rozmawiać o tym, co się stało.

- Nie teraz - oznajmiła stanowczo. - Opowiedz mi o swoim jutrzejszym wyjeździe, o tym, co jadłaś na kolację, co mówił pan Warnham, o czymkolwiek zechcesz, ale zaklinam cię, nie wspominaj o... - Zawiesiła głos. Poczuli, że nazwisko Wintersett nie przejdzie jej przez usta.

Wieczór ostatecznie dobiegł końca i Serena mogła w końcu umknąć do azylu przy Dover Street. Nie udało się jej uniknąć pytań Lucy, lecz bratanica nie dowiedziała się wiele. Serena sama nie miała pojęcia, co takiego zaszło, że lord Wintersett w jednej chwili się zmienił.

W ciągu następnego tygodnia Serena starała się usilnie odbudować swój wizerunek. Pani Galveston przybyła na Dover Street dzień po balu i choć zgłosiła szereg pretensji, udzieliła Serenie doskonałych rad. Po tej rozmowie Serena ponownie zaczęła pojawiać się w towarzystwie. Z zimną krwią stawiała czoło natrętom, którzy zadawali jej impertynenckie pytania i dosadnie komentowali niedawne wydarzenia. Serena pozor-

nie szczerze przyznawała się do rozniewiania lorda Wintersetta, dodając, że ponosi teraz konsekwencje własnego postępowania.

- Jako kolonistka, najwyraźniej muszę się jeszcze wiele nauczyć - wyznawała z rozbrajającym uśmiechem. - Nie do końca wiem, co wolno powiedzieć, a co należy przemilczeć. Rzeczony dżentelmen... - nadal nie była w stanie wymówić jego nazwiska - ..uznał moje nieformalne zachowanie za coś więcej, niż w istocie było. Proszę mi zdradzić, czy on zawsze jest taki próż... To jest, czy on zakłada, że damy z miejsca pałają do niego miłością?

Słyszac te słowa, niektórzy spoglądali na Serenę z powątpiewaniem. Większość jednak była do tego stopnia pełna podziwu dla dyskrecji i szczerości rozmówczyni, że nabrała przekonania, iż lord Wintersett faktycznie zachował się zbyt surowo w stosunku do Bogu ducha winnej panny zza oceanu. Najwyraźniej jego doskonale znana niechęć do łowczyń majątków w tym wypadku okazała się dla niego zwodnicza. Wkrótce zapanowało powszechne przekonanie, że Serena została potraktowana nieuprzejmie.

Serena nawiązała nową interesującą znajomość. Matka lorda Ambourne'a wróciła z Francji przed zapowiadany termin i dotarła do Rotherfield House dzień po balu u księżnej Stockhampton. Wkrótce złożyła Serenie wizytę. Tę ostatnią zmroziło, gdy dowiedziała się, że hrabina wdowa Ambourne czeka w powozie przed domem i pyta, czy zastała Serenę. Rzecz jasna, należało gościa przyjąć; wizyta tak wysoko postawionej damy to niewątpliwe wyróżnienie. John wprowadził drobną starszą panią w pelisie i czepku zaprojektowanym we-

dle najświeższej mody. Dama natychmiast ruszyła do Sereny i powitała ją z uroczym francuskim akcentem.

- Moja droga panno Calvert! Jak to miło panią poznać, moje dziecko. Proszę wybaczyć, że nachodzę panią tak wcześnie, lecz sformułowania z listu lady Pendomer zachęciły mnie, by jak najszybciej ujrzeć to niezrównane dziewczę. Mój syn również prosił, bym panią odwiedziła. - Obejrzała Serenę od stóp do głów. - Ależ prezentuje się pani o wiele lepiej, niż oczekiwałam.

Po raz pierwszy od czasu pamiętnego balu na twarzy Sereny wykwitł szczery uśmiech. Wskazała starszej pani fotel i obie usiadły.

- Lady Ambourne, pani wizyta to dla mnie zaszczyt, obawiam się jednak, że lady Pendomer brakuje bezstronności. Nie jestem niezrównana, bo przecież niezrównane kobiety to ideały, a mnie daleko do doskonałości.

- Właśnie o to mi chodziło! Doskonałość bywa nudna, nieprawdaż? A teraz musi pani koniecznie opowiedzieć mi o lady Pendomer, a potem o sobie. Chcę znać wszystkie nowiny.

Hrabina usadowiła się wygodnie w fotelu, skosztowała przekąski podanej przez panią Starkey i przez następne pół godziny nie przestała budzić w Serenie zachwytu. Choć była wielką damą, nie zachowywała się wyniośle ani z dystansem. Przeciwnie, swobodnie mówiła o synu i synowej, których najwyraźniej uwielbiała, i doprowadziła Serenę do salw śmiechu swoimi opisami wyczynów wnuka.

- Z pewnością uzna mnie pani za nadopiekuńcza babcie, moja droga, lecz jak mam się pohamować, skoro dzieci są takie inteligentne i takie dobre. Cóż, może „dobre” to za mocne słowo. Powiedzmy, że to urocze łobuziaki.

Na koniec wizyty hrabina zaprosiła Serenę do Rotherfield House.

- Moja droga, proszę przyprowadzić ze sobą pannę Lucy Calvert - ubolewam, że jej nie poznałam. Perdita i Edward spędzą w Normandii jeszcze kilka tygodni i szalenie za nimi tęsknię. Spotkanie z panią będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością i doskonałą rozrywką. Prawdę mówiąc, planuję urządzenie wieczornego przyjęcia dla pani i panny Lucy, gdyż nadszedł czas, aby nieco ożywić rodzinną posiadłość. Panno Calvert, mieszkam w naprawdę wielkiej rezydencji, wręcz stworzonej do balów i wszelkiego typu imprez. Przebywanie w niej na co dzień nie jest tak rozkoszne.

Wysłała, pozostawiając po sobie ulotną woń perfum oraz doskonałe wrażenie. Choć Serena ani słowem nie wspomniała o lordzie Wintersetcie, uznała rozmówczynię za osobę ciepłą i przychylną.

skany Anula43

Rozdział siódmy

Po balu u księżnej lord Wintersettt jeszcze przez tydzień nie uczestniczył w wieczornych spotkaniach towarzyskich; nie było go widać także za dnia, ani w parkach, ani w londyńskich ogrodach. Fakt ten nikogo nie dziwił. Plotkowano, że od pewnego czasu lord zaszywał się w swojej posiadłości w Surrey i nie wracał po kilka dni z rzędu. Na wieść o tym Serena uśmiechnęła się przewrotnie, zadowolona, że nabierze sił przed konfrontacją. Podczas następnego spotkania z lordem Wintersettem chciała być chłodna i opanowana. W bezsenne noce wielokrotnie powracała myślami do tej sprawy i pojęła, jak bliska była powierzenia swych uczuć komuś, kto potraktował ją w sposób skandaliczny.

Równy tydzień później oboje znaleźli się w Assembly Rooms. Serena, bez Lucy, która pod nadzorem lady Warnham, udała się na inne przyjęcie, trzymała się pani Galveston, chciała bowiem zachowywać się z wyjątkową ostrożnością i rozsądkiem.

James przybył późno, pod rękę z oszałamiącą blondynką o nienagannej figurze. Serena pomyślała krytycznie, że kobiety

o jasnych włosach powinny unikać różowych barw. O guście nieznanym nie najlepiej świadczyło również to, że wybrała dość wyzywającą suknię. Suknia Sereny, uszyta z jasnoniebieskiego, lekkiego materiału, ze spodem z białego jedwabiu, nagle wydała się jej bardzo skromna, choć dotąd uważała ją za niezwykle piękną.

- Do czarta! - zakląła pani Galveston z taką mocą, że Serena popatrzyła na nią ze zdumieniem. - Proszę spojrzeć. Jego lordowska mość z Amelią Banagher. Byłam pewna, że ten związek należy do przeszłości.

- Kim jest ta dama?

- Panno Calvert, lepiej, żeby pani nie wiedziała - oznajmiła pani Galveston. - Gdyby była z nami panna Lucy, natychmiast zabrałabym was obie do domu. - Po chwili pani Galveston uległa jednak zamięłowaniu do plotek, pochyliła się i wyjaśniła poufny tonem. - Amelia Banagher pochodzi z powszechnie szanowanej irlandzkiej rodziny. Gdy miała siedemnaście lat, wyszła za lorda Banaghery, lecz od dawna nie mieszkają razem. Wszyscy wiedzą, że w ubiegłym roku była faworytą Wintersetta, choć oboje zachowywali daleko posuniętą dyskrecję. Powiada się, że głęboko przeżyła rozstanie. Podobno została porzucona. Ciekawe, jak skłoniła jego lordowska mość do tego, by ją dzisiaj przyprowadził. I jak naciągnęła go na ten imponujący naszyjnik? - Para przeszła przez całą długość sali i teraz Serena oraz pani Galveston mogły lepiej przyjrzeć się nowym gościom. - Nieźle go musiał kosztować ten drobiazg, śmiem twierdzić, jeśli rubiny są prawdziwe.

Widok lorda Wintersetta sprawił, że Serena poczuła w sercu bolesne ukłucie, ale dopiero teraz tłąca się w niej złość wybuchnęła z całą mocą.

- Rubiny są najprawdziwsze w świecie, a lord Wintersett w rzeczy samej musiał za nie słono zapłacić. Zapewne rozpozna je pani, jeśli ta para się tu zbliży. Owa dama ma na sobie naszyjnik Cardomanów.

Pani Galveston zrobiła przerażoną minę i ze współczuciem popatrzyła na Serenę, która poczerwieniała z gniewu.

- Panno Calvert, powinniśmy natychmiast wyjść - zdecydowała pani Galveston. Po raz pierwszy od lat w jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie.

- To raczej wykluczone, proszę pani - wycodziła Serena. - Wówczas uznano by, że się wycofuję. Tak się składa, że mam inne zamiary.

Tak czy owak, na rejteradę było za późno. Lord Wintersett przystanął obok obu dam.

- Pani Galveston, sługa uniżony. Zna pani lady Banagher, jak miemam? - Pani Galveston bez cienia uśmiechu pochyliła głowę może o milimetr. Lord Wintersett zwrócił się do towarzyszącej sobie damy. - Amelio - powiedział, nie odrywając od Sereny oczu, połyskujących złośliwą satysfakcją. - Poznaj pannę Calvert z Anse Chatelet. Pannę Cardoman Calvert.

Obie damy wykonały ruch, który z trudem można było uznać za dygnięcie. Lady Banagher uniosła brwi.

-Cardoman? Czy przypadkiem nie tak nazywa się... - Przesunęła palcami po rubinach i posłała lordowi Wintersettowi leniwy uśmiech.

James ujął jej palce i złożył na nich pocałunek. Potem się wyprostował i, zerkając z ukosa na Serenę, oświadczył:

- Moja droga, ten drobiazg nosi nazwę naszyjnika Cardomanów. Panno Calvert, czy przypadkiem nie była to swojego czasu cenna własność rodziny Calvertów?

- Och, nie powiedziałałabym - odparła Serena. - Naszyjnik do nas należał, bezsprzecznie, lecz rodzina od lat nosiła się z zamiarem jego sprzedania. Historia tego naszyjnika jest nieco... hm, splamiona. Niezbyt go ceniliśmy. - Z wyraźnym udawaną troską spytała: - Och, czy mam rozumieć, że pan, lordzie Wintersett, jest jego tajemniczym nabywcą?

Lady Banagher sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

- Myślałam, że to prezent od króla? Od króla Karola. Przecież powiedziałeś...

Serena postanowiła ponownie się wtrącić.

- Król Karol kazał go przygotować dla swojej faworyty. Ale cóż z tego? Przecież tych dam było tak wiele, nieprawdaż? Tak czy owak, moim zdaniem, naszyjnik wygląda na pani uroczo. Pasuje jak ulał.

Pani Galveston wydała z siebie odgłos, jakby się dusiła. Lady Banagher z początku wydawała się zaskoczona, potem jej czoło się zmarszczyło, gdy zaczęła się zastanawiać, czy komplement Sereny na pewno został podyktowany życzliwością. Było jasne, że lord Wintersett nie ma co do tego żadnych złudzeń. Jego twarz, dotąd nieco pobladła, gwałtownie pociemniała.

- Chodź, Amelio - polecił. - Zatańczymy. Pani Galveston, zechce pani nam wybaczyć. Panno Calvert.

Ukłonił się i odciągnął zdezorientowaną Amelię.

Pani Galveston patrzyła na Serenę z nieskrywanym podziwem.

- Pani babka cioteczna mówiła mi, że taka dziewczyna jak pani nie da sobie w kaszę dmuchać. Sereno... Chyba mogę do ciebie mówić po imieniu? Przyznaję, że gdy cię ujrzałam po raz pierwszy, przeżyłam rozczarowanie. Teraz jednak mi za-

imponowałaś. Gratuluję. Jeszcze nigdy nie widziałam, by ktoś tak sprawnie zapędził lorda Wintersetta w kozi róg. Z nawiązką odpłaciłaś mu za jego niestosowne zachowanie na balu u księżnej.

Zirytowana Serena skierowała wzrok na tańczące pary.

- Obawiam się, że lord Wintersett niepotrzebnie wpłatał w tę sprawę lady Banagher. - Pani Galveston również wyraziła ubolewanie z tego powodu, lecz Serena puściła jej słowa mimo uszu. - Myli się jednak pani, że postanowiłam w taki sposób zemścić się na lordzie Wintersettcie za jego zachowanie podczas balu. O tamtym incydencie najlepiej zapomnieć. Jestem pewna, że z nieznanego mi powodu ten człowiek zamierza skrzywdzić mnie na wszystkie dostępne mu sposoby. Moim zdaniem, kupił naszyjnik i zawiesił go na dekolcie kochanki po to, by pohańbić nazwisko Calvertów.

- Sereno, daj spokój. Ten naszyjnik jest zbyt kosztowny na takie kaprysy. Musiał kosztować najmarniej pięć tysięcy funtów. Nie przesadzaj.

Serena nie wydawała się jednak przekonana, a jej podejrzenia potwierdziły się jeszcze tego samego wieczoru. Podczas jednego z tańców zrządzeniem losu jej partnerem został nie kto inny, tylko lord Wintersett. W parze ruszyli po parkiecie.

--

- Panno Calvert, gratuluję ostrego jak brzytwa dowcipu. Z pani ust padło wiele śmiałych słów, lecz nie sądzę, by pozostała pani obojętna na widok naszyjnika matki i prababki, zawieszono go na dekolcie ladacznicy tak, aby widział to cały Londyn - zauważył.

- Próżny, szalony i w dodatku bez klasy. Wstyd, lordzie Wintersett - odparła drwiąco. - Czyżby pan zapomniał, że

dama, którą określił pan tym mianem, jest pańską partnerką na dzisiejszy wieczór? - Podczas tańca odsunęli się od siebie, lecz po chwili ponownie stanęli vis-a-vis. - Jeśli o mnie chodzi, może pan wieszać ten naszyjnik na dekoltach wszystkich londyńskich dam lekkich obyczajów. To mnie nie interesuje. Moja mama zmarła, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat, więc jej nie znałam. O ile mi wiadomo, nigdy nie nosiła tego naszyjnika. - Uśmiechnęła się słodko, gdy ponownie się rozdzielili, a kiedy znowu na siebie trafili, dodała: - Jeśli więc nosił się pan z zamiarem wyprowadzenia mnie z równowagi, to chyba sam pan widzi, że nic z tego nie wyszło. Popełnił pan kosztowny błąd. Och, zupełnie zapomniałam, obrzydliwie bogaty lord Winterset nie dba o koszty.

- Na Boga - rzucił, z trudem tłumiąc furię - jeżeli ten naszyjnik ma być przeznaczony dla ładacznic, to powinien zawisnąć na twojej szyi!

Serena była tak wstrząśnięta jawną wrogością w głosie Jamesa, że potknęła się i omal nie upadła. Z ulgą uświadomiła sobie, że taniec dobiegł końca i że nie będzie musiała kontynuować tej wymiany zdań.

Wieczorem w łóżku raz po raz zadawała sobie pytanie, czym sprowokowała lorda Wintersetta do takiego zachowania. Nazwał ją ładacznicą. Tylko co go skłoniło do tak ordynarnej napaści?

James miał kompletny mętlik w głowie, gdy powrócił na Upper Brook Street. Zaplanował wieczór, wiedząc, że Sasha Calvert znajdzie się o tej samej porze na tym samym balu. Cieszyło go, że przeżyje upokorzenie, gdy socjeta uświadomi sobie druzgocącą prawdę: Calvertowie musieli sprzedać

najcenniejszą własność. Sasha miała cierpieć na widok imponującego naszyjnika Cardomanów, zawieszono go na cudzym, niegodnym dekolcie! Aby wprowadzić swój plan w życie, James zwrócił się o pomoc do dawnej kochanki, Amelii Banagher, znanej z licznych przygód miłosnych. Frywolna dama bezustannie tonęła w długach, więc wzmianka o tym, że były partner ureguluje kilka najpilniejszych rachunków, wystarczyła, by zgodziła się mu towarzyszyć i włożyć naszyjnik. Na koniec wieczoru, gdy James odprowadził ją do jej pokojów, doszło do niezręcznej sytuacji, ponieważ ekspartnerka jednoznacznie dała mu do zrozumienia, że jest gotowa na więcej. Chciała miłości. James odetchnął z ulgą, kiedy udało mu się uwolnić od towarzystwa tej okropnej kobiety. Myśl o ponownym zbliżeniu cielesnym z nią budziła w nim szczere obrzydzenie.

Wieczór okazał się klęską. James nie miał powodów do triumfu, nie był usatysfakcjonowany.

Wiedział dlaczego. Choć odkrył, że Sasha i Serena to ta sama kobieta, nadal czuł do niej zaskakującą sympatię. Wyczuwał, że obelgi, które wygłaszał pod jej adresem, były dla niej bolesne. Tylko raz straciła panowanie nad sobą i okazała zdenerwowanie - kiedy potknęła się podczas tańca. Zamiast cieszyć się powodzeniem, James był zawstydzony. Nie planował tak agresywnego wybuchu, jak ten, którego się dopuścił. Doszło do niego z nieoczekiwanego nagromadzenia złości na Serenę, bo bez względu na to, jak bardzo starał się wyprowadzić ją z równowagi, za każdym razem ponosił porażkę. James uwielbiał mieć kontrolę nad sobą i nad innymi. Jej utrata ogromnie go złościła. Na domiar złego, kiedy Serena o mało nie upadła, zapragnął ją chwycić, zapewnić jej bezpieczeń-

stwo. Takie nagromadzenie sprzecznych uczuć w zupełności wystarczało, aby doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Teraz siedział w bibliotece i spoglądał na naszyjnik. Wielkie, rubinowe kaboszony lśniły w świetle ognia w kominku. Jamesowi się zdawało, że na jego dłoniach rozlała się plama krwi. Uśmiechnął się na wspomnienie reakcji Sereny, kiedy ujrzała naszyjnik. Nie sposób było jej nie podziwiać. Niewiele kobiet potrafiłoby zareagować tak błyskotliwie i rozumnie na jego obraźliwe słowa, próby zdeprecjonowania jej w oczach towarzystwa. Serena nigdy nie dawała sobą ponieierać. Nie dość, że nie została upokorzona, to jeszcze zyskała powszechną przychylność i podziw, także w jego oczach. Ale, ale - co mu przyszło do głowy? Jak, u licha, mógł podziwiać Saszę Calvert?

W następnych dniach James nadal nie potrafił odnaleźć wewnętrznego spokoju. Myśl o Serenie-Sashy była dokuczliwa niczym natrętna mucha, spędzała mu sen z powiek, uniemożliwiała wypoczynek w ciągu dnia. Nienawidził Sashy za to, jak potraktowała Tony'ego, nienawidził Sereny za to, że jest Sashą. Gardził sobą, bo zarazem pragnął ukarać Saszę i był dumny z Sereny, która tak sprawnie pokrzyżowała mu plany.

Ostatecznie wrócił do Surrey w przekonaniu, że jego determinacja w dyskredytowaniu Sashy wzmocni się pod wpływem jeszcze jednej rozmowy z Alanną. Musiał przypomnieć sobie, jak potworne nieszczęścia Serena Calvert ściągnęła na jego rodzinę. Tymczasem w Surrey okazało się, że wybiera się na długie wyprawy po Downs, podchodzi z Douce na skraj urwiska i wspomina wszystko to, co wiązało się z rzekomym Williamem - przejażdżki, rozmowy, przekomarzania.

Z goryczą przypomniał sobie własne obawy, że w Londynie straci Serenę. W sumie tak właśnie się stało. Nękały go dwie sprzeczne wizje. Z jednej strony, miał przed oczami Serenę: kobietę inteligentną, wrażliwą, bezsprzecznie uczciwą. Z drugiej, widział Sashę: niemoralną niszczycielkę. Tak więc zamiast umocnić jego determinację, wizyta w Surrey najwyraźniej ją osłabiła. Ogarnęły go wątpliwości. Po początkowym szoku i ślepej złości związanych z odkryciem, że Serena i Sasha to ta sama kobieta, nie próbował przeciwstawić sobie tych dwóch postaci - dobrej Sereny i złej Sashy. Czy to możliwe, że znana mu Serena robiła rzeczy, których Sasha podobno dopuściła się na wyspie? A jeśli śmierć Tony'ego skłoniła ją do zmiany w osobę o zupełnie innym charakterze? Musiała być wtedy jeszcze bardzo młoda... I to naprawdę bardzo młoda! Zdecydowanie powinien jeszcze raz porozmawiać z Alanną. W jej obecności nie potrafił jednak zmusić się do używania imienia Serena, musiał mówić Sasha...

- Sasha Calvert poinformowała mnie niedawno, że w chwili śmierci jej matka miała zaledwie dwadzieścia lat. Próbuję pogodzić ten fakt z wiekiem jej braci i w ogóle mi to nie wychodzi. Richard Calvert był starszy od Tony'ego, to chyba oczywiste?

- Tak, był starszy - potwierdziła Alanna nerwowo. - Nie mówiłam ci? Byłam pewna, że tak. Lord Calvert był dwukrotnie żonaty. Sasha to jego córka z drugiego małżeństwa.

- Zatem ile miała lat, kiedy ty przebywałeś na wyspie?

- Dlaczego o to pytasz? James, co chcesz zrobić? Do czego zmierzasz?

- Ustalam fakty. Ile miała lat?

- Nie wiem. Jakie to ma znaczenie? - zirytowała się Alanna.
- Tyle, ile trzeba! Szesnaście albo siedemnaście. Tak sędzę.

- Kiedyś napomknęła, że liczy sobie teraz dwadzieścia siedem. To by oznaczało, że wówczas miała czternaście lat.

- Czternaście, piętnaście, siedemnaście! Czy ja jestem matematykiem, czy co? Stanowczo zbyt dużo czasu spędzasz z panną Calvert. To kłamczucha, oszuka cię tak, jak oszukała Tony'ego... Och, Tony! - Alanna załkała spazmatycznie.

James spokojnie zaczekał, aż bratowa się uspokoi. Wtedy powiedział:

- Czternastolatka to dziecko, Alanno. Trudno mi uwierzyć, żeby Tony chciał cię opuścić dla dziecka.

- Nawet nie wiesz, jacy oni są w tropikach, James! Kobiety dojrzewają wyjątkowo wcześniej. Wielu tubylców ma dzieci już w trzynastym roku życia, czasem jeszcze wcześniej. A ona... Sasha... biegała po całej wyspie, zupełnie bez opamiętania. Z pewnością nabrała panujących tam obyczajów. Czemu mnie tak wypytujesz? - zaniepokoiła się. - Przecież mówiłam, że nie zostawiała go samego. Biedny Tony nie miał szans. Dobry Boże, czemu mi to wszystko przypominasz?

Alanna zupełnie straciła panowanie nad sobą. Przywarła do Jamesa i nerwowo szarpała go za rękaw.

- Pozbądź się jej, zrób to dla mnie! - błagała. - Nie chcę mieć z nią do czynienia, trzeba jej unikać, odeślij ją tam, skąd przybyła, proszę cię, proszę!

James starał się ukryć niesmak wywołany histerycznym zachowaniem bratowej.

- Spokojnie - powiedział. - Na wszystko potrzeba czasu.

Krzyknęła rozpaczliwie i wybiegła z pokoju. James nie ruszył się z miejsca. Myślał, że jeśli trzynaście lat temu Alanna

zachowywała się równie histerycznie, to nic dziwnego, że brat szukał ukojenia gdzie indziej. Czyżby swoim irracjonalnym zachowaniem Alanna wpędziła Tony'ego w ramiona Sashy Calvert? W pewnej chwili ze zniecierpliwieniem pokręcił głową. Uświadomił sobie, że nawet teraz szuka usprawiedliwienia dla niegodziwego postępowania Sashy. Alanna zapewne miała słuszość. Sasha Calvert potrafiła przekonać mężczyzn do wszystkiego, na czym jej zależało.

Przed incydem w Assembly Rooms Serena była gotowa dotrzeć do końca sezonu ze świadomością, że lord Winterset nie jest zainteresowany kontynuowaniem ich przyjaźni. Nauczyłaby się z tym żyć. Niechętnie doszła do wniosku, że Jamesa ogarnęły wątpliwości. U ich podłoża musiał leżeć fakt, że pochodziła z kolonii, a na początku znajomości zachowywała się dziwacznie: przebierała się za chłopca i urządzała wyprawy po polach i lasach. To wytłumaczenie nie było jednak satysfakcjonujące. Na początku powitał ją wyraźnie zauroczony, w ogrodzie zimowym prawił jej szczerze komplementy, wydawały się płynąć z głębi serca. I jeszcze tamten taniec... Jej myśli nagle powróciły do rzeczywistości. Zachowanie Jamesa po zakończeniu tańca było nieprawdopodobnie okrutne. Potem dotarły do niej kolejne informacje o obcesowym traktowaniu przez lorda Wintersetta kobiet, które się nim interesowały. W końcu uznała jego zachowanie wobec siebie za typowe. Takim jest człowiekiem. Nie potrafiła tylko dopasować mężczyzny pojawiającego się w londyńskich salonach do mężczyzny poznanego w Surrey.

Nie mogła jednak pozwolić na to, by ktokolwiek wyzywał ją od ladacznicy! Musiała działać. Brakowało jej mężczyzny, na

którym mogłaby się wesprzeć. Potencjalnym protektorem był lord Ambourne, lecz po pierwsze, miała na niego zbyt słaby wpływ, a po drugie, przebywał po przeciwnej stronie kanału. W gruncie rzeczy nie chciała wywoływać nowego skandalu, wzywając na pomoc obrońcę. Myśl o lordzie Ambourne przywołała w jej pamięci hrabinę wdowę. Postanowiła poprosić ją o radę.

Skorzystała z wcześniejszego przyzwolenia hrabiny i złożyła jej wizytę przy Arlington Street. Zgodnie ze słowami dostojnej damy Rotherfield House okazał się budynkiem imponującym, lecz niezbyt przytulnym. Serenę poprowadzono przez ogromne sale na tyły domu, gdzie znajdowała się mała oranżeria. Gospodyni siedziała na niewielkiej, wygodnej kanapie i natychmiast poprosiła Serenę, by ta zajęła miejsce obok. Obie panie przez chwilę prowadziły nieobowiązującą pogawędkę, lecz w końcu hrabina poprawiła się na kanapie, przechyliła głowę na bok i spojrzała wymownie na Serenę.

- Nasza pogaduszka sprawiła mi przyjemność, drogie dziecko - stwierdziła życzliwie. - Proszę powiedzieć mi jednak, co zaprzęta pani umysł. Jeśli mogę pomóc, chętnie to uczynię, lecz muszę wiedzieć, w czym rzecz. - Serena zrobiła wielkie oczy, wzbudzając wesołość starszej pani. - Wygląda pani kubek w kubek jak moja synowa - zauważyła pogodnie dama. - Perdita zaklina się, że mam szósty zmysł. To nie tak. Już podczas naszego poprzedniego spotkania zorientowałam się, że nie jest pani w pełni szczęśliwa. Na dodatek dzisiaj jest pani zirytowana. Moje dziecko, nie zawiodę pani zaufania.

Ku własnemu osłupieniu, Serena zorientowała się, że opowiada lady Ambourne całą historię: o niepokoju w Surrey, wywołanym ograniczeniem swobody, do której przyzwyczai-

ła się na St Just, o przebieraniu się za chłopca i wypadach na Downs, o spotkaniu z lordem Wintersettem. Serena starannie pominęła jego nazwisko, gdyż uznała, że ujawnienie go w żaden sposób jej nie pomoże. Ponadto słowo „Winterset” cały czas nie mogło jej przejść przez gardło. Nie wspomniała ani słowem o naszyjniku, lecz wyjawiała słuchaczce, jak obraźliwe inwektywy usłyszała od dżentelmena podczas tańca.

- Nie wiem, jak to wyjaśnić, lady Ambourne. Dżentelmen ów nie kryje wrogości. Na dodatek nazwał mnie... nazwał mnie...

- ..ladacznicą - dokończyła za nią lady Ambourne.

- Nie miał powodu zakładać, że jestem tego typu kobietą! - wykrzyknęła Serena ze złością. - Nasza znajomość na Downs miała całkowicie niewinny charakter. Przypominała relację ucznia i mistrza. Po prostu tego nie pojmuję! Co mam robić?

Lady Ambourne przez chwilę myślała. Gdy w końcu przemówiła, w jej głosie zabrzmiała powaga:

- Nie ulega wątpliwości, że da się wytłumaczyć zachowanie lorda Wintersetta. - Serena odetchnęła głęboko, a hrabina dodała: - Moje dziecko, proszę nie zrozumieć mnie źle. Ani na moment nie uznałam, że zataiła pani przede mną coś istotnego.

- Nie w tym rzecz - odparła Serena słabym głosem. - Skąd pani wiedziała, że mówię o...

Hrabina się uśmiechnęła.

- Moja droga, londyńskie salony i ich bywalców znam od ponad trzydziestu lat.

- Pewnie aż huczy od plotek o nas - powiedziała cicho Serena z goryczą.

- To oczywiste, że krążą pewne pogłoski. Nie słyszałam jednak ani słowa o tym, czego się przed chwilą od pani dowiedziałam - o Surrey i tak dalej. Ogólnie biorąc, opinia publiczna pani sprzyja, o ile to jakaś pociecha. Lord Winterset nie cieszy się powszechną sympatią.

- Zna go pani?

- No cóż, to bliski przyjaciel mojego syna. Razem chodzili do szkoły.

Spłoszona Serena poruszyła się niespokojnie.

- W takiej sytuacji musi mi pani wybaczyć, lady Ambourne - wymamrotała. - Ogromnie przepraszam za kłopot. Na mnie już pora... -

- Moja droga panno Calvert, cóż też pani przyszło do głowy? Przyjaźń Edwarda z lordem Wintersettem nie sprawia, że jestem ślepa na wady tego dżentelmena. Podobnie jestem świadoma wad syna. Pod pewnymi względami są one zaskakująco podobne. Ależ tak, zapewniam panią, że mówię prawdę. Obaj potrafią być skrajnie bezlitośni, kiedy jest im to na rękę. Bywają też okrutni. Edward miał jednak więcej szczęścia niż James. Dorastał w otoczeniu kochającej rodziny, a teraz żyje w bardzo szczęśliwym związku małżeńskim. Z kolei James miał ojca tyrana, po którego śmierci sytuacja rodziny Wintersetów szalenie się skomplikowała. Jednym słowem, to nieszczęśliwy człowiek.

- Nikogo nie kocha?

- Są... Były dwie osoby, które darzył miłością. Przede wszystkim matkę, ta dzieliła uczucia między męża i młodszego syna. Zawsze uważałam, że James ma z gruntu zdrową naturę, bo drugą osobą, którą kochał, był młodszy brat. Ten już nie żyje.

- Co mu się stało?
- Zmarł mniej więcej w tym samym czasie, gdy James przejął tytuł lorda. Jego matka nigdy nie doszła do siebie po podwójnej stracie: męża i syna.
- Czy pani go lubi?
- Raczej tak. Edward ma dar trafnego oceniania ludzi i choć w powszechnym mniemaniu James ma zimne serce, moim zdaniem, to zupełnie inny człowiek. Niełatwo jednak byłoby przekonać się o tym. Jednego jestem pewna. James jest uczciwy i sprawiedliwy.
- Wobec tego, dlaczego traktuje mnie tak okrutnie?
- Tego nie wiem, lecz musi istnieć powód, który w jego opinii usprawiedliwiłby takie zachowanie. Czy naprawdę nic pani nie przychodzi do głowy? - Serena pokręciła przecząco głową. - Nie. Wobec tego zrobię, co w mojej mocy, aby się dowiedzieć. Czy pozwoli pani, bym dyskretnie pociągnęła parę osób za język?

Wkrótce Serena pożegnała się z hrabiną, ustalwszy, że za trzy dni ponownie ją odwiedzi.

Zgodnie z umową trzy dni później Serena zawitała do Rotherfield House. Hrabina powitała ją grobową miną.

- Panno Calvert, chyba udało mi się ustalić związek między pani rodziną a lordem Wintersettem. Zapewne pamięta pani, że wspomniałam o jego młodszym bracie, który jakiś czas temu zmarł poza granicami kraju. - Starsza pani przesyła Serenę świdrującym spojrzeniem.

- Tak? - Serena nie miała pojęcia, do czego zmierza dama.

- Dziwi mnie, że najwyraźniej nie ma pani pojęcia o pew-

nym istotnym fakcie. Otóż młodszy brat Jamesa zmarł na St Just.

- Lady Ambourne, proszę mi wybaczyć, lecz to nie jest możliwe. Gdyby to było prawdą, z pewnością coś bym na ten temat wiedziała. Na St Just nie dzieje się nic, o czym nie wiem.

- Miał na imię Tony - ciągnęła lady Ambourne. - Tony Stannard.

- Tony Stannard? - powtórzyła Serena głosem zmienionym nie do poznania. - Tony Stannard jest..., był bratem lorda Wintersetta? - Lady Ambourne skinęła głową. - Wielkie nieba! - Serena ukryła twarz w dłoniach.

Zapadło milczenie. Po chwili Serena uniosła głowę.

- Nie miałam pojęcia - wyszeptała. - Nigdy nie powiązałam tych dwóch nazwisk.

- Moje dziecko, to oczywiste. Póki co, moje informacje są jeszcze niekompletne. Nie dostrzegam związku pomiędzy śmiercią pana Stannarda na wyspie a wrogością lorda Wintersetta.

Serena odetchnęła głęboko.

- Lady Ambourne, czego dowiedziała się pani o śmierci tego człowieka? - spytała niepewnie. - Co mówi się w Londynie?

Dama cały czas była bardzo poważna.

- Podobno padł ofiarą tropikalnej choroby.

Serena wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- Tony Stannard, biedaczysko! Wintersett! Tak, teraz rozumiem. - Zatrzymała się przed hrabiną, która wyglądała tak, jakby miała jeszcze coś ważnego do powiedzenia. - Lady Ambourne, czy to nie wszystko? Czemu tak dziwnie pani na mnie spogląda?

- Krząta pogłoski, że okoliczności śmierci Tony'ego Stannarda nie pokrywają się z oficjalnie obowiązującą wersją. - Serena się odwróciła, lecz spokojny głos o uroczym, francuskim akcencie rozbrzmiewał dalej: - Powiada się, że ten młody mężczyzna odebrał sobie życie. Chyba jednak nikt nie wie dlaczego.

Serena milczała.

Hrabina zdawała się dobierać słowa z najwyższą starannością.

- Moja droga, przysłała pani do mnie, by prosić o pomoc i radę. W innych okolicznościach nie należałabym na ujawnienie faktów, które wolałaby pani zachować w tajemnicy. Czy czuje się pani na siłach dokończyć swoją historię? Chyba nie muszę pani zapewniać o dyskrecji.

Serena przez moment myślała.

- Lady Ambourne, nie mogę mówić o śmierci Tony'go Stannarda nawet z panią - odparła powoli. - Jeśli jednak nie znuży to pani, chętnie opowiem o zdarzeniach, które do niej doprowadziły. Zapewne pomogą one w ustaleniu przyczyn wrogości lorda Wintersetta. Zaznaczam, że większość tego, co powiem, ma związek z moją rodziną, a nie ze mną.

- Mam bardzo elastyczną pamięć. Zapamiętam tylko to, co jest mi potrzebne, by panią wesprzeć, drogie dziecko. Byłabym niesłychanie zaskoczona, gdybym dowiedziała się od pani czegoś, co by źle o pani świadczyło.

- Odczuwam wstyd z powodu pewnej sprawy. Nie zamierzam jednak jej ukrywać.

Hrabina posłała po herbatę i poleciła Purkissowi, by przez godzinę nikt jej nie przeszkadzał. Serena wkrótce zaczęła snuć smutną opowieść o wizycie państwa Stannardów na St Just.

- Mój ojciec usłyszał od przyjaciela z Cambridge, że

Tony Stannard chciałby badać tropikalne rośliny. Zaprosił więc małżeństwo Stannardów na St Just i zaoferował obojgu gościnę w Anse Chatelet. Żona Tony'ego, Alanna, była młoda i niezwykle ładna. O ile mnie pamięć nie myli, pochodziła z Irlandii. Z początku wydawało się, że świata poza sobą nie widzą, lecz po pewnym czasie Alanna zaczęła utyskiwać. Źle znosiła upały, przeszkadzały jej owoady, obawiała się szkodliwego wpływu słońca na cerę. Nie do takich warunków przywykła. Co więcej, moim zdaniem, czego innego spodziewała się po małżeństwie z Tonym. Jego rodzina słynęła z zamożności, więc Alanna liczyła na to, że będzie brylowała w salonach.

- Och, to chyba naturalne. Młoda, ładna dziewczyna wyszła za bogatego mężczyznę. Chyba miała prawo oczekiwać wygodnego życia?

Serena pokręciła głową.

- Byłam wówczas jeszcze bardzo młoda, lecz nawet ja dostrzegłam, że życie Tony'ego obraca się wokół roślin. Widzi pani, on był błyskotliwym botanikiem. To jasne, że modny świat był mu obcy. Tymczasem Alanna Stannard nie interesowała się pracą męża i wkrótce zrezygnowała ze wspólnych wypraw po lesie tropikalnym. Przyznaję, w skrytości ducha cieszyła mnie jej decyzja.

- A to czemu? - zdziwiła się hrabina i otworzyła szeroko oczy. - Co to miało wspólnego z panią?

- Uczestniczyłam w wyprawach Tony'ego jako jego przewodniczka. Znałam wyspę jak własną kieszeń. Gdy pani Stannard zabierała się z nami, musieliśmy co chwila przystawać: na odpoczynek, aby pomóc jej w przeprawie na drugi brzeg strumienia, żeby poszerzyć ścieżkę... Na dodatek dźwigali-

śmy mnóstwo dodatkowego bagażu: kremy, balsamy, poduszki, koce, wodę, wino. W kółko przystawaliśmy na pikniki. Z pewnością wyobraża sobie pani, jaka to była udręka dla energicznego, niecierpliwego dziecka.

- Tak więc Alanna zaczęła zostawać w domu?

- Tak jest. Całymi dniami siedziała na werandzie i z pewnością uważała się za pokrzywdzoną. - Serena uśmiechnęła się przepraszająco. - Jak pani się domyśla, nie byłam szczególnie życzliwie nastawiona do tej kobiety.

- Zauważyłam - potwierdziła hrabina z uśmiechem. - Proszę mi jednak powiedzieć, drogie dziecko, czy teraz, po latach, nie współczuje jej pani? Nie jest pani jej żal?

Serena zastanawiała się przez chwilę.

- Sama nie wiem - odparła w końcu. - Nie mogę jej należycie ocenić po tym, co zdarzyło się później.

- Proszę opowiadać dalej.

- Chciałabym na moment zboczyć z tematu, aby opisać pani tło tamtych zdarzeń. Lady Ambourne, co pani wie na temat Wysp Karaibskich?

- Niewiele. St Just to jedna z mniejszych, prawda? Henry Pendomer jest dalekim kuzynem Edwarda, więc całą wiedzę czerpię od niego. Henry piastuje urząd gubernatora St Just, ale chyba sprawuje władzę także na kilku innych wyspach, zgadza się?

- Tak. Sir Henry zarządza grupą niewielkich wysp. W gruncie rzeczy spędza na St Just zaledwie cztery miesiące w roku.

- Słucham uważnie.

- Trzydzieści lat temu, kiedy Stannardowie zatrzymali się w Anse Chatelet, mój ojciec był jeszcze silny i pełen energii. Ród Calvertów zamieszkiwał na St Just, jeszcze zanim pojawił

się gubernator. Do niedawna uważali wyspę i jej mieszkańców niemal za swoją własność. Wyspiarze traktowali mojego ojca jak niekoronowanego króla, a mój... mój brat Richard miał się za królewicza.

Serena nie przypuszczała wcześniej, że opowiadanie o sprawach rodzinnych będzie jej przychodziło z takim trudem. Spokojne, życzliwe nastawienie hrabiny zachęciło ją jednak do kontynuowania relacji.

- Wszyscy kochaliśmy Richarda. Uważaliśmy, że jest olśniewający. Pozostawałam w jego cieniu, uważałam się za gorszą od niego i przez cały czas usiłowałam mu dorównać. Chciałam jeździć konno jak on, strzelać równie celnie... Nie miałam innych przyjaciół, nie potrzebowałam innego towarzysza. - Westchnęła ciężko. - Richard bezustannie sprawiał kłopoty, lecz wszystko uchodziło mu płazem. Miał tyle osobistego uroku... W jednej chwili przysięgałam sobie, że więcej nie otworzę do niego ust, a w następnej chichotałam z jego żartu. Co do kobiet... Były nim zafascynowane. Trudno to wyjaśnić...

- Nie ma potrzeby. Poznałam kiedyś takiego mężczyznę.

Serena nie wydawała się przekonana, lecz mówiła dalej:

- To mu zaszkodziło. Otaczał go ogólny podziw, wydawało mu się, że może robić, co chce, bo nigdy nie ponosił żadnych konsekwencji. Gdyby trudniej mu było osiągnąć to, na co miał ochotę, gdyby rozpętała się wojna, w której musiałby wziąć udział, walczyć za sprawę, wówczas może byłby uratowany. Tak się jednak nie stało. Ostatecznie pokonały go demony. Nawet mój ojciec się od niego odwrócił. - Umilkła, lecz po chwili się wyprostowała i ponownie przemówiła. - Opowiadałam pani o małżeństwie Stannardów. O Alannie Stan-

nard. Ładna, nowa twarz na wyspie - takie wyzwania Richard uwielbiał. Alanna Stannard momentalnie stała się dla niego obiektem pożądania.

- A ona...?

- Lady Ambourne, z pewnością domyśla się pani, jak brzmi odpowiedź na to pytanie. Pani Stannard była samotna, znudzona i czuła do męża niechęć, bo ją zaniedbywał. Godzinami przesiadywała sama. Tymczasem w pobliżu kręcił się Richard. Kiedy chciał kogoś zauroczyć, zawsze mu się to udawało. W takiej sytuacji musiało dojść do tego, do czego doszło.

- Nikt nie mógł ich powstrzymać? Porozmawiać z Alanną?

- Nikt. Państwo Pendomerowie opuścili St Just i popłynęli na inne wyspy. Gdy powrócili, było już po wszystkim.

- A inni? Twój ojciec?

- Do samego końca, straszego końca, ojciec nie dostrzegł zła, które tkwiło w Richardzie, a ja byłem dzieckiem. Nie uświadamiałam sobie, co się dzieje. Ojciec mi wszystko opowiedział, kiedy podrosłam i uznał, że zrozumieć. Poza tym głównie przebywałam z Tonym Stannardem. Dobrze znałam wyspę, dogadywałam się z jej mieszkańcami. Wiedziałam, gdzie szukać ciekawych okazów roślin.

- Biedna Alanna!

- Dlaczego pani tak mówi? Alanna wróciła do Anglii żywa. Richard i Tony zginęli.

- Ale jej dziecko urodziło się przedwcześnie i jest niepełnosprawne. Alanna nigdy nie uganiała się za rozrywkami londyńskiego świata. Od razu po powrocie zaszyła się w Surrey i zajęła synem. Powiada pani, że Richard także stracił życie?

- Spadł w kilkudziesięciometrową przepaść, gdy szedł skrajem urwiska nieopodal Anse Chatelet. Następnego dnia znaleźliśmy jego ciało roztrzaskane na skałach. - Serena zamknęła oczy, a gdy ponownie je otworzyła, skrywał się w nich ból. - Jestem odpowiedzialna za jego śmierć - wyszeptała.

Hrabina wyciągnęła ku niej rękę i chciała coś powiedzieć, lecz Serena mówiła dalej:

- Powiedziała pani, że Alanna urodziła dziecko, prawda? To się stało po jej powrocie z wyspy, tak?

- Oczywiście. To spadkobierca Wintersettów.

- Ależ... - Serena nagle umilkła. - Zresztą, to bez znaczenia. - Wstała i popatrzyła na ogród. - Żałuję, że przypłynęłam do Anglii - wyznała z goryczą. - Gdyby nie Lucy, już jutro wyruszyłabym w drogę powrotną na Karaiby.

- Drogie dziecko, proszę dać spokój. - Hrabina odprowadziła ją z powrotem na kanapę. - Przed chwilą rozmawialiśmy o przyczynach wrogości lorda Wintersetta. To chyba naturalne, że James nie przepada za nazwiskiem Calvert, ale chyba uda mi się przemówić mu do rozsądku. Niewykluczone, że zajrzy tutaj jeszcze dzisiajszego popołudnia.

Serena nie odrywała wzroku od hrabiny.

- Wcale nie jestem przekonana, czy odkryliśmy rzeczywiste przyczyny jego niechęci. Proszę zwrócić uwagę, że określenie, którego użył, odnosiło się wyłącznie do mnie, a nie do całej mojej rodziny.

- Zatem będzie musiał się z tego wytłumaczyć - oznajmiła hrabina stanowczo. - Chyba że... Nie, niemożliwe. Wykluczone, by był aż takim głupcem! Czy mógł uwierzyć, że... jakby to ująć... pocieszyła pani Tony'ego po tym, jak jego żona

okazała się nielojalna? Dużo z nim pani przebywała, często od rana do nocy. Nie, bzdura. To zbyt absurdalne.

- W rzeczy samej, to nonsens, chyba nawet dla niego. Miałam wówczas czternaście lat, byłam dzieckiem. Widziałam w Tonym wyłącznie mentora. Był urodzonym nauczycielem, a ja chłonięłam informacje jak gąbka wodę. Interesowały mnie rośliny z otoczenia mojego domu.

- Oczywiście, jak najbardziej. Musi istnieć inne wytłumaczenie.

Rozdział ósmy

Gdy Serena prowadziła rozmowę z lady Ambourne, lord Winterset zwracał się do Rotherfield House, w odpowiedzi na zaproszenie wysłane przez hrabinę. Dotarł do Londynu dwa dni wcześniej i zastał list od lady Ambourne, a także pismo od Bradpolea, który prosił o spotkanie. Prawnik przybył następnego dnia z teczką dokumentów pod pachą oraz informacją, że tymczasowy zarządca Anse Chatelet opóźnił się z płatnościami, a przedstawiciel lorda na Barbados dokonał przejęcia majątku przez wierzyciela, zgodnie z ustaleniami.

- Mam ze sobą dokumenty - oświadczył Bradpole. - Potrzebny jest tylko podpis. - Rozłożył papiery na stole. - Norret, zarządca majątku, twierdzi, że nie miał świadomości, jak ważne jest terminowe uiszczenie wpłaty kwartalnej. Ponadto tłumaczył, że niesprzyjające wiatry i burze podrójkowe opóźniły podróż na Barbados. Jego słowa potwierdził lord Pendomer, gubernator St Just. Lordzie Winterset, jestem świadomy, że moje słowa mogą wzbudzić pańską irytację, lecz przychyliam się do tej opinii. Niedobłą praktyką jest przejmowanie cudzej własności wyłącznie z powodu krótkiego opóźnienia technicznego. Mam nadzieję, że zmieni pan polecenia

wydane przedstawicielowi i nie będzie finalizował procedury przejęcia Anse Chatelet. - Umilkł, lecz pogrążony w myślach James nie odezwał się ani słowem. Prawnik westchnął i dodał: - Jeśli jednak pozostanie pan przy swoim zamierzeniu, wszystkie dokumenty są tutaj.

James był w kropce. Całymi latami dążył do wyrugowania Calvertów z Anse Chatelet. Teraz posiadłość praktycznie należała do niego, lecz nie był pewien, czy chce zadawać ostateczny cios jej właścicielce. Podziękował Bradpole'owi za pomoc i umówił się z nim na przyszły tydzień. Dotąd bardzo poważne oblicze prawnika pojaśniało - opóźnienie dowodziło, że klient rozważa inne rozwiązanie problemu.

W drodze do Rotherfield House James przez cały czas rozmyślał o tym, co robić. W pobliżu Arlington Street przyszło mu do głowy, że właściwie nie zna powodów, dla których lady Ambourne go zaprosiła. Ned nadal bawił we Francji, z pewnością więc nie chodziło o spotkanie z nim. Jednak chętnie skorzystał z zaproszenia, ponieważ hrabina była życzliwą i inteligentną osobą. Dotarł na miejsce o wyznaczonej porze, a drzwi otworzył mu Purkiss.

I wtedy ten doświadczony, starszawy kamerdyner popełnił najpoważniejszy błąd w całym okresie służby. Lord Winterset wręczył mu kapelusz oraz laskę, a po krótkim powitaniu oznajmił swobodnie:

- Purkiss, nie musisz mnie anonsować. Czy lady Ambourne przebywa w oranżerii? Sam trafię, dziękuję.

W zwykłych okolicznościach kamerdyner natychmiast powstrzymałby zapędy gościa, lecz James często bywał przy Arlington Street, hrabina go oczekiwała, a w dodatku zaplanowała spotkanie obojga gości. Rzeczywiście, zabroniła ka-

merdynerowi przeszkadzać sobie przez godzinę, lecz od tamtego czasu minęło już prawie półtorej godziny. Tak więc Purkiss przepuścił lorda Wintersetta, nie upewniwszy się, czy hrabina gotowa jest go przyjąć...

James pewnie kroczył przez pokoje, lecz w pobliżu oranżerii zwolnił. Usłyszał głosy hrabiny i jeszcze kogoś, zapewne jej gościa. Nagle stanął jak wryty, rozpoznając głos Sereny. Co zamierzała hrabina? Z pewnością słyszała o konflikcie między nim a panną Calvert. Czyżby planowała ich pogodzić? Może przez wzgląd na Neda?

Dobiegły go słowa Sereny.

- To prawda, że towarzyszyłam Tony'emu Stannardowi - wyznała. - Byłam zawsze tam, gdzie on. Dotarliśmy do każdego zakątka wyspy. Podejrzewam, że ogarnęła mnie nieodparta potrzeba idealizowania kogoś, kto mi imponował. Wreszcie znalazłam swojego bohatera. Z początku nie zwracał na mnie uwagi, traktował mnie jak natrętnie dziecko. Potem jednak staliśmy się sobie zdumiewająco bliscy. Chyba wręcz go pokochałam, na swój sposób.

W pierwszym odruchu James chciał się wycofać. Potem jednak nabrał ochoty, by wkroczyć do oranżerii i zażądać wyjaśnień. Już miał tak uczynić, gdy ponownie zatrzymały go słowa, które usłyszał.

- Zapewne tęskniła pani za towarzystwem Richarda? - zapytała hrabina.

- Początkowo pewnie tak, ale z czasem zrozumiałam, że Tony jest dla mnie równie ważny, jak Richard.

- Nadał nie wiem, dlaczego czuje się pani odpowiedzialna za jego śmierć.

James wstrzymał oddech. Co powie Serena?

- Chodzi o to, co mi powiedziałam na krótko przed... jego śmiercią. Wpadłam w szal. Nigdy nie należałam do osób szczególnie opanowanych, ale wtedy ogarnęła mnie furia. Wykrzyczałam, że nim gardzę, że pragnę, by umarł. - Serena mówiła tak cicho, że James musiał się pochylić, aby cokolwiek zrozumieć. - Wkrótce nie żył. Dlaczego mówiłam mi takie okropieństwa?

Zaszeleściły jedwabie i zabrzmiał cichy głos lady Ambourne.

- Przecież była pani jeszcze dzieckiem. Skąd mogła pani wiedzieć, że te słowa się sprawdzą?

- Dla niego nie byłam już dzieckiem. To, co powiedziałam, fatalnie na niego wpłynęło. Mój ojciec powtarzał mi, że nie ma dla niego przyszłości na wyspie ani też nigdzie indziej. Byliśmy sobie tacy bliscy! Nagle go znienawidziłam i pragnęłam, by o tym wiedział. Od tamtej pory żyję w przekonaniu, że odtrąciwszy go, stałam się przyczyną jego śmierci.

- Dobry Boże, jak może się pani winić z tego powodu? Przecież w gruncie rzeczy nie życzyła mi pani śmierci.

- Lady Ambourne, proszę mnie źle nie zrozumieć. Żałowałam jego śmierci i nie przestałam się gryźć z jej powodu. Od tamtych tragicznych dni życie rodziny Calvertów jest pełne nieszczęść. Nawet jednak teraz nie wydaje mi się, by mógł znaleźć inne rozwiązanie sytuacji, w której się znalazł. Żałuję tylko, że wypowiedziałam słowa, które go pchnęły do tego, co uczynił. Będą mi one ciążyły na sumieniu aż do ostatnich dni.

James ruszył do wyjścia. Przy drzwiach przekazał Purkissowi informację dla lady Ambourne - wymyślił coś na temat pilnej sprawy do załatwienia.

Sasha Calvert sama przyznała się do cudzołóstwa. Doprowadziła Tony'ego do śmierci, a jej największym problemem było to, że unieszczęśliwiła rodzinę Calvertów. Nic dziwnego, że nękały ją wyrzuty sumienia. To, co usłyszał James, wystarczyło do wyzbycia się wątpliwości w sprawie Anse Chatelet. Jeszcze tego samego wieczoru posłał po pana Bradpole'a.

Alanna Stannard siedziała na parapecie salonu i wpatrywała się ze smutkiem w zielone trawniki i kolorowe rabatki Winterset Court. Londyński sezon trwał w najlepsze. Jakże chętnie wzięłaby udział w tej wielobarwnej rewii mody. Od trzynastu lat trzymała się na uboczu, z dala od wszelkich rozrywek. Poświęciła się wychowywaniu syna i opiece nad chorą teściową. Monotonie codzienności ożywiały jedynie sporadyczne wizyty szwagra. Westchnęła ciężko. Początkowo było jej łatwiej, bo uważała, że pokutuje za grzechy. Z czasem jednak narastało w niej niezadowolenie, a ostatnio coraz bardziej się denerwowała.

Przez lata żyła kłamstwami, którymi karmiła otoczenie. Dotyczyły one wyprawy na St Just. Choć nie była w pełni szczęśliwa, przynajmniej miała poczucie bezpieczeństwa. Rodzina męża nigdy nie zważyła w jej szczerość. Karaiby leżały w odległości wielu tysięcy kilometrów, na tyle daleko, by praktycznie uniemożliwić utrzymywanie kontaktu między Anglią a St Just. Poza tym ukrywanie prawdy, widzianej z dwóch odmiennych punktów widzenia, leżało w interesie obu rodzin. Stannardowie sądzili, że chronią pamięć o Tonym, który niegodziwie zdradził ciężarną żonę, a Calvertowie zapewne pragnęli bronić rodzinę przed skandalem związanym z uwiedzeniem cudzej żony przez Richarda. Z tego względu fakty

zostały starannie ukryte przez obie rodziny. Ta sytuacja była Alannie na rękę.

Po przybyciu Sashy Calvert do Londynu świat Alanny nagle zadrżał w posadach. Sytuacja stała się dla niej groźna. Robiła, co mogła, aby udaremnić spotkanie Jamesa i Sashy, lecz jej wysiłki spełzły na niczym. James rozmawiał z Sashą w Londynie, a niedawno wyraźnie powątpiewał w prawdziwość dotychczas utrzymywanej wersji wypadków. Na dodatek przyjechał do Winterset Court, aby zadawać Alannie podchwytliwe pytania! W każdej chwili mógł spytać Saszę o zdarzenia sprzed trzynastu lat. Alanna drgnęła niespokojnie. Chyba słowa jego bratowej, matki dziedzica, więcej znaczyły niż opinie wygłaszane przez kogoś z rodziny Calvertów?

Alanna wstała, wzięła kapelusz i parasolkę, a następnie wyszła na dwór. Choć słońce miło przygrzewało, znów przeszła ją dreszcz. A jeśli James da wiarę Sashy? Irlandzka przyjaciółka Alanny, Amelia Banagher, wyjawiała, że towarzystwo dobrze przyjmuje Serenę Calvert - jak się teraz zaczęła nazywać - choć James stara się ją zdyskredytować. Amelia, której nie przypadła do gustu prezentacja naszyjnika, zasugerowała, że James mógł być pod większym wrażeniem spotkania z Sashą, niż był to skłonny przyznać. Mężczyźni to doprawdy głupcy! Niemądre sztuczki z naszyjnikiem i innymi drobiazgami nie miały sensu. Należało uczynić coś bardziej spektakularnego. Coś, co zdyskredytuje Saszę Calvert raz na zawsze. Wówczas nikt jej nie uwierzy. Będzie musiała wrócić na swoją karaibską wyspę i popadnie w zapomnienie. Alanna miała już w głowie plan. Musiała go jeszcze dopracować, gdyż niepowodzenie byłoby fatalne w skutkach. Poza tym potrzebowała pomocy... Postanowiła napisać list do Amelii.

Alanna Stannard obmyślała plan pogwałcenia Sereny, a tymczasem ta ostatnia dwoiła się i troiła, aby jak najlepiej zaprezentować towarzystwu Lucy. Choć nadal nie znała wszystkich powodów niechęci lorda Wintersetta, czuła się znacznie lepiej, bo zwierzyła się życzliwej hrabinie. Była gotowa na pewien czas odłożyć własne kłopoty na bok i skupić uwagę na bratanicy. Szczególnie intensywnie zabiegał o jej względy Michael Warnham i Serena koniecznie chciała go lepiej poznać. Wydawał się zdecydowanie atrakcyjnym kandydatem. Miał dwadzieścia trzy lata, dziedziczył tytuł barona, z pewnością mógł liczyć na lwią część spadku po babce. Isabella, jego siostra, zaprzyjaźniła się z Lucy, a Warnhamowie najwyraźniej aprobowali możliwy związek. Serena uznała, że wielbiciel Lucy jest miły i dowcipny, lecz jeszcze nie była pewna, czy ten młody człowiek ma dość siły charakteru, aby wzbudzić szacunek jej kipiącej energią bratanicy. Jeśli nie, wówczas ich małżeństwo byłoby skazane na niepowodzenie. Lucy zdawała się jednak szczerze podziwiać Michaela Warnhama, a Serena z rozważeniem obserwowała, jak ochoczo jej bratanica przychyliła się do jego osądów. Niewykluczone, że ten młody człowiek zasługiwał na większe uznanie, niż początkowo zakładała.

Starania Sereny zaowocowały częstszymi zaproszeniami Lucy na bale, koncerty i imprezy. Zawsze jednak trzymała się na uboczu, więc obowiązki przyzwoitek pełniły przede wszystkim lady Warnham i pani Galveston. Aby jednak dobrze poznać Michaela Warnhama i obserwować go w kontaktach z Lucy, Serena musiała aktywnie uczestniczyć w życiu towarzyskim. Miała świadomość, że lord Wintersett niejednokrotnie ją obserwował, czasem patrzył melancholijnie, kiedy indziej z niezrozumiałą satysfakcją. Nie zamierzała jednak

dopuścić do tego, by ten człowiek psuł jej humor. Czuła, że w tej rozgrywce jest górą.

Któregoś wieczoru podczas przyjęcia wydanego przez francuskiego ambasadora Serena z radością ujrzała zbliżającą się hrabinę Ambourne. Starszej pani towarzyszył przystojny mężczyzna po trzydziestce, ciemnowłosa i szarooki.

- Ach, panno Calvert! - zawołała dostojna arystokratka. - Mam dla pani przemiłą niespodziankę! Chciałabym przedstawić pani mojego syna, Edwarda.

Lord Ambourne uśmiechnął się lekko i ukłonił.

- Mama nadzwyczaj osobliwie ujmuje pewne fakty, panno Calvert. W jej imieniu proszę o wybaczenie. Przemiła niespodzianka jest jak najbardziej moim udziałem, zapewniam.

Serena roześmiała się i uprzejmie dygnęła.

- Lordzie Ambourne, pańskiej mamie wybaczyłabym wszystko. Okazała mi mnóstwo życzliwości, podobnie zresztą jak pan. Dom przy Dover Street jest naprawdę wspaniały.

- To własność mojej żony. Cieszę się, że przypadł pani do gustu.

- Zatem muszę jej podziękować. Czy jest z panem?

- Przebywa obecnie w Londynie, lecz nie ma jej dzisiaj z nami: Musi nieco odpocząć po długiej i wyczerpującej podróży.

- Panno Calvert, Perdita z pewnością chciałaby panią poznać. Wkrótce zaaranżuję wasze spotkanie - zapowiedziała hrabina. - Czy rozmawiała już pani z ambasadorem? Chodźmy, zaprowadzę panią. Na pewno zaintryguje go spotkanie z mieszkanką Karaibów. Ma posiadłości na Martynice.

- Ależ pani hrabino - zaprotestowała Serena. - Jego Ekscelencja z pewnością zaprosił ciekawsze osoby do rozmowy.

- Pani słowa, drogie dziecko, świadczą o tym, że go pani nie

zna. Za to ja tak, i to od dzieciństwa. Jedno jest pewne: zawsze znajdzie czas na rozmowę z piękną kobietą.

Obie damy w towarzystwie lorda Ambourne'a przemierzyły zatłoczone pomieszczenia, aby po chwili stanąć przed obliczem ambasadora. Jego Ekscelencja nie posiadał się z radości na widok hrabiny i przez kilka minut oboje entuzjastycznie rozmawiali po francusku. Następnie ambasador zwrócił się do lorda Ambourne'a z uprzejmym pytaniem, jak miewa się jego rodzina, a także posiadłość w Normandii. Na koniec skierował spojrzenie na Serenę, która z rozbawieniem odkryła, że hrabina potrafi zapoznawać ze sobą ludzi, rygorystycznie przestrzegając przy tym wszystkich norm towarzyskich pod warunkiem, że ma na to ochotę.

- Panno Calvert - odezwał się ambasador - jestem zaszczycony. Czy mogę zaprosić panią do tańca? Pogawędzimy o Martynice i St Just.

Serena popatrzyła nieco trwożliwie na hrabinę, która zachęcająco skinęła głową.

- Bardzo mi będzie miło - odparła Serena i ponownie dygnęła.

Jego Ekscelencja okazał się wybornym tancerzem i miłym rozmówcą. Serena świetnie się bawiła, kiedy w połowie walca zjawił się sekretarz ambasadora i dyskretnie wyszeptał ambasadorowi coś na ucho. Jego Ekscelencja zrobił smutną minę.

- Panno Calvert, obowiązki psują mi zabawę. Proszę się jednak nie martwić, zostawię panią w dobrych rękach. - Popatrzył na stojącego obok dżentelmena. - Ach, doskonale. Pragnę przedstawić pani najlepszego tancerza w Londynie. Oto lord Winterset. Wasza lordowska mość, jest pan prawdziwym dzieckiem szczęścia.

Ambasador uśmiechnął się i ukłonił, a następnie odszedł. Serena i James zostali sami na skraju parkietu. Popatrzyli sobie w oczy. James się ukłonił. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Panno Calvert?

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Winterset - odezwała się Serena chłodno. - Ambasador postąpił bardzo uprzejmie, sądząc, że zamierzam tańczyć dalej. Rzecz w tym, że poczułam się zmęczona. Muszę wracać do towarzyszy. Będą mnie szukali. .. - Odwróciła się, aby odejść, lecz James mocno chwycił ją za rękę.

- Panno Calvert, chyba czegoś pani nie zrozumiała. Prośba ambasadora jest równoznaczna z królewskim rozkazem. Musi pani ze mną zatańczyć, bez względu na to, jak niemiła jest pani ta myśl.

Krażyli po sali, w miarę możliwości unikając kontaktu ze sobą, lecz z czasem wyraźnie się odprężyli. Niedostrzegalnie zbliżali się do siebie, dłoń Jamesa mocniej spoczęła na talii Sereny, jej ręka swobodniej opierała się na jego ramieniu. Serena zamknęła oczy. Odnosiła wrażenie, że tańczy z nim po raz pierwszy. Nie potrafiła odgadnąć, co o niej myśli James Stannard, lecz i tak nie miało to dla niej znaczenia. W głębi duszy czuła do niego to samo, co po raz pierwszy, gdy spotkali się w Surrey. To zdumiewające, lecz od tamtej pory nic się nie zmieniło. Serena otworzyła oczy, chcąc przerwać to pasmo przygnębiających myśli. James patrzył na nią z góry, wyraźnie rozbawiony, jakby i on pamiętał tamtą idyllę.

Zachęcona Serena uśmiechnęła się, z początku niepewnie, lecz zauważyła, że jego spojrzenie staje się coraz łagodniejsze.

- Nasz przyjaciel William, tamten chłopak ze wzgórza,

chciałby coś powiedzieć o sytuacji, w której się znalazł. Czy go wysłuchasz?

- Sasha, nie umkniesz mi tak łatwo - rzekł z nieoczekiwaną wrogością. - Nie powinnaś wspominać naszych relacji ze szczęśliwszych czasów. Nie zasługujesz na przyjaźń.

- Ale dlaczego? Czemu nie chcesz o tym ze mną porozmawiać? - Zorientowała się, że mimowolnie podniosła głos.

- Nie powinnaś tracić panowania nad sobą - orzekł surowo.
- Jeszcze chwila i znowu staniemy się głównym tematem plotek. Pamiętaj, że taka sytuacja bardziej odpowiadałaby mnie niż tobie.

Walc dobiegł końca, tancerze opuścili parkiet. Serena zamierzała iść w ich ślady, lecz nagle znieruchomiała, odwróciła się do lorda Wintersetta i oświadczyła zdeterminowana:

- I tak z tobą o tym rozmawiam. Tę sprawę trzeba wyjaśnić raz na zawsze. Tutaj, jeśli nie znajdziesz odpowiedniejszego miejsca.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się półgębkiem.

- Jak to możliwe, że budzisz mój podziw, choć dobrze wiem, kim jesteś? Nigdy nie spotkałem nikogo podobnego do ciebie.
- Wziął ją pod rękę i sprowadził z parkietu. - Chodź! - polecił i otworzył drzwi do małego salonu. Serena zdążyła dostrzec zaniepokojone spojrzenie lady Ambourne i James z powrotem zamknął drzwi. - Czy to miejsce ci odpowiada?

- Tak jak każde inne - odparła. - Nie zamierzam ponownie wspominać „naszych relacji ze szczęśliwszych czasów”. Ten okres uważam za zamknięty i zamierzam o nim zapomnieć. Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Londynie i zachowałeś się w tak... nieelegancki sposób, byłam pewna, że mój sposób bycia w Surrey wzbudził w tobie obrzydzenie. Inaczej nie

potrafiłam wyjaśnić nagłej zmiany zachowania wobec mnie. Musi jednak istnieć inny powód. Ta antypatia, wręcz animozja budzi moje zastanowienie i niepokój. Nie umiem jej wytłumaczyć. Chcę, abyś mi wyjawiał przyczyny swojego zachowania.

- Śmiałe słowa! Szkoda, że trochę nieprzemyślane. Dobrze znasz przyczyny, o które pytasz.

- Obarczasz Calvertów winą za śmierć swojego brata?

- Pozostali Calvertowie już nie żyją. Obarczam ciebie odpowiedzialnością, ciebie i nikogo innego.

- To jakiś absurd! Jesteś do mnie uprzedzony. Kochałam Tony'ego. Przenigdy nie chciałam jego krzywdy. - James odwrócił się z obrzydzeniem na twarzy. - James, pomóż mi zrozumieć! - krzyknęła z rozpaczą. - Powiadają, że jesteś sprawiedliwy. Surowy, ale sprawiedliwy. Czemu starasz się mnie ukarać?

- Jeszcze nie wiesz, do czego potrafię się posunąć, aby cię ukarać! - Popatrzył na nią tak złowrogim wzrokiem, że mimowolnie cofnęła się o krok.

- Nienawidzisz mnie - wyszeptwała. - Naprawdę mnie nienawidzisz. Dobry Boże! Jak to możliwe, że dałam się tak oszukać? Przecież jeszcze niedawno wyobrażałam sobie, że mogłabym cię pokochać...

- Miłość! Prędzej pokochałaby mnie przebrzydła ropucha! Co ty możesz wiedzieć o miłości? Słyszałem, jak mówisz o miłości, którą byłabyś gotowa ofiarować. Oto miłość, która doprowadza człowieka do śmierci.

Serena przez moment stała wstrząśnięta. Słowa Jamesa zabrzmiały tak znajomo... Wtedy uświadomiła sobie prawdę.

- Byłeś w Rotherfield House. Podśluchałeś moją rozmowę z lady Ambourne. Jak śmiałeś?!

Serena szybko traciła cierpliwość. Rozwścieczyła ją myśl o tym, że ten człowiek po kryjomu wysłuchiwał jej zwierzeń, wyznań o najgłębszych, najboleśniejszych uczuciach związanych ze śmiercią brata...

- Przybieranie moralizatorskiej postawy nie pasuje do ladcownicy, Sasha!

Wtedy coś w niej eksplodowało i wbrew sobie z całej siły uderzyła lorda Wintersetta. W odpowiedzi chwycił ją mocno, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Usiłowała krzyknąć, lecz przywarł do niej tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Chciała się uwolnić. Na próżno. Poczuła się tak, jakby lada moment miała zemdleć. Gdy w końcu ją uwolnił, była tak oszołomiona, że słała się na nogach. Musiał ponownie ją złapać, bo osuwała się na podłogę. Dopiero po chwili odzyskała władzę w nogach. Wyprostowała się i ze zgrozą patrzyła na prześladowcę. Nawet nie zamierzała ukrywać strachu i odrazy. Jego twarz była biała jak kreda, w oczach czaił się obłąd.

- Sereno, nie wiem... Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie mam pojęcia, co mnie opętało.

Chwiejnym krokiem podeszła do drzwi.

- Sereno! - Znieruchomiła, lecz się nie odwróciła. - Sereno, nie zmierzałem atakować cię jak najgorszy barbarzyńca. Przepraszam, wybac mi.

- Wierzę ci. Przecież prędzej pocałowałbyś przebrzydłą ropuchę. Ale jednak mnie pocałowałeś. Sądysz, że wystarczy powiedzieć „przepraszam” i wszystko, co zrobisz, zniknie z pamięci drugiego człowieka? - Oparła dłoń na klamce.

- Jeśli teraz wyjdiesz, cały Londyn zahuczy od plotek - ostrzegł ją. - Wybuchnie skandal. Nawet nie wiesz, jak wyglądasz.

Serena popatrzyła na Jamesa z ironią.

- Twoim zdaniem w Londynie nie powinien wybuchnąć skandal, kiedy szanowany lord Winterset zachowuje się jak dzikie zwierzę?

- Wstydzę się tego, co zrobiłem, Sereno. Zaslługuję na pogardę, twoją i ludzi po drugiej stronie tych drzwi. Ale nawet ty musisz przyznać, że zostałem sprowokowany. Sądziś, że Londynem nie wstrząsnąłby podobny skandal, gdyby się rozeszło, że panna Calvert wymachuje pięściami jak nieokiełznany Cygan? W tym wypadku nie chodzi o mnie. Chcę ci oszczędzić wielu przykrości. Zaczekaj choć krótką chwilę, ochłóń. Z pewnością nie życzyłybyś sobie uwag, które mogłyby się teraz posypać pod twoim adresem.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mówił poważnie!

- Do czego zmierzasz? - spytała ostrożnie. - Odniosłam wrażenie, że właśnie tego pragniesz.

- Nie w tej chwili. To nie było częścią mojego planu. Naprawdę nie wiem, co mnie opętało. Powtórzę tylko raz jeszcze: głęboko żałuję swojego postępku i proszę cię o wybaczenie...

Urwał, gdy do pokoju wkroczył lord Ambourne wraz z matką. Drzwi pozostawili otwarte. Hrabina natychmiast podeszła do drzwi w ścianie po prawej i odblokowała w nich zamek. Do środka wpadła pokojówka. Lady Ambourne wzięła Serenę za rękę i oznajmiła nieco podniesionym głosem:

- Wielkie nieba, panno Calvert, przecież od razu widać, że jest pani chora. Jak to dobrze, że lord Winterset przyprowadził panią tutaj, gdy zrobiło się pani słabo. Do czasu mojego

przyjścia Marie z pewnością udzielała pani stosownej pomocy. Tak mi przykro, że wiadomość od lorda Wintersetta nie dotarła do mnie wcześniej. Poinformowałam już panią Galveston, że zabieram panią do domu. Ona zostanie z Lucy i jej przyjaciółmi. Dziękuję, Marie, możesz pomóc pannie Calvert wstać.

- Nagle zniżyła głos do szeptu. - Proszę wybaczyć mi tę fałsz, moje dziecko, ale to najlepsze, co można zrobić, aby uniknąć skandalu. Zamknęła się pani tutaj z lordem Wintersertem na dobrych parę minut i ludzie już wzięli was na języki. Nie musimy przecież nikomu mówić, że Marie dopiero weszła, prawda? Kazałam jej przysięgać, że była tu z wami przez cały czas.

Lord Ambourne posłał przyjacielowi długie, wymowne spojrzenie. Gdy cała gromadka skierowała się do powozu lady Ambourne, spytał chłodno:

- James, czy jutro wieczorem będziesz w domu? Mogę do ciebie zajrzeć? Chyba powinniśmy przedyskutować kilka spraw.

Następnego dnia świeciło słońce, a chłodny wiatr porywał ostatnie kwiaty z drzew w Green Parku i przenosił je do ogrodu wokół Rotherfield House. Rodzina Ambourne'ów zasiadła w oranżerii. Przeszklone drzwi pozostawiono otwarte, aby wpuścić do środka świeże powietrze. Spotkanie zorganizowano pod dachem, gdyż wiatr było dość mocny. Młodsza lady Ambourne zachichotała, kiedy mąż przykrywał jej kolana szalem.

- Edwardzie, przestań! - zaprotestowała. - Nie jest mi zimno, ani trochę. Poza tym nie czuję się zmęczona. Nie ma ani jednego powodu, bym nie mogła odwiedzić panny Calvert, gdy tylko należycie się ubiorę. Chcę się z nią spotkać!

Serena usłyszała te słowa, gdy podążała za Purkissesem do oranżerii. Przeszło jej przez myśl, że dwoje młodych prezentuje się wyjątkowo uroczo. Ciemnowłosa głowa lorda Ambourne'a pochylała się nad kanapą, na której leżała Perdita i wyciągała ku niemu rękę. Jego mina zdecydowanie przeczyła słowom wypowiedzianym przez niego w następnej chwili:

- Miej się na baczności, bo i tak jestem na ciebie zły. W żadnym razie nie powinnaś była chodzić po schodach pod moją nieobecność. Doktor Parker ci tego zabronił.

- E tam. Obaj jesteście tyranami, i ty, i doktor Parker. Uleganie waszym żądaniom źle wpływa na stan mojej psychiki. Mamo, zgodzisz się ze mną?

- Owszem, lecz pamiętaj, że Edward i tak postawi na swoim. Chyba że...

- Wiedziałam! Obmyśliłaś podstęp!

- Mój podstęp zadziałał. Góra przyszła do Mahometa.

Hrabina wdowa wstała, wyciągając rękę na powitanie Sereny. Skinieniem głowy dała Purkissowi znak, żeby odszedł, a następnie sama przyprowadziła Serenę do kanapy zajętej przez synową.

- Mama przechodzi samą siebie - zauważył Edward z uśmiechem. - Ta metafora nie pasuje nawet do Perdity. Panno Calvert, oto przyjemna niespodzianka: może pani poznać moją żonę.

Serena spojrzała w dół na kobietę mniej więcej w swoim wieku, o pięknych oczach koloru szafirowego. Młodsza lady Ambourne była równie piękna, jak lord przystojny i razem tworzyli niebywale atrakcyjną parę. Łatwo było się zorientować w przyczynach troski młodego arystokraty; jego żona niewątpliwie była w stanie zazwyczaj określanym mianem błogosławionego.

- Niespodzianka? Co ty mówisz, Edwardzie? Przecież zarówno niespodzianka, jak i związana z nią przyjemność pozostaje w całości po mojej stronie - oznajmiła lady Ambourne.

- Witam, panno Calvert. Jak pani widzi, chwilowo jest mi trochę trudno wstać...

- Nawet nie próbuj tego robić - ostrzegł żonę Edward, a gdy posłała mu buntownicze spojrzenie, uśmiechnął się i dodał łagodnie: - Bardzo proszę.

- Panno Calvert, zatem musi pani usiąść obok mnie i zabawić mnie rozmową - oświadczyła dama. - Sama pani widzi, że otaczają mnie sami despoci i spiskowcy. Mam ochotę zasypać panią gradem pytań. Musi mi pani powiedzieć, co pani sądzi o Londynie, chcę dowiedzieć się jak najwięcej o pannie Lucy i jej debiucie... Podobno Michael Warnham uchodzi za najbardziej prawdopodobnego kandydata, skoro o tym mowa. Chciałabym też wiedzieć więcej o lady Pendomer i jej rodzinie.

Hrabina postanowiła nie przeszkadzać młodym damom i wyszła. Lord Ambourne poszedł w jej ślady. Serena spędziła wyjątkowo miłe pół godziny, ale pod koniec rozmowy zorientowała się, że wbrew swoim buńczucznym zapewnieniom lady Ambourne jest wyraźnie zmęczona. Serena wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Liczę na to, że wkrótce znowu pani do nas zawita - powiedziała lady Ambourne. - Nie na długo przybyliśmy do Londynu. Edward ma ważne sprawy do załatwienia tutaj, lecz gdy tylko skończy, z miejsca wracamy do Ambourne. Stęskniłam się za dziećmi i choć nie przyznałabym się przed Edwardem, uważam, że Londyn jest męczący. Przed wyjazdem jednak chętnie bym się z panią zobaczyła.

- Jest pani bardzo miła, lady Ambourne, podobnie jak lady Ambourne... to jest hrabina... czyli pani teściowa.

- Łatwo się pomylić, prawda? Cóż, rodzina Ambourne'ów nie przykładła przesadnej wagi do formalności, jeśli są one niedogodne. Najlepiej będzie, jeśli zacznie pani zwracać się do mnie po imieniu - jestem Perdita. Znamy się bardzo krótko, lecz po lekturze listów od lady Pendomer czuję się tak, jakbyśmy były bliskimi przyjaciółkami. Przy następnej okazji przyprowadź Lucy. Chciałabym dowiedzieć się od niej więcej o panu Warnhamie, o ile będzie miała ochotę pogawędzić ze mną na jego temat. Cieszę się, że lubisz jego babkę. Mnie również pani Galveston wydaje się sympatyczna, choć wielu ludzi uważa ją za wiedźmę. Do widzenia, Sereno.

Lord Ambourne zjawił się w chwili, gdy Purkiss prowadził Serenę przez salony imponującego domu.

- Panno Calvert, możemy zamienić słowo? - spytał.

Przeszli do gabinetu.

- Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za impertynenta, ale chciałbym wiedzieć nieco więcej na temat zdarzeń z wczorajszego wieczoru. Czy mam poruszyć tę sprawę w rozmowie z lordem Wintersettem?

Serena pobladła.

- Moim zdaniem, najlepiej będzie całkiem o niej zapomnieć, lordzie Ambourne - oświadczyła. - Wczorajsze wydarzenie zakończyło się spokojnie, bez incydentów... O ile mi wiadomo... Nic się nikomu nie stało, a... - Serena znowu się zawahała, bo wciąż nie była w stanie wypowiedzieć na głos nazwiska lorda Wintersetta. - Ten dżentelmen zdążył mnie przeprosić, zanim państwo weszli.

- Przeprosić? Za co?

Serena wzięła się w garść i lekko uniosła głowę.

- Lordzie Ambourne, pańskie zainteresowanie mi schlebia, lecz uważam tę sprawę za zamkniętą. Lord... lord Winter... Wintersett wprowadził mnie w zakłopotanie. Ze wstydem przyznaję, że go sprowokowałam.

- Czy na pewno czuje się pani usatysfakcjonowana?

- Tak. Zdecydowanie tak.

- Wobec tego wyznam, że z ulgą przyjmuję pani słowa do wiadomości. James to mój stary przyjaciel i nie pali mi się do kłótni.

- Och, nawet nie powinien pan o tym myśleć! - zawołała Serena i po chwili zastanowienia dodała: - Lordzie Ambourne, powiada pan, że jest starym przyjacielem Jamesa. Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z nim o jego bracie?

- O Tonym? Niewiele. Właściwie nigdy go nie poznałem. Był młodszy, to jasne, a poza tym dość nieśmiały. James wiele mi opowiadał o pracy Tony'ego. Był bardzo dumny z osiągnięć zawodowych brata. O Tonym zrobiło się głośno, jeszcze kiedy studiował w Cambridge. Sądziliśmy, że wybierze uniwersytecką karierę. W Cambridge kojarzył się ludziom z mniemem, dlatego jego ślub okazał się kompletnym zaskoczeniem dla wszystkich, w szczególności dla Jamesa. Skąd to pytanie?

- Jak zareagował... pański przyjaciel na śmierć brata? Czy ten fakt wytrącił go z równowagi?

- Dziwaczne pytanie! - Lord Ambourne wpatrywał się w Serenę, która poczerwieniała, lecz nie wyrzekła ani słowa. Wzruszył ramionami i kontynuował: - To oczywiście, że ten fakt nie wytrącił go z równowagi. Nigdy w życiu nie znałem człowieka bardziej zrównoważonego od Jamesa Stannarda. Co nie oznacza, że ta tragedia pozostała bez

wpływu. Od tamtej pory nigdy nie wspomniał o Tonym. - Lord Ambourne na moment zamilkł, pogrążony w myślach. - Moim zdaniem, stał się bardziej skryty, zamknięty w sobie. Rzecz jasna, zawsze był człowiekiem chłodnym, zwłaszcza wobec osób, których nie znał. W Eton nazywano go Mroźnym Jamesem. Dla mnie zawsze był miły. Od lat się przyjaźnimy. - Obserwował Serenę z ciekawością. - Ale dlaczego pani pyta? Czyżby ze śmiercią Tony'ego Stannarda wiązało się coś więcej niż to, o czym wie towarzystwo? Czy na pewno zmarł z powodu gorączki? A może prawdziwe są pogłoski o jego samobójstwie?

- Nie potrafię panu odpowiedzieć. Byłam wówczas dzieckiem. - Zaczęła wciągać rękawiczki i oboje wstali. Po chwili Serena dodała ze smutkiem: - James uznał, że za całe zło odpowiada rodzina Calvertów i chyba do pewnego stopnia to przekonanie jest uzasadnione. Dziwię się jednak, że mnie obwinia w szczególności. Naprawdę nie rozumiem czemu.

- Panno Calvert, czy mam to ustalić?

Serena myślała gorączkowo. Propozycja była kusząca, lecz ci dwaj mężczyźni przyjaźnili się od lat. A jeśli z jej powodu przyjaźń ta legnie w gruzach? Przeprosiny lorda Wintersetta, wygłoszone poprzedniego wieczoru, wydawały się szczerze. Wątpiła, by próbował nowych sztuczek. Ponadto minął już półmetek sezonu i towarzyska pozycja Lucy była na tyle mocna, że Serena mogła spokojnie wycofać się na drugi plan, czego zawsze sobie życzyła. Lord Wintersett z pewnością by o niej zapomniał, gdyby skutecznie go unikała. Wkrótce przecież miała wracać na Karaiby, gdzie szansa spotkania tego człowieka była bliska zeru.

- Jeszcze raz dziękuję, lordzie Ambourne - odparła. - Jest

pan bardzo uprzejmy. Proszę jednak tego nie robić. Po prostu spróbuję unikać pańskiego przyjaciela. Do widzenia.

Tego samego wieczoru przy kolacji lord Ambourne spytał panie, co sądzą o Serenie Calvert.

- Och, Edwardzie, to śliczna kobieta. Nie do końca w klasyczny sposób, lecz te oczy! Coś niezwykłego. Mają barwę czystego, złocistego bursztynu.

- Perdito, zależałoby mi raczej na ocenie jej charakteru, nie wyglądu zewnętrznego. Jej uroda jest dostrzegalna na pierwszy rzut oka i zgadzam się z tobą, to niebanalnie urodziwa osoba. Nie do końca w moim guście, preferuję oczy barwy szafirowej, o czym z pewnością wiesz, ale przyznaję, Serena jest śliczna.

- Uważam, że jest nieszczęśliwa. To widać.

- Nic dziwnego - zauważyła hrabina. - Historia rodziny panny Calvert jest zdecydowanie tragiczna. Pozostała całkiem sama na świecie, jeśli nie liczyć Lucy. Poza tym wypruwała sobie żyły, aby postawić rodzinną posiadłość na nogi. Listy Alicii Pendomer były pełne entuzjastycznych pochwał pod adresem Sereny, jej obowiązkowości, pracowitości. Nie paliłam się do poznania takiej nudziary. Okazało się jednak, że ta panna jest urocza. Zachowanie Jamesa Stannarda pozostaje dla mnie zagadką i przyznaję, ogromnie mnie rozczarowało.

- Pytanie, czy mamy prawo oceniać Jamesa, nie znając faktów. Powiadasz, że Serena Calvert jest urocza, ale czy to przesądza o jej wartości? Przyjmijmy nawet, że to ogromnie pracowita istota. A czy jest uczciwa?

Żadna z dam nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości i obie ogromnie wzburzyło takie postawienie sprawy przez Edwarda.

Gdy Perdita poszła spać, hrabina postanowiła porozmawiać z synem.

- Edwardzie, nie chcę niepokoić Perdity tą sprawą, lecz wczoraj wieczorem słyszałam, jak mówisz Jamesowi, że chciałbyś się z nim spotkać.

- Tak, przyszło mi do głowy, że do niego wpadnę.

- Jak sądzę, zamierzasz porozmawiać z nim o jego zachowaniu. Czy w związku z tą sprawą może dojść między wami do kłótni?

- Mamo, nie musisz się tym trapić. Panna Calvert podkreśliła, że nie chce, abym rozgrzebywał ten problem, na szczęście więc nie muszę stawiać sprawy na ostrzu noża. Cieszę się, że to tak rozsądna kobieta. Nie powiem, bym rozumiał zachowanie Jamesa, lecz nie chciałbym w związku z tym utracić jego przyjaźni. Uważam jednak, że powinienem mu uświadomić, iż panna Calvert to przyjaciółka rodziny Pendomerów i jako taka zasługuje na pewną ochronę z mojej strony. Zachowam się taktownie, nie rób takiej miny. Czyżbyś wiedziała o tej sprawie więcej, niż mi zdradziłaś?

Hrabina opowiedziała wówczas wszystko, co uznała za stosowne, na temat pobytu małżeństwa Stannardów na St Just. Nie było jej łatwo - dała przecież Serenie słowo, więc większość faktów musiała zataić.

Rozdział dziewiąty

Podobnie jak lord Ambourne, James nie cieszył się na zbliżające się nieuchronnie spotkanie. O niewielu ludziach mógł powiedzieć, że są jego przyjaciółmi, więc utrata choćby jednego byłaby dla niego ciosem. Na dodatek uważał Neda i jego rodzinę za wyjątkowo bliskie sobie osoby. Przeklęta Sasha Calvert! Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział ją lub skutki jej poczynań. Niszczyła wszystko, co kiedykolwiek cenił.

Gdy zaanonsowano lorda Ambourne'a, mężczyźni powitali się ostrożnie, niczym szermierze. Ku zaskoczeniu Jamesa, wkrótce stało się jasne, że Ned nie zamierza go potępiać ani udzielać mu reprimendy. Choć to nieprawdopodobne, Serena najwyraźniej nie opowiedziała Nedowi o tym, co się zdarzyło. Poprzedniego wieczoru było oczywiste, że jego przyjaciel jest gotów wziąć na siebie rolę obrońcy Sereny, ale zapewne nie oczekiwała od niego takiego zaangażowania. James odetchnął z ulgą i postawił na stole butelkę wina, przy której pogawędka stała się znacznie swobodniejsza. Po pierwszej butelce przysłała kolej na drugą, a rozmowa przeciągnęła się tak długo, że ze świec zostały ledwie ogarki, a ogień w kominku prawie całkiem wygasł.

- Stary druhu - zagadnął w pewnej chwili Ned - powiedz mi wreszcie, coś ty takiego zrobił Serenie Calvert?

- Nie wyjawiała ci?

- Nie - zaprzeczył Edward. - Oświadczyła tylko, że ją przeprosiłeś i że cię sprowokowała. Podobno chciała, aby sprawę puścić w niepamięć. Wiele bym dał, aby się dowiedzieć, co takiego uczyniłeś. Moim zdaniem, Serena Calvert to chłodna i opanowana kobieta, lecz wczoraj wieczorem wyraźnie się zdenerwowała.

- Pocałowałem ją - wyznał James nieoczekiwanie. - Poza tym jesteś w błędzie, sądząc, że to chłodna kobieta. Jest chyttra i przebiegła.

- Cóż - Edward wykonał zamaszysty gest ręką - kobiety często *robią z igły widły, kiedy się je pocałuje, a w gruncie rzeczy jest im całkiem przyjemnie*. W jej opinii nic takiego się nie stało. Sama mi to powiedziała.

- Powiedziała, że było jej przyjemnie?

- Nie, chodzi o to, że nic takiego się nie stało.

- Chciałbym wierzyć, że to prawda. Widzisz, Ned, przestraszyłem ją. Teraz jest mi wstyd. - James ze smutkiem popatrzył na przyjaciela. - Ta kobieta wyzwała we mnie najgorsze instynkty. Chodzi mi o Sashę. Nie o Serenę. W żadnym razie nie o Serenę... - Napełnił sobie kieliszek i wypił potężny haust.

- James, weź się w garść! O jakiej Sashy mówisz?

- O tej, która zabiła mojego brata.

Edward się wyprostował, sięgnął po butelkę i dolał Jamesowi wina. Sobie nalał odrobinę.

- James, stary druhu, jesteś w błędzie. Wszystko ci się pomieszało. Twój brat popełnił samobójstwo. Chyba się nie mylę, prawda?

- Skąd o tym wiesz?

- Mniejsza z tym. Tak było, przyznaj.

- Tak! - James wstał i podszedł do kominka, gdzie lekko kopnął nadpalone polano. - Ale dlaczego targnął się na życie? Nie wyobrażasz sobie, jak to jest żyć z tym pytaniem. Chciałbym zapomnieć. Czasem nawet mi się udaje, na trochę. Potem wracam do Surrey, widzę mamę, syna Tony'ego i to pytanie znowu zaczyna mnie dręczyć. Do tego mam poczucie nieodżałowanej straty. Do diaska, wiesz, jaki on był. Dlaczego musiał zabić się z powodu kobiety? - James odwrócił się od ognia i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

- Miał ukochaną pracę. Że też właśnie jego dotknęło to nieszczęście! I pomyśleć, że zrobił to mamie... Diabła tam! Czemu?

- Dlaczego sądzisz, że zabił się z powodu kobiety? - spytał Edward ostrożnie.

- Nie widzę innej przyczyny. Poza tym mam dowód. Na własne uszy słyszałem, jak ona to przyznała. Na litość boską, zostawmy już tę sprawę! - James ponownie sięgnął po kieliszek.

Edward miał świadomość, że stąpa po kruchym lodzie.

- James, powiem ci coś, co chyba powinienesz sobie gruntownie przemyśleć. Jakiś czas temu niewiele brakowało, a popełniłbym najpoważniejszy błąd życia. Tylko dlatego, że byłem ślepy i nie dostrzegałem prawdy. Mogłem stracić Perdite. Wyobrażasz sobie? Bądź ostrożny, abyś nie wpadł w tę samą pułapkę. A teraz powiedz mi dokładnie, co takiego zarzucasz Serenie Calvert.

James wbił wzrok w Edwarda.

- Nic takiego, Ned. - Opadł na kolana i wyszeptał: - Ale

Sasha... to zupełnie inna sprawa. Powiem ci, że mam dla niej nie lada niespodziankę. - Powoli osunął się na podłogę.

Edward z żalem przyjął do wiadomości, że tego wieczoru nic więcej nie wydobędzie z Jamesa. Przywołał kamerdynera, aby ten zajął się pogrążonym w pijackiej drzemce panem, a sam chwiejnym krokiem wrócił na Arlington Street.

Następnego ranka Edward zerknął na blade oblicze Perdity, sprowadził doktora Parkera, upewnił się, że ciężarna będzie w stanie wytrzymać stosunkowo krótką podróż do Ambourne pod warunkiem podzielenia jej na wygodne etapy, i zdecydował, że tego popołudnia wyruszy z żoną z Londynu. Hrabina wdowa ubolewała nad ich wyjazdem, lecz przyznała synowi słusność. Jej synowa uśmiechnęła się słabo, napisała kilka krótkich listów, między innymi do Sereny, usadowiła się wygodnie w powozie i odjechała z ukochanym mężem.

Nazajutrz James przez większość czasu siedział w pokoju, ponuro wpatrzony w przestrzeń. Miał świadomość, że Serena mogłaby, gdyby chciała, doprowadzić do tarć pomiędzy nim a przyjacielem. Konflikt byłby trudny do załagodzenia. Gdyby Ned poznał prawdę o zachowaniu Jamesa na balu u ambasadora Francji, poczułby się zobligowany do stanowczego wystąpienia w obronie Sereny. Tymczasem nie opowiedziała mu ona o wszystkim. Dlaczego? Nie miała powodów, by chronić Jamesa. Obraził ją, zaatakował, nawet przestraszył. Zmarszczył czoło na wspomnienie wyrazu jej oczu po tym godnym potępienia pocałunku. Zwykle była taka odważna, energiczna. W jej złocistych oczach nieczęsto gościł strach, tego James był pewien.

Wstał pośpiesznie. Czemu się przejmował? Najważniejsze,

że jego przyjaźń z Nedom przetrwała. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Sasha Calvert wkrótce straci Anse Chatelet i zniknie z jego życia. Ta myśl ani trochę nie poprawiła mu jednak samopoczucia.

James odetchnął z ulgą, kiedy przyszedł pan Bradpole i wywrwał go z ponurych rozmyślań. Prawnik przyniósł stertę dokumentów, finalizujących procedurę przejęcia przez lorda Wintersetta majątku Anse Chatelet. Żaden z dżentelmenów nie zachowywał się specjalnie wylewnie. Dla pana Bradpole'a nie znalazł się wygodny fotel, nie stanął przed nim kieliszek madery. Prawnik najwyraźniej jednak nie oczekiwał przejawów życzliwości. Całym swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że nie ma powodów do świętowania.

- Co mam teraz zrobić?

- Te egzemplarze powinny zostać dostarczone pannie Calvert, lordzie Wintersett. Czy mam zachować oryginały?

- Oczywiście. Właściwie nie rozumiem, po co pytasz, Bradpole. Wyjaśnij mi także, czemu przyniosłeś kopie, skoro powinienś był dostarczyć je pannie Calvert. Znasz jej adres.

Prawnik z powagą popatrzył na klienta.

- Pomyślałem, że nawet na tak późnym etapie zechce pan zrewidować swoją decyzję, lordzie Wintersett. Ewentualnie postanowi pan przekazać dokumenty osobiście, do rąk własnych zainteresowanej.

- Do czego zmierzasz, człowieku?

- Przejęcie posiadłości Calvertów było pańskim celem od lat, lordzie Wintersett. To jasne, że kieruje się pan względami natury osobistej. Jeśli jednak woli pan, bym samodzielnie przekazał dokumenty drugiej stronie, zrobię to, rzecz jasna.

- Zatem do roboty, Bradpole - polecił opryskliwie lord

Winterset. - A teraz żegnam. Do diaska, kto jak kto, ale ty powinienes traktować klientów z większym szacunkiem!

Pan Bradpole ukłonił się, wymownie milcząc, i wyszedł. James opadł na fotel i zaczął się zastanawiać, dlaczego, u licha, jest taki rozdrażniony. Czuł się kompletnie rozbity. Bolała go głowa, ale tę dolegliwość łatwo było wytłumaczyć nadużyciem trunku poprzedniego wieczoru. Miewał już wcześniej kaca i wiedział, że inaczej reaguje na tę przypadłość. Uśmiechnął się niewesoło. Bradpole nigdy nie dawał za wygraną. „Nawet na tak późnym etapie!”. Też coś. Może powinien osobiście zanieść dokumenty na Dover Street? Prawdę mówiąc, trochę się bał. Po incydencie u francuskiego ambasadora miał prawo podejrzewać, że Serena odmówi mu spotkania.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, rozpamiętując zdarzenia z St Just. Stały się one tarczą, która chroniła go przez falą wątplenia. Po chwili udało mu się okiełznać niedorzeczne wątpliwości i ponownie usiadł, aby przypomnieć sobie szczegóły wizyty prawnika. Serena wkrótce otrzyma dokumenty związane z Anse Chatelet. Jak zareaguje na utratę domu? Zapewne przeżyje załamanie. Ta perspektywa sprawiła mu zaskakująco niewielką przyjemność. Przypomniał sobie, że to nie Serena traci majątek, lecz Sasha Calvert, ale i tak czuł się źle.

Jego umysł przepełniały myśli o Serenie. Żałował, że sprawia jej ból. Coraz wyraźniej pojmował, że nie ma takiej potrzeby. Co się z nim działo, psiakrew? Oto nadeszło zwycięstwo, które poprzedzały lata planowania i wyczekiwania. Powinien tryskać radością, a tymczasem był przygnębiony i przejęty. Najwyraźniej żył w dwóch światach jednocześnie i w żadnym z nich nie był szczęśliwy. Przez pewien czas roz-

myślał ze smutkiem o sobie i swojej codzienności, a potem uznał, że dobrze mu zrobi łyk świeżego powietrza. Przejazdka konno po parku powinna oczyścić mu umysł i poprawić samopoczucie.

Po powrocie znalazł list z prośbą o jak najszybszą wizytę u panny Calvert przy Dover Street. Zdumiało go, jak wielką radość sprawiło mu to zaproszenie. Powody jego wystosowania nie miały znaczenia. Grunt, że Serena była gotowa ponownie go zobaczyć.

Serena nerwowo przemierzała salon domu przy Dover Street. Złowróbne papiery walały się po stole przy oknie, tam, gdzie je cisnęła. Lucy siedziała na sofie. Była blada jak ściana i miała szeroko otwarte oczy, którymi wodziła za ciotką.

- Co to oznacza, Sasha? Zawsze mieszkaliśmy w Anse Chaletet, to nasz dom. On nie może nam odebrać domu, prawda?
- Usta Lucy zadrżały. Serena zatrzymała się, aby wziąć podopieczną w ramiona i spróbować ją pocieszyć.

- Nie płacz. Cicho, kochana. Odzyskam dom, obiecuję. No już, otrzyj łzy. On może zjawić się lada moment, nie wolno nam okazywać słabości. Ten człowiek to nic niewart...
- W tym miejscu Serena użyła słowa, które na wyspie powszechnie uważano za obraźliwe.

Wstrząśnięta Lucy momentalnie przestała płakać i roześmiała się zaskoczona.

- Sasha! Co powiedziałyby lady Pendomer?
Serena uśmiechnęła się do bratanicy.
- Nie wiedziałyby, co znaczy to słowo. Dziwi mnie, że ty rozumiesz jego znaczenie.
- Sasha, przecież dorastałam na wyspie. Nie można przeby-

wać z Joshuą i innymi, nie ucząc się od nich pewnych rzeczy. Och, tak bardzo brakuje mi Joshuy, Betsy i całej reszty. Czy już nigdy nie ujrzymy Anse Chatelet?

Lucy ponownie ogarniało przygnębienie, więc Serena pośpieszyła z zapewnieniem:

- Ależ oczywiście, że ujrzymy! Pamiętaj jednak, że jeśli weźmiesz ślub w Anglii, wówczas St Just z pewnością straci dla ciebie na znaczeniu. Przecież podoba ci się tutaj, prawda?

- Och tak, ogromnie! Właściwie... brakowałoby mi Isabelli i reszty moich przyjaciół bardziej niż dzieciaków z St Just. Nie w tym rzecz, że nie kocham wszystkich z Anse Chatelet. Oni nadal są dla mnie ważni. Po prostu tutaj jest inaczej. - Serena popatrzyła uważnie na bratanicę, która zarumieniła się i dodała: - Chyba najbardziej tęskniłabym za bratem panny Isabeli. On... też mnie lubi, tak sędzę. Co byś zrobiła, gdybyśmy... mieli się pobrać? - Serena pojęła, że Lucy po raz pierwszy myśli o konsekwencjach małżeństwa w Anglii. Wcześniej nie uświadamiała sobie, że czeka ją rozstanie z ukochaną ciotką. Nagle twarz Lucy pojaśniała. - Sasha, wiem! Kiedy wezmę ślub, zamieszkamy razem w Anglii.

Serena uśmiechnęła się nieznacznie. Chwilowo nie zamierzała wyjaśniać bratanicy, że nie zamierza z nią mieszkać, kiedy już znajdzie dla niej odpowiedniego męża. Od samego początku zakładała, że doprowadzi do szczęśliwego małżeństwa Lucy, a potem wróci na St Just, aby skupić uwagę na sprawach Anse Chatelet. Wyglądało na to, że traci z oczu tę perspektywę, ale na pewno nie podda się bez walki.

Dzięki tej rozmowie Lucy udało się wziąć w garść przed przybyciem lorda Wintersetta. Zjawił się jak zwykle nienagan-

nie ubrany, w ciemnozielonym surducie i bryczesach do konnej jazdy, chłodny i obojętny. Na powitanie uklonił się z rezerwą, a Serena powitała go w równie zimny sposób.

- Lordzie Winterset, zna pan moją bratanicę, prawda? - spytała wyniośle.

- W rzeczy samej. Sługa uniżony, panno Lucy. - Dziewczyna wstała, dygnęła i ponownie usiadła. James kontynuował:

- Przyznam, że jestem zaskoczony obecnością młodej damy. Zakładałem, że przybywam na spotkanie w interesach. Mniemam, że otrzymała pani dokumenty związane z Anse Chatelet? - Sięgnął po monokl i popatrzył na bałagan na stole. - Tak. Widzę, że nawet pani się z nimi zapoznała.

- Rzeczywiście, to spotkanie w interesach, lordzie Winterset. Posiadłość jest w takim samym stopniu domem Lucy, jak moim. Nie może pan winić mnie za to, że podczas rozmowy z panem chcę mieć świadka.

Policzki lorda Wintersetta lekko poczerwieniały, lecz zachował spokój.

- Panno Calvert, czyżby nadal uważała pani ten dom za swój? Błąd.

- To się jeszcze okaże - odparła Serena bez namysłu. - Spóśb, w jaki przejął pan mój majątek, jest wysoce wątpliwy, by użyć łagodnego słowa.

- Postąpiłem zgodnie z literą prawa.

- Raczej skorzystał pan z byle pretekstu. Większość ludzi honoru nie zniżyłaby się do takich metod. Mam całkowitą świadomość, że apelowanie do pańskiego honoru przypominałoby proszenie hieny, aby przestała pożerać padlinę. - Lucy aż jęknęła cicho z wrażenia. Serena nie zwróciła uwagi na zachowanie bratanicy i mówiła dalej: - Mam powody zakładać,

że sądy życzliwie potraktują wniosek odwoławczy, zwłaszcza że poprze go burmistrz St Just.

Lord Wintersett uśmiechnął się drwiąco.

- Czas pokaże, kto ma rację - odrzekł. - Na mojej drodze mogą pojawić się przeszkody, nie przeczę, niemniej wątpię, by akurat pani miała mi zaszkodzić. Proszę mi wierzyć, stanowi pani znikome zagrożenie. Anse Chatelet należy do mnie według wszelkich praw obowiązujących w królestwie. Mogę przeciwstawić się każdemu, kto zechce odebrać mi własność.

- Ależ oczywiście! Jak mogłam zapomnieć? Bogaty lord Wintersett może sobie pozwolić na najlepszych prawników w Anglii.

- Nie zdobyłem Anse Chatelet za sprawą swojego bogactwa, panno Calvert. Utraciła pani majątek dlatego, że pani rodzina w przeszłości wiodła życie ponad stan. Gdybym nie przejął hipoteki, uczyniłby to ktoś inny.

- Niech pan nie stara się bronić...

- Wcale się nie bronię. Nie widzę takiej potrzeby. W szczególności przed kimś, kto nosi nazwisko Calvert. Niech się pani nad sobą zastanowi. Trwoni pani znaczne i dochodowe dziedzictwo, a potem przychodzi do mnie skomleć, kiedy odbiera się jej zadłużony i niespłacony dom...

Lucy zerwała się na równe nogi i z purpurowymi policzkami stanęła twarzą w twarz z lordem Wintersettem.

- Jak pan śmie?! Jak pan śmie odzywać się w taki sposób do mojej cici?! Co pan wie o jej życiu? Całymi latami Sasha ciężko i ofiarnie pracowała tylko po to, aby ocalić Anse Chatelet. Nigdy w życiu nic nie zmarnowała.

- Z wyjątkiem życia mojego brata.

Lucy puściła tę uwagę mimo uszu.

- A na dodatek ma coś, czego pan nigdy mieć nie będzie, bo tego się nie kupi za pieniądze. Ciocia cieszy się miłością wszystkich, którzy ją znają. Niech pan sobie zatrzyma Anse Chatelet. Sasha będzie mieszkała ze mną, kiedy wyjdę za mąż!

- Za mąż? W rzeczy samej, to dobre wieści, moja panno. Można wiedzieć, kto jest tym szczęśliwcem?

Po plecach Sereny przeszły ciarki. Lord Winterset był niebezpieczny i mściwy, mógł zagrozić szczęściu Lucy. Położyła dłoń na ręce podopiecznej.

- Nie, nie można wiedzieć - wtrącała. - To nie pański interes, lordzie Winterset. Lucy, dziękuję ci za obronę, jestem wzruszona twoją postawą. Wydaje mi się, że wizyta lorda Wintersetta właśnie dobiega końca. Moja droga, czy zechcesz na chwilę zostawić nas samych?

Lucy popatrzyła na gościa z powątpiewaniem, lecz Serena zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - zapewniła podopieczną. - Możesz spokojnie iść. - Lucy dygnęła najpiękniej, jak potrafiła, aby zademonstrować niechęć i wyższość, a następnie wyszła. Gdy zamknęły się za nią drzwi, Serena spojrzała niespokojnie na Jamesa.

- Jest młoda i bardzo jej na mnie zależy. Musi jej pan wybaczyć. - Miała świadomość, że zniża się do próśb, lecz nic nie mogła na to poradzić. - Jej ojciec był schorowanym człowiekiem, kiedy pański brat i jego żona przebywali na St Just. Nie uczestniczył w tym, co wówczas się zdarzyło. Proszę się postarać nie marnować jej życia.

- Pani zdaniem, byłbym gotowy skrzywdzić dziewczynę, która nie skończyła nawet pięciu lat, kiedy zmarł mój brat?

- Miałabym pełne prawo tak uważać! - wybuchnęła Serena.
 - Właśnie odebrał jej pan dom!

- To nie był jej dom, tylko pani. Rozumiem, że panna Lucy ma własny majątek, a pani postanowiła wyswatać ją w Anglii. Utrata Anse Chatelet nie będzie dla niej nic znaczyła.

- Nic? Też coś! Ty bezlitosny, mściwy skorpionie! - Z przejęcia znów zaczęła zwracać się do niego na ty. - Skąd możesz wiedzieć, czym dla dziecka jest dom? Nie masz pojęcia o miłości i poczuciu bezpieczeństwa!

James zbladł i odwrócił się plecami do Sereny. Po chwili zauważył oschle:

- Lucy ma szczęście, skoro tak dobrze wspomina dom. Powiedziała jednak, że wkrótce czeka ją ślub, zatem zapomni o utracie Anse Chatelet. Powtarzam, nie zamierzam krzywdzić dziewczyny.

Nagle Serena pojęła, że James jest nieszczęśliwy i dramatycznie samotny. To spostrzeżenie kazało jej zamilknąć, choć kipiała wściekłością. Postanowiła zachować spokój.

- Choć osobiście tego nie doświadczyłam, wszyscy powiadają, że jesteś sprawiedliwym człowiekiem. Surowym, lecz sprawiedliwym. Karanie Lucy nie byłoby sprawiedliwe.

- Czy zamieszkaś z bratanicą, jeśli weźmie ślub w Anglii?
 - spytał z irytacją.

Serena pokręciła przecząco głową.

-Nie.

- Zatem co uczynisz?

- Zawsze zamierzałam powrócić na St Just, aby pokierować Anse Chatelet. Przywrócenie majątku do stanu dawnej wspaniałości było moją ambicją. - Popatrzyła Jamesowi wyzywająco w oczy. - W tej sprawie nic się nie zmieniło.

- Co zrobisz, jeśli twoje odwołanie zostanie odrzucone? Bo tak właśnie się stanie.

- Być może powrócę do Surrey. Przyznaję jednak, życie tam nie będzie usłane różami. Moja babka cioteczna ma swoje lata i niełatwo jej będzie zmienić przyzwyczajenia...

- Niewykluczone, że przyjdzie ci szukać wytchnienia jako William!

Wydało się jej, że pozałował swoich słów natychmiast po tym, jak je wypowiedział. Oboje przypomnieli sobie przyjaźń, która ich połączyła. Żałowali jej utraty, choć nie chcieli się do tego przyznać. James zmarszczył czoło i nagle podjął decyzję.

- Panno Calvert, jeśli pani obieca, że natychmiast powróci na St Just, przyjmę do wiadomości opinię sir Henry'ego, że płatność dotarłaby w terminie, gdyby nie okoliczności zewnętrzne - oświadczył oficjalnym tonem. - Tym samym anuluję przejęcie majątku. Anse Chatelet zostanie pani zwrócone na dawnych warunkach. Musi pani jednak opuścić Anglię i nigdy nie wracać. Przenigdy.

Serena z coraz większym wzburzeniem słuchała słów Jamesa.

- „Musi pani opuścić”, „Przenigdy”! Za kogo pan się uważa? Jak pan śmie zabraniać mi odwiedzin u Lucy w Anglii? Nie pozwala mi pan nawet przyjechać tutaj dla własnej przyjemności? Noszę nazwisko Calvert, moim domem jest Anse Chatelet. Nie zamierzam odgrywać roli osoby, którą łaskawie i wielkodusznie postanowił pan utrzymywać. Za nic w świecie! Jeśli nie uda mi się własnymi siłami odzyskać mojej posiadłości, to trudno. Będzie pańska, proszę ją sobie zatrzymać. I niech mnie piekło pochłonie, jeśli przyjmę pańskie wsparcie lub zgodzę się na wymyślone przez pana ograniczenia!

Uśmiechnął się niechętnie.

- Mocne słowa, Sereno - zauważył. - Twój temperament kiedyś cię zgubi. Wiesz, jesteś dla mnie prawdziwą zagadką. Niewiele brakowało, a przekonałabyś mnie o swojej uczciwości, gdybym nie słyszał, jak sama siebie obciążasz.

- Uczciwość? Nie jest pan człowiekiem godnym oceniania cudzej uczciwości. Do tego potrzeba spełniać pewne moralne standardy, a złodziejstwo do nich nie należy. Ukradł pan Anse Chatelet. Poza tym o co panu właściwie chodzi, kiedy wspomina o życiu swojego brata? Ma pan do mnie jakieś pretensje z tym związane?

- Owszem, doprowadziłaś go do śmierci!

Serena pustym wzrokiem patrzyła na Jamesa.

- Ja? Doprowadziłam do śmierci? Co za nonsens!

- Powiedziałaś, że go pokochałaś...

- To prawda, ale...

- Powiedziałaś, że mu towarzyszyłaś.

- Rzeczywiście, lecz...

- Wykrzyczałaś, że nim gardzisz, że pragniesz, by umarł.

- Tego nie powiedziałam. Nie do Tony'ego!

- Zatem do kogo?

Serena otworzyła usta, aby odpowiedzieć, lecz nagłe ponownie je zamknęła. Dlaczego miałaby zdradzać Richarda przed tym potworem?

- Nie odpowiem na to pytanie. Na pewno nie chodziło o Tony'ego. - James sceptycznie zmarszczył czoło. Serena udała, że nie zwraca na to uwagi. - Lordzie Winterset, myli się pan co do mojej osoby. Kochałam Tony'ego i nigdy bym go nie skrzywdziła.

Popatrzył na nią, pewny swego i najwyraźniej pełen pogardy dla jej wysiłków.

- To musiałaś być ty - orzekł.

Słyszając ten zarzut, Serena zrobiła wielkie oczy.

- Ależ... ja... - zająknęła się.

- Kontynuuj, proszę - zachęcił ją kpiąco. - Powiedz, że Tony nie popełnił samobójstwa. A jeśli popełnił, to zapewnij mnie, że nie przez kobietę.

- Nie przeze mnie - odparła cicho. - Nic więcej nie powiem. Uwierzy pan, w co zechce. Nie mógł pan postąpić gorzej w stosunku do rodziny Calvertów. Nadszedł czas, by puścić w niepamięć to, co zdarzyło się dawno temu. Ostrzegam pana jednak, zamierzam walczyć o Anse Chatelet. Jeśli z pańskiego powodu Lucy w jakikolwiek sposób ucierpi, wówczas zadam panu więcej bólu, niż potrafi pan sobie wyobrazić, lordzie Winterset. Żegnam.

Obawy Alanny o własne bezpieczeństwo osiągnęły punkt kulminacyjny, gdy usłyszała, że Sasha Calvert została przyjęta w domu rodziny Ambourne'ów i odniosła znaczący sukces towarzyski. Alanna w coraz większym stopniu musiała polegać na informacjach od Amelii Banagher. Osobę tę trudno było nazwać dobrym ich źródłem, gdyż nie miała już prawa wstępu do najlepszych domów. Na początku roku James dość często odwiedzał swój majątek, lecz od pewnego czasu zmęczył się wsią i więcej czasu spędzał w mieście. Z tego względu wzrastało ryzyko, że zaprzyjaźni się z Sashą. Alanna codziennie spodziewała się przyjazdu wściekłego Jamesa, który zażąda od niej prawdy o zdarzeniach na St Just. W końcu postanowiła doprowadzić plany do końca.

Czerwiec miał się ku końcowi, kiedy Alanna zwołała naradę wojenną. Dla niewtajemniczonego obserwatora wyglądało

to na podwieczerek w ogrodzie, wydany przez panią Stannard dla przyjaciół z Irlandii - rzecz całkiem normalna. Dama, siedząca z gracją przy zegarze słonecznym, należała do grona londyńskich kurtyzan, a eleganckim dżentelmenem, który ją przywiózł, był Fergus O'Keefe, irlandzki najemnik i człowiek licznych umiejętności, bez wyjątku niegodziwych. Alanna nie mogła doczekać się, kiedy upokorzy Saszę Calvert, a pozostała dwójka zacierała ręce na myśl o zapłacie obiecanej im przez bogatą panią Stannard w zamian za pomoc. W wypadku damy lekkiego prowadzenia się w grę wchodził także czynnik osobisty. Amelia Banagher nie zapomniała uwag wygłoszonych przez Serenę w Assembly Rooms.

- Skąd pewność, że sir John i lady Taplow zatrzymają się „Pod Czarnym Lwem”? - spytał kapitan O'Keefe.

- Fergusie, nie bądź idiotą! Przecież doskonale wiem, gdzie wszyscy mają swoje ulubione gospody. Wielokrotnie widywałam Taplowów właśnie „Pod Czarnym Lwem” w Hoddesdon, kiedy wracali do Londynu z Huntingdon. Co nie oznacza, że oni mnie widzieli. - Amelia zaśmiała się perliście. - Dołożyli wszelkich starań, aby mnie nie dostrzec. Nie chcieli kalać oczu moim widokiem.

- Śmiem twierdzić, że rzadko bywasz sama. - Kapitan O'Keefe mrugnął porozumiewawczo.

- Co racja, to racja. Byłam tam nawet z jednym z najbliższych znajomych Taplowów. Niezła zabawa, powiadam wam. Niemal poskręcali sobie karki, usiłując nas wówczas nie dostrzec.

- Amelio, jak zamierzasz sprawić, by plotki o upadku panny Calvert rozeszły się w towarzystwie? Z tego, co wiem, Taplowowie są tak wyniośli, że nie zniżają się do rozmów o skandalach.

- Alanno, niech cię o to głowa nie boli. Umówiłam się już

na schadzke z Harrym Birtlesem tego samego wieczoru w tej samej gospodzie. To największy plotkarz w mieście. Dopilnuję, żeby wszystko zobaczył. Historia odbije się szerokim echem, gwarantuję. Harry ją rozpowszechni, Taplowowie ją potwierdzą. Nasz plan musi się udać. Odpręż się.

- Spróbuję. Obyś się nie myliła. Plan się powiedzie pod warunkiem, że wszystkie inne ustalenia zostaną wprowadzone w życie. Kapitanie O'Keefe, co z pańską rolą?

- Nadal uważam, że powinienem wypróbować na tej damie siłę swojego uroku osobistego. Nieczęsto się zdarza, aby zawodził, co, Amelio? Skoro jednak mi pani zabrania, pomyślałem, że wypożyczę powóz i namaluję na drzwiach herb Ambourne'ów. Potem wyślę wiadomość, rzekomo od lorda Ambourne'a, z prośbą o spotkanie.

- Nie! Musi ją pan poprosić o odwiedzenie wdowy, nie Ambourne'a. Ona nigdy nie wyjedzie nocą na spotkanie z mężczyzną.

Kapitan skrzywił się z niechęcią.

- Jak na mój gust ta kobieta to zimna ryba. Coś mi się widzi, że w tej całej sprawie niewiele będę miał uciechy.

Alanna popatrzyła na niego chłodno.

- Kapitanie O'Keefe, nie bierze pan pieniędzy za to, by szukać uciech. Tej kobiecie nawet włos z głowy nie spadnie, kiedy będzie jej pan pilnował, jasne? Zależy mi na zrujnowaniu jej reputacji, ona ma pozostać cała i zdrowa.

- Alanno, bez obaw - odezwała się Amelia. - Dopilnuję, aby się zachowywał, jak należy. Większość nocy spędzimy razem, Fergus pojawi się dopiero rano.

- A co z sir Harrym? Nie będziesz zbyt zajęta... hm... zabawianiem go?

- Nie, bo zamierzam dosypać mu co nieco do wina. Pije jak smok, pochłonie wszystko, co mu dam. Poradzę sobie z obojma. Cnota panny Calvert pozostanie nietknięta, jeśli na tym ci zależy. Osobiście jednak uważam, że niepotrzebnie masz wyrzuty sumienia.

- Amelio, jeśli panie Calvert cokolwiek się zdarzy, żadne z was nie dostanie pieniędzy.

- Skoro już o tym mowa... - Amelia na moment zawiesiła głos. - Alanno, moja droga, kiedy nam zapłacisz i ile?

- Ustaliliśmy, że w grę wchodzi suma pięciuset funtów...

- Dla każdego?

Alanna popatrzyła na twarze gości. Nagle stały się zacięte i czujne. Skinęła głową.

- Dla każdego - potwierdziła. - Wypłacę wam po sto pięćdziesiąt funtów z góry, tyle samo potem i jeszcze po dwieście, kiedy Sasha Calvert zostanie ostatecznie zdyskredytowana. Kapitanie O'Keefe, prosiłabym jednak, by opowiedział pan do końca, co zamierza uczynić.

- Gdy dama wejdzie do powozu, zostanie przewieziona do gospody. Właściciel dostał swoją działkę... Jak rozumiem, otrzymamy zwrot kosztów, prawda?

- W granicach rozsądku tak. Po wykonaniu zlecenia.

- Przed - zażądał kapitan cichym głosem.

- Niech będzie.

- Rzecz jasna, nie przypadnie jej do gustu, że ktoś ją uprowadził. Amelia okaże jej kobiecą solidarność i zapewni pociechę w trudnych chwilach. Potem poda biedaczce coś do picia. Panna Calvert zapadnie wówczas w głęboki sen i nie zbudzi się aż do rana.

- Czy na pewno potrafi pan precyzyjnie dobrać dawkę?

- Kiedy wypije mój specyfik, będę w stanie co do sekundy określić czas, w którym odzyska świadomość. Ostatecznie swego czasu pracowałem jako asystent lekarza.

Alanna popatrzyła z powątpiewaniem na Amelię, która skinęła głową.

- Wszystko będzie dobrze. Nasz przyjaciel robił takie rzeczy w przeszłości, nie raz i nie dwa.

Alanna nie wyglądała na przekonaną.

- A kiedy panna Calvert się obudzi? Co dalej? - spytała.

- Gdy zacznie odzyskiwać świadomość, uchylę drzwi do sypialni, aby świat mógł zobaczyć naszą podopieczną. Jeżeli Amelia się spisz, wówczas świat ów będzie składał się z państwa Taplowów oraz gadatliwego sir Harry'ego. Do czasu, gdy panna Calvert całkowicie się ocknie, jej reputacja będzie przypominała nasiona dmuchawca na wietrze.

Po odejściu Amelii i jej kompana Alanna poczuła niepokój. Kontakt z Fergusem O'Keefe'em nie należał do przyjemności. Ten z pozoru uroczy człowiek mógł okazać się niebezpieczny. Musiała jeszcze rozważyć plan działania, gdyż miała bardzo dużo do stracenia. Jeśli O'Keefe naruszy ustalenia i spisek wyjdzie na jaw, wówczas Alanna nie będzie mogła liczyć na niczyje poślężanie. Nie pomoże jej nawet bliski związek z rodziną Wintersettów. Ambourne'owie tego dopilnują, zwłaszcza że ich nazwisko będzie pośrednio zamieszane w całą sprawę.

Przez następnych kilka dni Serena miała sporo zajęć. Rozczarował ją nieoczekiwany wyjazd młodszych państwa Ambourne'ów na wieś, lecz pocieszała się, że hrabina jeszcze przez pewien czas zostanie w mieście. Postanowiła prosić ją o radę w sprawie doboru odpowiedniego prawnika.

- Naszym rodzinnym prawnikiem jest Bradpole - wyjaśniła dama. - To świetny fachowiec, ale zdaje się, że Stannardowie również korzystają z jego usług. Perdita ma doskonałego radcę. Niech pomyślę... Chyba nazywa się Rambridge. Jutro pošlę kogoś do stowarzyszenia prawników, aby tam zasięgnął języka.

Pan Rambridge niemal natychmiast przybył na Dover Street. Gdy usłyszał pytanie o Anse Chatelet, natychmiast stał się nie-słuchanie ostrożny.

- Kancelaria Chalmers i Bradpole cieszy się doskonałą reputacją. Trudno mi uwierzyć, że mogłaby zająć się zagadnieniem wątpliwej natury.

Gdy jednak Serena przybliżyła okoliczności sprawy i opisała rolę, jaką odgrywał w niej sir Henry Pender, prawnik obiecał przyrzeć się jej uważniej. Serena podziękowała, przekazała mu dokumenty oraz rozmaite adresy i podkreśliła, jak bardzo zależy jej na czasie. Adwokat uśmiechnął się i wyjaśnił, że pośpiech jest złym doradcą, ale potem wykazał więcej ludzkich uczuć i zobowiązał się do możliwie szybkiego działania.

Serena wybrała się do Surrey, z wizytą do babki ciotecznej. Lady Spurston koniecznie chciała poznać całą historię, co nie było możliwe. Serena zdradziła jednak na tyle dużo, by wzbudzić w starszej pani złość z powodu jaskrawej niesprawiedliwości i uzyskać obietnicę udzielenia wszelkiej dostępnej pomocy.

Uznawszy, że póki co nic więcej nie zdoła wymyślić, Serena skupiła uwagę na promowaniu Lucy. Choć nie wyzbyła się wszystkich wątpliwości związanych z Michaeliem Warnhamem, postanowiła je stłumić. Lucy najwyraźniej podjęła ostateczną decyzję. Poza tym spędziła nieco czasu z Warnhamami,

niewątpliwie zadowolonymi z wyboru dokonanego przez syna. Zważywszy, że majątek Lucy był bardziej niż skromny, zainteresowanie ze strony tak szacownej rodziny należało uznać za nie lada wyróżnienie. Serena doszła do wniosku, że Lucy będzie szczęśliwa w gronie krewnych męża. Wyraziła również zgodę na kilkudniowy wyjazd podopiecznej do Reigate, rzecz jasna w towarzystwie przyszłej rodziny. W Londynie panował coraz bardziej nieznośny upał, wszędzie unosił się uciążliwy pył, a pani Galveston wyraziła chęć tymczasowego wyjazdu na wieś.

Po wyjeździe Lucy i Warnhamów Serena poczuła się osamotniona. Zły nastrój, który czaił się w pobliżu, opadł na nią niczym czarna chmura. A jeśli próba odzyskania Anse Chaulet zakończy się niepowodzeniem? Co wówczas uczyni ze swym życiem? Perspektywa zamieszkania z lady Spurston nie wyglądała zachęcająco. Serena miała podstawy przypuszczać, że babka cioteczna również nie byłaby zadowolona z tego rozwiązania. Po śmierci męża stara dama przywykła do samotnego życia. Była gotowa wspierać wnuczkę cioteczną przez kilka miesięcy, ale po tym, jak Serena i Lucy wybrały się do Londynu, lady Spurston z ulgą powróciła do zwykłego stylu życia.

Serena postanowiła chwilowo zapomnieć o problemach i rzucić się w wir zajęć. Cały czas spędzała w towarzystwie Johna, wiernego i oddanego sługi, który odprowadzał ją, gdy chodziła z wizytą, na zakupy, kiedy nabywała niepotrzebne drobiazgi, aby poprawić sobie samopoczucie, a także wówczas, gdy szła do galerii lub muzeów, których wcześniej nie zwiedzała z powodu braku czasu. Wybrała się też na przechadzkę po parku. Podziwiała tam powozy, dwukółki i wszelkiego typu inne pojazdy, sunące nieopodal. Konie były piękne. Wes-

tchnęła na wspomnienie Douce i Traska, a także cudownych przejażdżek po Downs.

- Dzień dobry, panno Calvert.

Drgnęła i podniosła głowę. Właściciel Douce podjechał wysokim powozem, zaprzężonym w parę dorodnych siwków.

- Witam - powiedziała oziębło.

- Jest pani sama? To rzadkość. Gdzie panna Lucy?

Mówił tak przyjacielskim tonem, że przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Wyjechała na kilka dni z przyjaciółmi - wyjaśniła krótko.

- Zapraszam, wycieczka dookoła parku dobrze pani zrobi. John pomoże pani wejść do powozu.

- Dziękuję, nie śmiałabym narażać pana na kłopoty.

- Nie ma mowy o kłopotach. Boi się pani? Nic pani w nim nie grozi. John?

Służący podszedł bliżej i zanim Serena zorientowała się w sytuacji; już siedziała wysoko nad ziemią, na wąskiej ławeczce. Lord Wintersett polecił służącemu poczekać do ich powrotu i popędził konie, które ruszyły spokojnym kłusem. John nie miał najmniejszych zastrzeżeń: lord Wintersett był przyjacielem rodziny Ambourne'ów.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Serena z przyjemnością kontemplowała uroki parkowego krajobrazu.

- Nie za wysoko? - spytał lord Wintersett niespodziewanie.

- Dziękuję, może być - odparła sztywno. - Dlaczego chciał pan zabrać mnie na spacer powozem?

- Sam nie wiem - wyznał rozbijając szczerze. - Zauważyłem, jak stała pani nieruchomo... Wyglądała pani tak jak w dniu urodzin, na wzgórzu... Chyba chciałem zapewnić pani rozrywkę. Nie potrafię powiedzieć dlaczego.

- Pańska litość, bo chyba ona panem powoduje, jest nie na miejscu, lordzie Wintersett. A może kieruje się pan mniej szlachetnymi i bezinteresownymi pobudkami? Może chce mnie pan wydrwić? Albo przekonać się, czy zmienię zdanie i przyjmę pańskie warunki?

- Wycofałem propozycję - zakomunikowałem. - Przemyslałem ją i mam teraz inne plany. Źle mnie pani ocenia, nie zamierzam teraz o nich mówić.

- Proszę mi pomóc zejść.

- Co, tutaj? Niestety, to niemożliwe. Musi pani poczekać, aż wrócimy do Johna. Londyn to niebezpieczne miejsce dla samotnej kobiety. Z innej beczki: ładny czepek, bardzo pani w nim do twarzy.

Serena kipiała złością. Nie podobało się jej, że musi siedzieć cicho i wysłuchiwać tego, co Jamesowi ślina na język przyniesie. Jeszcze bardziej irytowało ją, że przejażdżka sprawia jej przyjemność.

- Nie rozumiem, czemu, pańskimi zdaniem, jestem zainteresowana tanimi komplementami. Bawi pana, że trzyma mnie w szachu? Proszę mnie odwieźć, i to natychmiast!

- Faktycznie, bawię się nie najgorzej - przyznał beczelnie.

- Odwiozę cię, kiedy tylko ponownie wypowiesz moje nazwisko, Sereno.

- Wówczas mnie pan uwolni, tak? I proszę się do mnie zwracać: panno Calvert. - Serena nabrała powietrza w płuca.

- Wobec tego życzę sobie, żeby przebrzydły i paskudny lord Wintersett przestał mnie dręczyć!

Zaśmiał się.

- Nie brak ci temperamentu, kobieto - pochwalił z uznaniem. - Och, przepraszam. Powinienem był powiedzieć: pan-

no Calvert. Teraz lepiej, prawie się uśmiechnęłaś. Chyba cię zaskoczę i dotrzymam słowa. Mam sporo spraw do załatwienia. Życzę miłego dnia.

Zatrzymał powóz przed Johnem, pomógł Serenie zejść, skinął głową i odjechał. Serena stała oszołomiona. O co tym razem chodziło lordowi Wintersetowi? Na czym polegały jego tajemnicze plany? Tak czy owak, najwyraźniej spoglądał na nią przychylniejszym okiem. Przez moment Serena poczuła się tak, jakby powrócił mężczyzna znany jej ze wzgórz Surrey.

Rozdział dziesiąty

Od czasu wizyty prawnika Serena raz czy dwa odwiedziła lady Ambourne w Rotherfield House. Hrabina sprawiała wrażenie lekko rozkojarzonej, wydawała się wręcz zaniepokojona. Kiedy więc tego wieczoru przyszedł od niej list z prośbą o natychmiastowe przybycie i spędzenie nocy w Rotherfield House, Serena niezwłocznie przykazała Shebie spakować podręczny bagaż. Służąca nie miała ochoty puszczać pani samej. Dowodziła swoich racji, narzekała i wieszczyła najgorsze, aż wreszcie Serena zirytowała się nie na żarty. Zamierzała co do joty spełnić prośbę przyjaciółki, która okazała jej tyle serca. List głosił:

Sprawa jest pilna i niebywale poufna. Mam nadzieję, że mogę liczyć na Pani dyskrecję. Proszę z nikim nie rozmawiać o wizycie u mnie. Rzecz jasna, będzie musiała Pani poinformować panią Starkey, że spędzi Pani noc pod moim dachem, ale zaklinam Panią, proszę nic więcej nie zdradzać i bezwzględnie przyjechać sama, całkiem sama! Jak zawsze Pani...

Gdy wychodziła z domu, John chciał jej towarzyszyć, ale ruchem dłoni nakazała mu się zatrzymać.

- Chcę, abyś został w domu - oświadczyła. - Nie martw się, hrabina o wszystkim pomyślała. Spójrz, przysłała po mnie powóz.

W kabinie siedziała służąca, lecz panujący wewnątrz pojazdu mrok uniemożliwiał rozpoznanie kobiety. Stangret pomógł Serenie wejść do środka i natychmiast ruszyli w drogę. Serena usiadła i popatrzyła na służącą.

- Co się stało? - spytała. - Czy hrabinie coś się przytra...

Na Serenę nagle rzuciło się dwoje ludzi, którzy ją błyskawicznie zakneblowali i zawiązali oczy opaską. Jeden z napastników, silniejszy, zachowywał się stanowczo i dość brutalnie. Z początku Serena usiłowała go kopnąć, lecz wykręcił jej rękę za plecy. Kobieta, zapewne ta, która wcześniej udawała służącą, pomogła kompanowi mocno skrepować Serenę, ale przez cały czas milczała.

Podróż zdawała się trwać bez końca. Jechali pośpiesznie, a spętana Serena objęła się o ściany kabiny. Było jej niedobrze, czuła, że zaraz zemdleje. Knebel utrudniał jej oddychanie, w powozie panował nieznośny upał. Najwyraźniej na pewien czas straciła przytomność, bo gdy się ocknęła, znajdowali się już poza miastem i szybko mknęli płatną drogą. Na tego typu drogach znajdują się roгатki. Serena postanowiła uważnie nasłuchiwać, aby się zorientować, kiedy dojadą do punktu poboru myta. Liczyła na to, że strażnik usłyszy hałas, którego zamierzała narobić. Porywacze przewidzieli jednak tę ewentualność. Gdy podjeżdżali do roгатki, mężczyzna zarzucił Serenie kaptur na twarz i mocno ją objął. Powóz przystanął. Stangret wręczył strażnikowi pieniądze i obaj wymienili uprzejmości.

- Na pańskim miejscu nie przeszkadzałbym jaśnie państwu w powozie - uprzedził stangret. - Dobrze się tam bawią.

Zrozpaczona Serena usłyszała, jak strażnik odwraca się i odchodzi do stróżówki.

Koszmarna podróż trwała dalej. W końcu pojazd się zatrzymał. Wnioskując z zapachów i niemal idealnej ciszy, znajdowali się na głębokiej wsi. Porywacz wyciągnął Serenie knebel, lecz pozostawił opaskę na oczach.

- Chcesz iść za potrzebą? - spytał - Służąca cię odprowadzi. - Serena się zawahała, lecz już od pewnego czasu czuła, że musi udać się w ustronne miejsce. - Betty! Zabierz pannę Calvert w krzaki. Będę gwizdał, słonko, byś wiedziała, że trzymam się na dystans. - Ryknął śmiechem, lecz kiedy Betty odprowadzała Serenę, cały czas pogwizdywał i głośno gawędził z pozostałymi mężczyznami.

- Niech pani się śpieszy - wyszeptała Betty chrapliwie. - Kapitan łatwo wpada w szał, kiedy coś go denerwuje.

- Czego ode mnie chce? - zaskrzeczała Serena. Kompletnie zaschło jej w ustach, czuła łupanie w głowie.

- Niech mnie pani nie pyta. To nie tak, jak pani myśli. Jest pani bogata? Może liczy na okup?

Serena pokręciła przecząco głową.

- Jeśli tak, to czeka go rozczarowanie. Czy możesz... czy możesz rozwiązać opaskę? Nic nie widzę. Betty, pomóż mi uciec. Mam w domu klejnoty, nie pożałowałybyś...

- Nawet pani nie wie, jak bardzo boję się o własne życie... Chodźmy.

Gdy Serena ponownie znalazła się przy powozie, dotarły do niej odgłosy kłótni Betty z mężczyzną, którego nazywała kapitanem.

- Panie kapitanie, proszę ją zrozumieć! Ona musi się czegoś napić. Ledwie mówi! Odrobina brandy z pewnością jej nie zaszkodzi. To nieludzkie, żeby tak umierała z pragnienia. Sama chętnie bym się napiła.

- Już dobrze, dobrze. Ale nie za dużo!

Betty powróciła. Serena wyczuła ostrą woń alkoholu.

- Proszę - odezwała się Betty. - Kubek dla pani i kubek dla mnie. Dolałam pani trochę wody, bo pewnie chce się pani pić.
- Przytknęła Serenie naczynie do ust. Porwana chciwie wypija jego zawartość. Ponownie rozległ się głos mężczyzny:

- Koniec tego dobrego! W drogę, przyjaciele!

Serena pamiętała potem tylko tyle, że ktoś brutalnie wepchnął ją z powrotem do powozu.

Powoli otworzyła oczy. Przez okno wpadały promienie słońca, wiszące nisko nad horyzontem. Wieczór czy rano? Ziewnęła. Powieki się jej kleiły. W ustach czuła ohydny smak, bolała ją głowa. Ponad wszystko pragnęła zamknąć oczy i znowu spać, ale coś jej podpowiadało, że musi zachować przytomność. Usiłowała skupić uwagę na pokoju. Znajdowała się w sypialni, ale nie swojej. Opuściła wzrok. Nie przypominała sobie, by się rozbierała, ale miała na sobie nocną koszulę. Tamta służąca... Serena z trudem przypominała sobie, że służąca pomagała jej się przebrać. Marnie jej szło. Serena spróbowała usiąść. Jej głowa! Powinna wstać. Za moment wstanie...

Nagle drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wkroczył wysoki mężczyzna. Drzwi pozostawił otwarte na oścież. Był na wpół ubrany, koszulę miał rozpiętą i wyciągniętą ze spodni. Serena podniosła się z łóżka i usiłowała wybiec z po-

koju, lecz pokonała zaledwie kilka kroków, nim się potknęła. Na zewnątrz widziała ludzi, patrzyli na nią, otworzyła usta, aby wezwać pomoc. Mężczyzna okazał się jednak zbyt szybki. Chwycił ją w ramiona, całkiem jakby się spodziewał, że wybiegnie mu na powitanie, i przytulił ją mocno. Jej twarz przywarła do jego torsu. Serena nie mogła wykrztusić ani słowa, ledwie była w stanie oddychać.

- No już, maleńka - powiedział głośno. - Nie było mnie tylko kilka minut. Widzisz? Już do ciebie wróciłem. Och, Sereno, moja ukochana! Tęskniłaś za mną przez te wszystkie miesiące? Na St Just nigdy nie było tak jak tutaj, co? No już, Sereno, weź się w garść.

Łomot w jej głowie się nasilił. Usiłowała odsunąć się od obcego, ale ścisnął ją mocno, stanowczo. Głos mężczyzny docierał do niej jakby z bardzo daleka:

- Czekaj, Sereno! Zaniosę cię z powrotem do łóżka, zgoda? - Potem krzyknął agresywnie: - Co się tak wszyscy gapiacie, psiakrew?

Solidnym kopniakiem zatrzaskał drzwi, rzucił Serenę na łóżko i przytrzymał ją tam. Czuła, że nieznajomy leży na niej całym ciężarem ciała i zasłania dłonią jej usta. Drżała z przerażenia. Obcy uśmiechnął się szeroko, prezentując białe zęby na tle śniadego oblicza. Miał czarne oczy, zupełnie jak piraci na rysunkach, które oglądała na Jamajce.

- Nie skrzywdziłem cię - wyszeptał - i nie skrzywdzę, choć ledwie panuję nad pokusą, słonko. Apetyczny z ciebie ptaszek, nic tylko się tobą zająć. Spróbuj powiedzieć choć słowo, a stracę panowanie nad sobą, zrozumiałaś? Jeśli chcesz wyjść z tego cało, wypijesz tego małego drinka. Potem zaśniesz, a gdy się ockniesz, mnie tu już nie będzie. Tylko mi tu nie kręć głową!

Wypijesz to tak czy owak, więc lepiej nie podskakuj! Pamiętaj - będziesz grzeczna, a włos ci z głowy nie spadnie.

Poruszył się, sięgnął po niewielką szklanekę i przytknął ją do ust Sereny. Większość płynu wylała się na łóżko, ale odrobina gorzkiej substancji dostała się do gardła uwięzionej. To wystarczyło, by zapadła w półsen. Kilka minut później usłyszała głos porywacza. W pokoju znajdował się ktoś jeszcze.

- Przestań jazgotać, kobieto! Żaden z twoich znajomych nic nie podejrzewał, zgadza się? Skąd mogłem wiedzieć, że tak szybko dojdzie do siebie? Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ależ to dzielna sztuka! Szkoda, że coś takiego ją spotyka.

Serena usłyszała, jak wychodzą. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, natychmiast zapadła w sen.

Gdy ponownie doszła do siebie, ujrzała pokojówkę z tacą. Nie była to ta sama osoba, która brała udział w porwaniu. Torba Sereny znajdowała się na komódce przy łóżku, obok leżało jej starannie złożone ubranie, na którym ktoś położył kartkę papieru. List. Dziewczyna z uwagą czytała pismo, a gdy zauważyła, że Serena się jej przygląda, natychmiast poczerwieniała z zakłopotania.

- Dzień dobry pani - przywitała się grzecznie. - Przyniosłam śniadanie.

Serena usiadła.

- Gdzie ja jestem? - spytała.

Pokojówka wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.

- „Pod Czarnym Lwem”, proszę pani.

- Ale gdzie to jest?

- W Hoddesdon, proszę pani. Czy mam pani podać szal?

Serena spojrzała na siebie. Zorientowała się, że ma na so-

bie muślinowy, zwiewny szlafroczek, który odsłaniał więcej, niż skrywał. Na policzki Sereny wystąpiły szkarłatne plamy.

- Tak, poproszę - wykrztusiła. - Gdzie jest...

- Wyjechał, proszę pani. Z samego rana. Zostawił dla pani list. - Pokojówka ponownie się rozchichotała. Serena nerwowo chwyciła kartkę papieru.

Stonko!

Wiesz, że na mnie pora, choć najchętniej zostałbym przy Tobie. Jak tylko będę mógł, umówię się z Tobą na następne spotkanie. Tej nocy było jeszcze lepiej niż na St Just. Całuję cię, kochana, A.

Serena miała dość. Kazała pokojówce odejść, a sama wygrzebała się z pościeli. Na toaletce stała miska i dzbanek z ciepłą wodą. Serena szorowała się tak intensywnie, że rozboleła ją skóra. Potem pośpiesznie wytarła się i ubrała. Wysiłek ją wyczerpał, więc na chwilę usiadła i pogрузzyła się w rozmyślniach. Koniecznie musiała się dowiedzieć, co takiego wydarzyło się poprzedniej nocy. Powinna porozmawiać z gospodarzem. Postanowiła kuć żelazo, póki gorące i natychmiast udała się na jego poszukiwania.

Właściciel gospody patrzył na nią obojętnie, gdy się zbliżała.

- Panie gospodarzu, czy wczoraj wieczorem widział pan, jak przyjeżdżam? - spytała prosto z mostu.

- Nie, proszę pani. Chyba byłem zajęty w barze. Pani pokój był zarezerwowany od tygodnia lub dwóch, więc niespecjalnie się przejmowałem.

- Kto wniósł bagaże?

- Trudno powiedzieć. Zdaje się, że miała pani swoich ludzi. ..

- To nie byli moi ludzie. Musi pan to wiedzieć. Pan jest tutaj gospodarzem.

- Przykro mi, proszę pani. Wczoraj wieczorem mieliśmy urwanie głowy. Przyjechało mnóstwo gości, nie przypominam sobie pani przybycia.

Serena odwróciła się zniecierpliwiona, lecz po chwili coś jej przyszło do głowy.

- A stajenni? Gdzie ich znajdę? Chciałabym z nimi porozmawiać, jeśli wolno.

- Oczywiście, proszę pani. Już po nich posyłam.

Stajenni jednak również nie potrafili nic powiedzieć. Pówóz zajechał, zostawił troje pasażerów i odjechał. Służąca przeniosła dwie małe torby. Dżentelmen wniósł panią, która zdawała się spać.

- Dżentelmen powiedział, że jest pani zmęczona po podróży. Bardzo o panią dbał. Od razu było widać, że mu na pani zależy.

- Zamilknij! Wcale nie dbał! Uśpił mnie środkami nasennymi.

- Oczywiście, proszę pani. Co tylko pani powie, proszę pani.

Ich twarze wydawały się puste i tępe. Serena była bliska szaleństwa. Powróciła do pokoju i usiadła, by pomyśleć. W gospodzie panowała zmowa milczenia w sprawie porywaczy, którzy poprzedniego dnia ją przywieźli. Była pewna, że ktoś musi wiedzieć więcej, tylko kto? I dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, aby ją odurzyć i przetransportować do odległej gospody, najwyraźniej po to, aby położyć ją do łóżka w dużej sypialni, pozostawić tam na noc i wyjechać?

Terkot kół sprawił, że podbiegła do okna. Ujrzała dyliżans pocztowy, który właśnie wtaczał się na podwórze. Serena przypatrywała się pasażerom, którzy kolejno opuszczali pojazd i przeciągali się, aby rozprostować kości. Nie znała tych ludzi, lecz chyba zrozumieliby jej sytuację? Musiała wrócić do Londynu. Gdy jednak któryś z podróżnych spojrział w okno, Serena pośpiesznie się cofnęła. Zważywszy na co najmniej dwuznaczną postawę gospodarza, zapewne postąpiłaby rozsądnie, unikając ludzi przynajmniej do czasu, gdy dowie się więcej o tej niejasnej sprawie.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to właściciel gospody.

- Przepraszam panią najmocniej. Czy zamierza pani wyjechać już dziś, czy też raczej zatrzyma pokój na jeszcze jedną noc? Muszę to wiedzieć ze względu na powóz.

- Powóz? - powtórzyła Serena ze zdumieniem.

- Tak, proszę pani. Zarezerwowany dla pani na dzisiaj. Na nazwisko Calvert. Nie zaszła pomyłka, prawda? Do Londynu. Przejazd został opłacony z góry.

- Jest pan pewien?

Gospodarz popatrzył na Serenę tak, jakby brakowało jej piątej klepki.

- Powóz na dodatkowych resorach, czteroosobowa asysta, stangret i chłopaki. Trasa trzydzieści kilometrów, dwie gwinee. Mogę okazać rachunek, jeśli wola.

- Tak, bardzo chętnie. Proszę natychmiast przynieść rachunek.

Z rachunku nie wynikało jednak nic ciekawego. Wysoki dżentelmen zapłacił od ręki, gotówką.

Serena usiłowała wypytywać gospodarza o powóz, lecz w rezultacie utwierdziła się tylko w przekonaniu, że napraw-

dę istotne rozstrzygnięcia zapadły potajemnie. Przejazd powozem niczym jej nie groził. Gospodarz przez cały czas zachowywał się tak, jakby za fasadą obojętności skrywał wiedzę o kulisach porwania. Serena mogła się tylko domyślać, że ktoś zamknął mu usta pokazną kwotą.

- Jak się pan nazywa, panie gospodarzu?

- Samuel Cartwright, proszę pani.

- Doskonale. Postanowiłam jeszcze dziś wrócić do Londynu, pańskim powozem, rzecz jasna. Nie mam tu nic do roboty, ale ostrzegam, że jeśli uczestniczy pan w zмовie, może pan stracić znacznie więcej, niż pan zyskał, przystępując do spisku.

Twarz gospodarza cały czas pozostawała obojętna.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Prowadzę powszechnie szanowaną gospodę - oznajmił. - Właściwie byłbym wdzięczny, gdyby pani przyjaciel nie rezerwował u mnie więcej pokojów.

Serena okręciła się na pięcie i wyszła na podwórze przed stajnię, gdzie czekał gotowy do drogi powóz.

Przy każdej innej sposobności Serena z przyjemnością jechałaby z powrotem do Londynu. Z okien powozu roztaczał się widok na ładną okolicę, po drodze mijała miejscowości o historycznych nazwach. Śpieszyło się jej jednak do tego stopnia, że zezwoliła tylko na jeden niezbędny postój, podczas którego zmieniono konie. Właściciel gospody był hultażem, nie miała co do tego wątpliwości, lecz postanowiła nie zaprzętać sobie nim głowy. Większe znaczenie miał człowiek, który nim kierował.

Nadal bolała ją głowa, a po środku odurzającym czuła

przykry smak w ustach. Nie zwracała uwagi na te dolegliwości, usiłując wydedukować, co chciał osiągnąć jej tajemniczy prześladowca. Czemu wybrał Hoddesdon? Dlaczego wynajął pokój w gospodzie najwyraźniej bardzo popularnej wśród podróżnych? Gdyby zamierzał skrzywdzić Serenę, wybrałby bardziej dyskretne miejsce. Innymi słowy chciał, aby została zauważona. Jak przez mgłę pamiętała, że rankiem mężczyzna otworzył drzwi do sypialni. Na progu dostrzegła twarz, ruszyła ku nim. Z pewnością celowo pozostawił drzwi otwarte na oścież. Zaprezentował ją innym gościom, nie tylko w gospodzie, lecz także w sypialni.

Na twarzy Sereny ponownie wykwitły rumieńce na wspomnienie przezroczystej koszuli nocnej. Trudno byłoby mieć wątpliwości co do charakteru rendez-vous, na które przywdziewa się taką odzież. Serena zrozumiała oczywistą prawdę. Ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, aby ją zdyskredytować. Jeśli teraz nie dowiedzie swojej niewinności, jej los będzie przesądzony.

Stanąła na progu domu przy Dover Street dokładnie w chwili, gdy zegary wybiły piątą. Pani Starkey czekała na nią z uśmiechem, lecz jej mina momentalnie się zmieniła na widok twarzy Sereny.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła gospodyni. - Panno Calvert, co się stało? Pani jest chora!

- Nie, tylko trochę zmęczona. I głodna na dodatek. Czy mogłabym prosić o herbatę i kromkę chleba? Zjem w małym salonie i tam chciałabym odpocząć. Prosiłabym też o przekazanie Shebie wiadomości o moim powrocie.

Serena przeszła do saloniku i położyła się na kanapie. W jej głowie kłębiły się chaotyczne myśli. Wszystkie prowadziły do

nieuchronnego wniosku. Tylko jedna osoba w Londynie źle jej życzyła. Tylko jeden człowiek uciekł się do próby przekupstwa, aby wypędzić ją ze stolicy, a dzień wcześniej zakomunikował o zmianie planów. Jeden człowiek zaskoczył ją, udając troskę i zainteresowanie. Serena ukryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała.

Zbyt długie użalanie się nad sobą nie leżało jednak w jej naturze. Po chwili otarła łzy i zastanowiła się, co robić. Wszystko zależało od ludzi, którzy stali na progu jej pokoju w gospodzie. Jeśli jej nie rozpoznali, miała szansę wyjść z tej okropnej sytuacji obronną ręką pod warunkiem, że zachowa milczenie. Może porywacz popełnił błąd, przyciskając jej twarz do swojego torsu? To się okaże. Serena przypomniała sobie, że następnego dnia wraca Lucy i większość czasu obie panie zamierzały spędzić poza domem. Chwilowo nie zachodziła potrzeba zmiany planów.

Serena poszła na piętro i przebrała się w wyjściową suknię. Lady Pangbourne wydawała uroczystą kolację i zaprosiła Serenę, której miał towarzyszyć stary przyjaciel jej męża. Sheba dołożyła starań, aby zamaskować ślady dwóch ostatnich, dramatycznych dni. Gdy do drzwi zapukał generał Fanstock, Serena czekała już w salonie, opanowana, skupiona i piękna jak zawsze. Punktualnie o dziesiątej przybyli do domu przy Grafton Street i znaleźli się wśród „towarzystwa Pangbourne'ów”, jak mawiała Lucy, marszcząc przy tym nos. Faktycznie, przeciętny wiek gości był powyżej średniego, a tematyka rozmów dotyczyła spraw ogólnych, by nie rzec nudnych. Mimo to Serena całkiem nieźle się bawiła, ustąpiło poczucie zagrożenia. Może ludzie w gospodzie jej nie rozpoznali albo nie należeli do londyńskiej śmietanki towarzyskiej?

W połowie posiłku Serena wyczuła na sobie przenikliwe spojrzenie pewnej podstarzałej damy, która zasiadała przy tym samym stole. Na pytanie, kim jest nieznajoma, towarzysz Sereny zmarszczył czoło.

- Hm! - mruknął. - Niech spojrzę... Zaraz... Tak, to Valeria Taplow, moja droga. Urocza kobieta. Nieco męcząca, ale miła. John, jej mąż, to pierwszorzędny gość. Hm! Oboje są moimi przyjaciółmi, wspaniali ludzie, tak.

Serena drgnęła niespokojnie. Spojrzenie starej damy bez wątpienia nie było życzliwe. Wieczór minął jednak bez żadnych przykrych incydentów, chyba że za taki uznać fakt, iż państwo Taplowowie nie podeszli do starego przyjaciela, aby zamienić z nim choćby słowo.

Lucy wróciła następnego dnia, promieniejąc szczęściem. Spędziła cudowny tydzień, pogoda też dopisywała. Państwo Warnhamowie i pani Galveston odnosili się do Lucy uprzejmie i życzliwie. Pomimo własnych zmartwień Serena uśmiechnęła się i czekała na to, co bratanica chce jej powiedzieć.

- Sasha? - zagadnęła w końcu dziewczyna.
- Słucham?
- Lubisz pana Warnhama, prawda? Brata Isabelli.
- Moim zdaniem, jest uroczy.
- A gdyby zechciał poprosić cię o zgodę na spotkanie się ze mną, nie odmówiłabyś, prawda?
- Bo ja wiem...
- Sasha!
- Oczywiście, że nie, głuptasku. Chcesz powiedzieć, że jeszcze się nie „spotykacie” ze sobą, jak to ujęłaś?

Lucy się zarumieniła.

- Pan Warnham chciałby z tobą porozmawiać, zanim oficjalnie ogłosi swoje zamiary względem mnie.

- Lucy, to wspaniały chłopak.

- To już nie chłopak, tylko mężczyzna - sprostowała Lucy.

- Idealny dla mnie.

Wkrótce się okazało, że Lucy ma rację.

Następnego wieczoru po kolacji u lady Pangbourne odbywał się bal wydawany przez hrabinę Carteret. Serena otrzymała zaproszenie wraz z osobą towarzyszącą, przyjacielem rodziny, który już od dłuższego czasu starał się pokazać publicznie z uroczą panną Calvert. Pan Yardley był pełnym energii kawalerem i doskonałym tancerzem, więc Serena cieszyła się na ten wieczór. Tymczasem jej partner od pierwszej chwili zachowywał niezrozumiały dystans, a na sali nie poprosił Sereny do tańca. Gdy zjawił się sir Harry Birtles, pan Yardley ochotczo dokonał prezentacji, a potem stopniowo się wycofywał, aż w końcu znikł w tłumie gości.

- Doszły mnie słuchy, że rozrywkowa z pani dziewczyna
- oświadczył sir Harry z szerokim uśmiechem.

- Że co proszę?

- Och, doskonale pani wie, o czym mówię. Gospoda w Hoddesdon. Też tam byłem. Można się nieźle zabawić, nieprawdaż?

Serena poczuła, jak z jej twarzy odpływa krew.

- Sir Harry, nie rozumiem, co pan ma na myśli.

- Proszę się nie obawiać, nikomu nie powiem. Gwarantuję całkowitą dyskrecję.

Serena odeszła, nie oglądając się za siebie. Pod byle pretekstem skryła się na piętrze, aby ochłoniąć w samotności. Nie

wolno jej było tracić głowy. Po chwili zeszła z powrotem. Lucy i pan Warnham natychmiast do niej ruszyli. Zanim jednak do niej doszli, jakiś nieznajomy zaszedł Sashę od tyłu i znie-nacka objął ją w tali. Momentalnie się odwróciła i odsunęła. Obcy uśmiechnął się porozumiewawczo i bez słowa odszedł, lecz jego przyjaciel, który najwyraźniej wypił więcej, zbliżył się chwiejnym krokiem.

- Serena! - wymamrotał. - Hm, cudowne imię... Piękna Serena! Pragnę cię wielbić.

- Ależ, proszę pana! - oburzyła się Serena, lecz nie zdążyła nic zrobić, bo Michael Warnham stanął pomiędzy nią a nieznajomym.

- Dauncy, przyjaciele na ciebie czekają przy stoliku karcia-nym - zakomunikował lodowatym tonem. - Panna Calvert właśnie wychodzi.

- Sasha, idziemy - szepnęła Lucy. - Szybko.

Wstrząśnięta Serena pozwoliła wyprowadzić się z budynku.

Krótką podróż całej trójki na Dover Street przebiegła w gro-bowej ciszy. Serena drżała. Zachowanie pana Dauncy'ego i je-go kompana świadczyło o tym, że spisek osiągnął zamierzo-ny cel.

W domu przeszli do małego salonu. Serena sprawiała wra-żenie zmęczonej i załamanej.

- Domyślałam się, jak wygląda sytuacja - odezwała się cicho.
- Londyn huczy od plotek na temat potajemnego romansu Se-
reny Calvert. Widziano ją w gospodzie pod Londynem, gdzie
spędziła noc z kochankiem.

Pan Warnham poruszył się niepewnie, lecz Serena popa-trzyła na niego spokojnie.

- Lucy i ja nie mamy dla siebie tajemnic - wyjaśniła krótko. - Gdybym rzeczywiście była winna opisanego zachowania, z pewnością nie informowałabym o nim bratanicy.

Młody pan Warnham wyraźnie się odprężył.

- Wiedziałem, że ta historia musi być nieprawdziwa. - Odechnął z ulgą.

- To nie takie proste. Krążące plotki są częściowo zgodne z prawdą.

Ludy zerwała się z krzesła i uklękła przy Serenie.

- Sasha, mów jaśniej! Powinniśmy podać do sądu wszystkich, którzy rozpowszechniają tak wstrętne pogłoski! Dlaczego oni to robią? Musimy zdementować te ohydne plotki!

Serena pomogła Lucy usiąść u swego boku.

- Rzecz w tym, że ludzie, którzy nie znają mnie tak dobrze jak ty, nie uwierzą w nasze słowa. Trudno byłoby im dać wiarę, że padłam ofiarą spisku.

- Spisku?!

- Właśnie tak, drogi panie. - Serena szczegółowo opisała młodemu ludziom zdarzenia z poprzedniej nocy oraz poranku w Hoddesdon. Na koniec dodała: - Spiskowcy dołożyli wszelkich starań, aby historia nie tylko została rozpowszechniona, lecz także uwiarygodniona. Teraz wiem już na pewno, że w gospodzie widział mnie sir Harry Birtles. Zapewne przebywali tam również państwo Taplowowie i oni także mnie zauważyli.

Lucy przytuliła Serenę, lecz pan Warnham milczał.

- To niezwykła historia, drogi panie, przynajmniej - powiedziała ze smutkiem Serena. - Trudno uwierzyć w jej prawdziwość.

Młody człowiek natychmiast podszedł bliżej i zasiadł u drugiego boku Sereny.

- Zapewniam panią, że nie milczałem dlatego, iż pani nie wierzę. Lucy dużo mi o pani opowiadała i pani słowa wydają mi się absolutnie wiarygodne. Po prostu zastanawiam się nad najskuteczniejszym sposobem przeciwstawienia się pogłoskom, które zataczają coraz szersze kręgi w Londynie. Musimy walczyć! Stawką jest dobre imię pani i Lucy.

Serena spojrzała badawczo na podopieczną.

- Ktoś z tobą rozmawiał? - spytała.

Pan Warnham pokręcił głową.

- Żaden dżentelmen nie zaczepi Lucy, dopóki jestem u jej boku - oświadczył. - Rzecz w tym, że... - Zawiesił głos.

Lucy dokończyła za niego.

- Damy nie zawsze są przesadnie uprzejme, Sasha. Nie mam na myśli lady Warnham - jest zdenerwowana, to oczywiste, lecz przy tym pełna zrozumienia i współczucia. W zaistniałej sytuacji zaproponowała jednak, abyśmy... Michael i ja... wstrzymali się z ogłoszeniem wiadomości o zaręczynach. - Popatrzyła na Serenę. - Zgodziłam się z tym.

Serena spojrzała na pana Warnhama.

- Jestem gotowy choćby jutro ogłosić nasze zaręczyny - zapewnił ją. - To właśnie powiedziałem mamie. Lucy jednak wolałaby poczekać i, być może, ma rację. Lepiej wstrzymać się ze świętowaniem do czasu oczyszczenia pani z zarzutów. Wówczas będziemy mogli wspólnie cieszyć się ze szczęśliwego zdarzenia. - Wstał, podszedł do Lucy i chwycił ją za rękę.

- Nie wolno pani myśleć, że przełożenie ogłoszenia zaręczyn świadczy o tym, że mam mniejszą chęć związać się z Lucy. -

Uśmiechnął się do ukochanej i ponownie spojrzał na Serenę.

- Teraz chciałbym pomóc pani na wszelkie dostępne mi sposoby. Czy mam wyzwać Dauncyego na pojedynek?

- Wielkie nieba, w żadnym razie! - wykrzyknęła Serena. - Wkrótce musiałyby pan potykać się z połową mężczyzn w Londynie. Nie, musimy dowieść, że pogłoski są wyssane z palca.

- Co z sir Harrym Birtlesem? - chciała wiedzieć Lucy. - Czy był w gospodzie sam?

- Śmiem wątpić. - Pan Warnham poruszył się niespokojnie, a następnie odwrócił do Lucy i zaproponował, by chwilowo zostawiła jego i ciotkę samych. - Obawiam się, że zarzucisz mi nudziarstwo, Lucy, ale naprawdę nie powinnaś angażować się w omawianie zachowania lorda Harry'ego. Na pewno będziesz jeszcze miała okazję wesprzeć ciotkę. - Lucy zrobiła buntowniczą minę, ale Michael obstawał przy swoim. - Nie będę mówił o tych sprawach w twojej obecności.

- Wobec tego pójdę, ale nie wyobrażaj sobie, że przestanę myśleć o tym, z kim był w gospodzie sir Harry i co tam wyprawiał. - Zanim wyszła, ucisnęła ciotkę, a przed panem Warnhamem dygnęła z wyczuwalną rezerwą.

- Doskonale pan sobie radzi z moją bratanicą - zauważyła Serena. - Ogromnie się cieszę, że przypadliście sobie do gustu.

- Lucy jest cudowna - wyznał otwarcie. - Prawdziwy szczęściarz ze mnie. Jej pytanie było nader trafne, jak sędzę. Spiskowcy faktycznie musieli zadbać o to, aby we właściwym miejscu i czasie zastać odpowiednio wiarygodnych świadków. Państwo Taplowowie często podróżują do Huntingdon. Nietrudno było się dowiedzieć, kiedy ponownie planują pobyt w gospodzie „Pod Czarnym Lwem”. Co do sir Harry'ego... Kim była jego towarzyszką? Zapewne pani nie zauważyła? - Serena pokręciła przecząco głową. - Czy mam się tego dowiedzieć?

- Dałby pan radę?

- Bez trudu, jak mniemam. Sir Harry nie słynie z dyskrecji.

- Ta informacja mogłaby być cenna. Poza tym chyba spotkam się z panem Rambridge'em, moim prawnikiem. Aktualnie zajmuje się inną zleconą przeze mnie sprawą i może coś zasugerować w związku z tą zmwą przeciwko mnie. Teraz jednak, Michaelu - pozwolił, że będę cię uważała za członka rodziny - miałabym do ciebie jeszcze jedną prośbę.

- Zamieniam się w słuch.

- Zadbaj o to, aby chwilowo nikt nie widział ciebie i Lucy w moim towarzystwie.

- Panno Calvert!

- Lucy mówi na mnie Sasha. Czy i ty mógłby tak do mnie się zwracać? Rzecz jasna, prywatnie.

- Czuję się zaszczycony. Dziękuję... Sasha. Nigdy jednak nie odwrócimy się do siebie plecami.

- Wiem, że chcesz publicznie okazać mi wsparcie i szacunek, jestem tym wzruszona. Dla dobra Lucy najlepiej jednak trzymać ją z dala od skandalu, przynajmniej w najbliższych dniach. Postarasz się to zrobić? Lucy powinna cię posłuchać.

- Oczywiście. Daj mi znać, jeśli będę mógł pomóc jeszcze w inny sposób.

- Chętnie. - Pomimo zmęczenia i niepokoju Serena uśmiechnęła się ciepło. - Teraz czuję, że w naszej rodzinie ponownie pojawił się mężczyzna. To ogromnie krzepiąca świadomość.

Pan Warnham wyszedł, ubolewając, że nie ma do dyspozycji armii żołnierzy, a przynajmniej białego rumaka, aby bronić honoru panny Calvert. Zapewnienie Lucy bezpieczeństwa

wydawało się drobiazgiem w porównaniu z innymi problemami Sashy.

Nie uświadamiał sobie, że Serena równie mocno martwiła się o niego. W swoim zapale mógł przecież wszczynać awantury z dżentelmenami znacznie bardziej doświadczonymi w pojedynkach. Z tego samego powodu nie wspomniała o podejrzeniach, które żywiła w stosunku do lorda Wintersetta.

Nie oznaczało to jednak, że o nich zapomniała. Następnego ranka udała się z wizytą do rezydencji przy Upper Brook Street. Percy siedział samotnie w holu przy wejściu, a na widok niezapowiedzianego gościa kompletnie się pogubił. Ocałił go dopiero lord Wintersett we własnej osobie, który wyszedł z biblioteki i zaprosił pannę Calvert do środka.

- Czym mogę służyć? - spytał, gdy drzwi zamknęły się za Percym.

- Dobrze pan wie czym! Natychmiast proszę zdementować pogłoski na mój temat, które rozpusza pan po Londynie.

- Faktycznie, dotarły do mnie pewne plotki o pani. Nie mam jednak udziału w ich rozpowszechnianiu.

- Jest pan zbyt przebiegły i tchórzliwy, aby to robić. - Serena pogardliwie wydeła usta. - Trzyma się pan z tyłu i tylko pociąga za sznurki, aby pańskie marionetki mnie wykończyły!

Lord Wintersett popatrzył na tabakierkę, którą trzymał w ręce. Jego dłoń się zacisnęła, potem rozchyliła. Gdy podniósł wzrok, odezwał się lodowatym tonem.

- Gdyby mężczyzna wypowiedział do mnie te słowa, musiałby wydlubywać zęby z gardła albo pożegnać się z tym światem.

- Nie mam obrońcy, łatwo zatem panu szafować groźbami.

- A pani tajemniczy kochanek? Czyżby nie czuł się w obowiązku pani bronić?

Serena popatrzyła na niego z nienawiścią.

- Dziwne, że taki stwór jak pan potrafi wytrzymać sam ze sobą - rzuciła głosem drżącym od emocji. - Zrujnował mnie pan, a mimo to nadal nasyła na mnie złoczyńców. Doskonale pan wie, że nie mam żadnego kochanka!

- Zatem te pogłoski są bezpodstawne? Nie była pani w Hoddesdon? Taplowowie pani nie widzieli?

- Dlaczego uprawia pan ze mną tę szermierkę słowną? Nie ma tutaj świadków, może pan sobie pozwolić na szczerość.

- Proszę opowiedzieć, co, pani zdaniem, zrobiłem.

- Nie będę strzępić języka na tego typu absurdalne pogawędki. Zamierzam pana zdemaskować. Nie obchodzi mnie, że przepuścił pan właściciela gospody, tak czy owak ujawnię spisek, aby wszyscy poznali prawdę o panu. - Ruszyła do drzwi.

- Sereno! - Ruszył za nią i położył jej dłoń na ramieniu. Natychmiast wyrwała się z uścisku.

- Proszę mnie nie dotykać!

- Sereno, co zamierza pani zrobić?

- Ujawnię, jakim jest pan łotrem i niegodziwcem.

- To później, a teraz?

- Teraz stawię czoło wszystkim plotkarzom i łowcom skandali. Na każdym kroku zamierzam dementować pogłoski. Jeśli mi się nie uda, postaram się żyć tak, jakby nie istniały.

- Sereno, ludzie bywają okrutni. To nierozsądne...

- Proszę sobie darować, i tak mnie pan nie zniechęci. Nie pozwolę panu zwyciężyć.

- A jeśli zaręczone, że nie uczestniczyłem w żadnym spisku wymierzonym w pani osobę? - spytał nagle.

- Komu innemu zależy na moim wyjeździe z Londynu? Kto wycofał propozycję związaną z Anse Chatelet i oświadczył, że ma inne plany?

- Ależ miałem na myśli tylko to, że osobiście wybieram się na St Just. Wyruszam za dwa dni.

Serena odwróciła się raptownie.

- Na St Just? Nie zasypia pan gruszek w popiele! Tak panu spieszo do obejrzenia nowej posiadłości? Ubolewam nad losem węży na wyspie, bo żaden nie dorównuje panu jadowitością. Proszę uważać, aby przypadkiem nie pokąsać jakiegoś biednego gada! - Szarpnęła drzwi i wybiegła.

Rozdział jedenasty

Serena uspokoiła się dopiero po dłuższej chwili. Gdy odzyskała względną równowagę psychiczną, skierowała kroki do pana Rambridge'a. Prawnik wyraźnie powątpiewał w skuteczność działań związanych z odzyskaniem Anse Chatelet, niemniej obiecał kontynuować starania. Historia porwania nim wstrząsnęła.

- Niewiarygodne - mruknął. - Słyszałem o tylko jednym podobnym przypadku. Co mam zrobić? Trudno będzie powstrzymać falę plotek bez ustalenia tożsamości łotra stojącego za spiskiem. Kto tak źle pani życzy?

Gdy Serena niepewnie wyraziła podejrzenia związane z lordem Wintersettem, pan Rambridge pokręcił głową.

- Wszystko jest możliwe, przyznaję, lecz trudno mi uwierzyć, by lord Winterset zniżył się do takiej podłości - oznajmił.

- Ale ja nie znam nikogo innego, kto ma do mnie pretensje! - wykrzyknęła Serena. - Najchętniej opłaciłabym godnego zaufania człowieka, który w moim imieniu pojechałby do gospody. Sama nie potrafię wyciągnąć żadnych informacji od właściciela i jego ludzi. Może mężczyzna, doświadczony śledczy, będzie miał większe szanse. Czy zna pan kogoś takiego?

Pan Rambridge natychmiast zapragnął przedstawić jej pana Barneta.

- Właśnie opisuje inną sprawę w gabinecie obok. Może ma pani ochotę na kieliszek madery?

Parę minut później Serena wtajemniczyła śledczego w szczegółowe informacje związane z gospodą i wszystkim, co wydawało się jej istotne. Jednoznacznie odrzuciła sugestię, że w sprawie mogła maczać palce rodzina Ambourne'ów, a gdy wychodziła, pan Rambridge wyraził radość, że nie podzieliła się ze śledczym podejrzeniami na temat Jamesa. Prawnik raz jeszcze podkreślił, że ktoś taki nie mógł dopuścić się łotrostwa.

Wieczorem tego samego dnia Serena wybrała się na koncert w Northumberland House. Dotarła na miejsce na pięć minut przed rozpoczęciem imprezy, a idąc po schodach, prowadzących do sali, mijała grupki osób, które na jej widok milkły. Dżentelmeni przypatrywali się jej z uwagą, a damy zgodnie opuszczały wzrok lub kierowały spojrzenia w inną stronę. Serena udawała, że tego nie zauważa.

W sali zajęła miejsce z przodu. Kilka pań z sąsiedztwa pośpiesznie wstało i przeniosło się do innej części pomieszczenia. Wokół Sereny zapadło milczenie, przerwane przybyciem lady Ambourne.

- Sereno, jak to miło znowu cię widzieć! Czy mogę? - Hrabina Ambourne demonstracyjnie zaczęła mówić panie Calvert po imieniu. Zasiadła obok niej i prowadziła nieobowiązującą pogawędkę do chwili, gdy zagrała orkiestra.

W przerwie było jeszcze gorzej. Obie damy podążyły do bufetu, lecz - mimo tłoku - gdziekolwiek przystanęły, robi-

ło się luźno. Goście uśmiechali się do lady Ambourne i witali się z nią, lecz nikt nie zapytał, czy może się przyłączyć, i nikt nie interesowało, czy panie miałyby ochotę coś przekąsić. Lord Wintersett, który obserwował to wszystko z przeciwnej strony pomieszczenia, zmełł w ustach przekleństwo i przepechnął się do samotnych dam.

- Lady Ambourne, panno Calvert, sługa uniżony. Czy mogę zaproponować poczęstunek? - spytał i ukłonił się nisko.

Hrabina wyraziła wdzięczność i dodała:

- Czy to nie dziwne, lordzie Wintersett, ilu niewychowanych ludzi przychodzi teraz na koncerty? Można by pomyśleć, że muzyka ukulturalnia, a tymczasem obserwujemy zjawisko wręcz odwrotne.

Głos arystokratki był cichy, lecz przenikliwy, i twarze osób stojących najbliżej wyraźnie poczerwieniały. Paru gości natychmiast się zbliżyło, aby nawiązać rozmowę, a gdy lord Wintersett powrócił z kieliszkami i talerzem przekąsek, ledwie udało mu się przecisnąć do hrabiny. Serena dziwnym trafem znalazła się na obrzeżu grupy. Gdy lord Wintersett podsunął jej lampkę szampana, popatrzyła mu obojętnie w twarz i wylała zawartość naczynia do doniczki z palmą. Potem odwróciła się i wyszła.

Następnego ranka lady Ambourne popijała czekoladę w oranżerii, gdy zjawił się Purkiss i spytał, czy zechce przyjąć lorda Wintersetta. Pomimo wczesnej pory dama zgodziła się na spotkanie.

- Lady Ambourne, ogromnie przepraszam za naruszanie pani spokoju o tak wczesnej porze - powitał ją Wintersett ubrany w strój do konnej jazdy.

- Usiądź, James. Jak rozumiem, pilna sprawa ma związek z panną Calvert?

- Tak. Potrzebna jej pomoc.

- Skąd u ciebie ta troska? Przecież nie przepadasz za panną Calvert.

Wyraźnie poruszony James wstał i podszedł do okna.

- Najwyraźniej wszystko idzie źle - wyznał. - Po prostu nie wiem, co mam robić, co myśleć, w co wierzyć.

Hrabina przypatrywała mu się zaskoczona. Co się stało z samowystarczalnym, pewnym siebie lordem Jamesem?

- Pragniesz pomóc Serenie. Dlaczego z nią nie porozmawiasz?

- Nie mogę. Ona nic ode mnie nie chce, nawet kieliszka szampana. Nie wspominając o radach. - James ponownie usiadł przy stoliku. - Robię, co mogę. Za kilka minut jadę do Hoddesdon, aby osobiście przeprowadzić niewielkie dochodzenie. Czas mnie goni, bo jutro wieczorem wyruszam do Falmouth, a stamtąd na Karaiby.

Hrabina zrobiła wielkie oczy.

- Płyniesz na St Just? - James skinął głową. - Zatem musimy działać szybko. Jak mam pomóc pannie Calvert? I tak udzieliłabym jej wsparcia, miej tego świadomość.

James poruszył się na krześle.

- Ona jest taka uparta - zauważył. - Nie interesuje jej opinia towarzystwa i ta nieustępliwa postawa z pewnością jej zaszkodzi. Widziała pani, co się stało wczoraj wieczorem. Nie chciała mnie słuchać. Czy mogłaby pani użyć swojego daru przekonywania, aby uwierzyła, że lepiej dla niej będzie usunąć się w cień do czasu ostatecznego wyjaśnienia sprawy?

- Już to postanowiłam. Prawdę mówiąc, tuż przed twoim

przyjściem rozważałam różne sposoby zażegnania kryzysu. Czy mam rozumieć, że wierzysz w jej niewinność?

- Tak, jak najbardziej!

- Czy teraz dopuściłeś do głosu serce, czy rozum?

- Z całą pewnością nie rozum. Dowody są praktycznie niepodważalne.

- Doskonale. Zatem górę wzięło serce. Ufaj mu. Kochasz ją?

- Swojego czasu tak sądziłem...

- W Surrey?

- Opowiedziała pani o tym, co się zdarzyło w Surrey? - Hrabina skinęła głową. - Wtedy nie wiedziałem, kim ona jest. Dopiero w Londynie odkryłem, że to Sasha Calvert. Od tamtej chwili moje życie zmieniło się nie do poznania.

- Dlaczego?

- Tony zmarł na St Just. Nie ma na to dowodów, ale powszechnie się podejrzewa, że odebrał sobie życie. Latami winiłem... winiliśmy Saszę Calvert za to, co się stało.

- Bzdura! Miała wtedy zaledwie czternaście lat!

- Teraz już to wiem. Zawsze uważałem, że była starsza. Alanna powiedziała... Nie, nie powtórzę.

- James, czy naprawdę sądzisz, że Serena ponosi odpowiedzialność za śmierć Tony'ego? Przecież dobrze poznałeś tę młodą kobietę. Obserwowałeś jej zachowanie od czasu, gdy spotkaliście się w Londynie. Nie widzisz innego rozwiązania tej zagadki?

Zapadło milczenie. Potem James wstał i powiedział:

- Dlatego wyruszam na Karaiby. Chcę poznać prawdę. Powinienem był tak postąpić wiele lat temu. - Uśmiechnął się niewesoło. - Serena jest przekonana, że płynę tam napawać się nowym nabytkiem.

- Próbowałeś wyjaśnić?

- Nie słuchała. Jej niechęć do mnie jest zbyt silna. Na mnie już pora, lady Ambourne. Mam za dużo do zrobienia przed jutrzejszym wieczorem. - Westchnął ciężko. - Żałuję, że muszę teraz opuścić Anglię. Serena potrzebuje pomocy. Lżej mi będzie ze świadomością, że ma tutaj kogoś, na kim może polegać. Myślałem o napisaniu do Neda, lecz wiem, że niepokoi się o Perdite. A właśnie, zapomniałem spytać. Jak się ona miewa?

- Martwiliśmy się o nią, ale sytuacja się poprawia. Chyba nawet mogłabym wezwać Edwarda, gdyby zaszła taka potrzeba. Cóż, życzę ci bezpiecznej podróży i powodzenia na Karaimach. Nie bój się, zadbam o interesy Sereny.

- Wierzy pani w jej niewinność, prawda?

- Ani przez moment w nią nie wątpiałam.

W Hoddesdon James spotkał się z gospodarzem i wkrótce zrozumiał, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Zastawawszy starannie wyważoną kombinację gróźb i obietnic, przekonał właściciela gospody do zrelacjonowania zdarzeń. Wszystko wskazywało na to, że pan Cartwright dał się skusić na spore pieniądze i zarezerwował dla kogoś pokój na piętrze, u wylotu schodów. „Znaczy się, najlepszy w gospodzie”, jak podkreślił. Ponadto zgodził się przymknąć oko. Ustalonej nocy miał zajeżdżać powóz z grupą pasażerów. Gospodarz obiecał, że nie zada im zbędnych pytań, gdy zajmą pokój, a potem będzie milczał, kiedy rankiem pewna dama zechce go wypytywać o rozmaite kwestie. Dodatkowo miał przygotować powóz, który odwiezie ją do Londynu. Gospodarz przyjął gotówkę od mężczyzny zwanego kapitanem. W odpowiedzi na dalsze py-

tania wyjaśnił, że sir Harry Birtles niejednokrotnie zatrzymywał się „Pod Czarnym Lwem”, zawsze z tą samą kobietą. Gospodarz nie znał jej nazwiska. Na imię miała Aurelia... może Amelia... coś w tym guście. Państwo Taplowowie... Ach, to zupełnie co innego. Arystokraci z krwi i kości. Zajeżdżali do gospody co sześć tygodni, regularnie jak w zegarku, gdy odwieźdali córkę w Huntingdon. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Kto ustalał szczegóły wynajęcia pokoju i pozostałe sprawy?

- Kapitan.

- Pytał o sir Harry'ego i innych gości, aby mieć pewność, że się tutaj zatrzymają?

- Nie pamiętam. Widziałem go tylko dwa razy: gdy przyjechał rezerwować pokój, a potem tamtego wieczoru z damą.

- Gospodarz się zawahał. - Jedna z pokojówek pomyślała, że kapitan zna towarzyszkę sir Harry'ego. Ale to nic nie znaczy. Dama sir Harry'ego to taka osoba, która zna niejednego dżentelmena. Jeśli pan wie, co mam na myśli.

Pokrótce opisał przyjaciółkę kapitana i sir Harry'ego, ale więcej nie chciał mówić. James zapłacił mu zgodnie z umową i spytał o wspomnianą wcześniej pokojówkę. Dziewczyna głównie chichotała, lecz Jamesowi udało się ustalić, że sir Harry zwracał się do damy „Amelio”, a „kapitan” puścił do Amelii perskie oko i coś do niej zagadał, gdy spotkali się na korytarzu. Służąca opisała też Amelię i kapitana, a gdy James zbierał się do wyjazdu, podeszła do niego i szepnęła, że mogłaby mu coś sprzedać. Potem zaprezentowała wymiętą kartkę papieru.

- Ten list był w pokoju przed schodami, proszę pana. Pani go zostawiła. Nic więcej - dodała z niechęcią. - Może poza dziwną, pustą butelką, całkiem małą. Wyrzuciłam ją.

James z narastającym niesmakiem przeczytał liścik, który Serena rankiem znalazła przy łóżku w gospodzie.

Słonko!

Wiesz, że na mnie pora, choć najchętniej zostałbym przy Tobie. Jak tylko będę mógł, umówię się z Tobą na następne spotkanie. Tej nocy było jeszcze lepiej niż na St Just. Całuję cię, kochana, A.

W drodze powrotnej do Londynu James zastanawiał się, czy list jest oryginalny. Któż to wiedział? Część relacji właściciela gospody mogła potwierdzać wersję Sereny. Na jej korzyść świadczyło to, że wszyscy od razu ją rozpoznali. Obecność Harry'ego Birtlesa w gospodzie oznaczała, że następnego dnia cały Londyn dowie się o rzekomym romansie Sereny. Harry... Ponad wszelką wątpliwość przyjechał do gospody wraz z Amelią Banagher. Warto byłoby ustalić, kto zaaranżował tę schadzkę. James postanowił odwiedzić Amelię natychmiast po powrocie do miasta. Raz jeszcze przeczytał list. Kim był „A.”? Jeśli list nie jest oryginalny, to z pewnością został zręcznie sformułowany. Chodziło w nim o dowiedzenie, że Serena знаła autora jeszcze na St Just. James pomyślał, że już za parę tygodni dotrze na wyspę i na miejscu dowie się znacznie więcej o Sashy Calvert i jej rodzinie.

Amelia Banagher wypoczywała w swoim buduarze, kiedy zjawił się James. Powitała go okrzykami radości i przez kilka dobrych minut wyrażała zadowolenie z jego przybycia. Przestraszyła się jednak na wieść, że właśnie wraca z Hoddesdon.

- Zdaje się, że ostatnio spędziłaś tam noc. Z Harrym Birtlesem.

Wyraźnie się spłoszyła i próbowała zmienić temat, lecz James nie dał się zmylić.

- Amelio, zwykle byliśmy wobec siebie szczerzy i otwarci - przypomniał. - Jestem gotów spłacić twoje zaległe rachunki, jeśli powiesz mi, jak to się stało, że akurat tamtej nocy znalazłaś się z Harrym „Pod Czarnym Lwem”.

- James, nie jestem pewna, dlaczego ta sprawa cię interesuje. Poza tym nie mam do spłacenia żadnych zaległych rachunków.

Zmrużył oczy.

- A to jest naprawdę interesujące. Powiem więcej: to zupełnie niezwykle. Nie zalegasz z rachunkami? Dziękuję, nie potrzebuję dodatkowych dowodów, Amelio. Mów, kto cię przepił?

Tym razem przestraszyła się nie na żarty. Wintersett nie dał sobie w kaszę dmuchać. Z drugiej strony, nie warto też było zadzierać z Fergusiem O'Keefeem. Miała pełną świadomość, że to, co zrobiła do spółki z kapitanem, jest poważnym przestępstwem. Amelia postanowiła zrezygnować z dobrych relacji z lordem Wintersettem, byle tylko uratować skórę.

- James, muszę przyznać, że byłam na ciebie bardzo zła, kiedy tak źle mnie potraktowałeś. Pamiętasz zapewne, chodzi o sprawę naszyjnika - improwizowała pośpiesznie. - Postanowiłam odpłacić wam obojgu. Widziałam, że się nią interesujesz i... dlatego chciałam, abyś zobaczył, jak ona cię oszukuje.

- Amelia wstała i sięgnęła po chustkę. - Masz ochotę na kieliszek wina? Każę przynieść, co ty na to?

- Dziękuję, nie. Mów dalej.

- Ustaliłam z Harrym, że będzie świadkiem jej spotkania z przyjacielem w gospodzie „Pod Czarnym Lwem”. Nic więcej. Wiedziałam, że Harry wszystko rozpowie. On jest z Karaibów, prawda? Jej przyjaciel.

- Znałaś go wcześniej?

- Skąd!

- Wygląda na to, że on cię znał. Jedna z pokojówek widziała was razem.

Amelia poczuła, jak krew odpływa jej z policzków. Potem wzięła się w garść i wymamrotała:

- Wielu dżentelmenów chciałoby się do mnie zbliżyć. Niejeden zamienia ze mną słowo lub dwa. To nie znaczy, że ich znam.

Było jasne, że James nie do końca wierzy jej słowom, lecz Amelia wiedziała, że trudno będzie mu je podważyć.

- Jaki on był? - wypytywał arystokrata. - Ten jegomość z Karaibów?

Co miała powiedzieć? Gdyby zbyt szczegółowo opisała Fergusa, Jamesowi udałoby się go wytropić.

- Niezbyt dobrze go widziałam. Chyba miał jasne włosy. Niezbyt wysoki.

Gdy James w końcu wyszedł, Amelia odetchnęła z ulgą i osunęła się na kanapę.

Następnego dnia James powrócił do Rotherfield House. Jego widok zaskoczył hrabinę, lecz zarazem sprawił jej przyjemność. Dama znowu spędzała czas w oranżerii, z listem w dłoni.

- Wejdz, James. Chodź, usiądź. Mam dobre wieści w związku z Perdita. Edward powiada, że miewa się znacznie lepiej.

James wyraził radość, a hrabina posłała po wino. Potem usiadła i popatrzyła na przyjaciela.

- Ale teraz musisz mi opowiedzieć, z czym przybywasz. Przecież już się pożegnaliśmy, prawda? Pojechałeś do Hoddesdon? Czego się dowiedziałeś?

Lord Winterset zrelacjonował przebieg wizyty w gospodzie, a także u lady Banagher. Hrabina momentalnie spoważniała.

- To piekielnie chytry spisek, śmiem twierdzić - skomentowała. - Wiem, co mówię.

- Moim zdaniem, Amelia Banagher kłamie. Jej opis mężczyzny ani trochę nie pasuje do tego, co usłyszałem w gospodzie. Zdaniem ludzi z Hoddesdon ten człowiek był wysoki i bardzo śniady. Jestem absolutnie pewien, że Amelia świetnie go zna. Zanim wyjadę z Londynu, muszę wynająć wiarygodnego człowieka, który poprowadzi dochodzenie.

- James, Rambridge zajął do mnie dzisiaj, aby spytać o Perdite. Powiedział, że Serena zatrudniła bardzo dobrego śledczego. Czy życzysz sobie, abym przekazała mu informację od ciebie?

James natychmiast wyraził zgodę. Obiecał, że dostępne mu wiadomości starannie spíše i dostarczy lady Ambourne.

- Właściwie nie po to przyszedłem. Wczoraj, gdy od pani wyszedłem, dotarło do mnie, że państwo Warnhamowie mogą brać pod uwagę niedopuszczenie do małżeństwa syna z panną Lucy Calvert. Taka decyzja byłaby fatalna w skutkach.

Hrabina z politowaniem popatrzyła na gościa.

- Sądzisz, że o tym nie pomyślałam? James, bądź spokojny. Trzymam rękę na pulsie. Zamierzam przekonać Serenę, aby na pewien czas zaszła się na wsi, aż ustalimy prawdę. Po-

nadto zaproponuję, że wprowadzę się do domu przy Dover Street i osobiście zaopiekuję się panną Lucy. Moim zdaniem, poparcie hrabiny wdowy Ambourne w zupełności wystarczy, aby zamknąć usta potencjalnym krytykom Lucy Calvert. Zgodzisz się ze mną?

James uśmiechnął się po raz pierwszy od bardzo dawna.

- Lady Ambourne, jak zwykle ma pani rację.

Przed opuszczeniem kraju James odbył jeszcze jedną rozmowę - z Sereną. Wcześniej nie planował tego spotkania, lecz coś go nieodparcie przyciągnęło na Dover Street, kiedy zmierzał do kawiarni Gloucester, skąd odjeżdżał powóz do Falmouth. Z początku Sereną nie chciała z nim rozmawiać, lecz w końcu udało mu się przekonać Johna, aby go wpuścił. Sereną przebywała w towarzystwie Murzynki.

- Mam zostać, panienko Sasho?

- Nie, Sheba, nie ma potrzeby. Lord Winterset nie zabawi tu długo.

Służąca wyszła, po drodze obrzucając gościa podejrzliwym spojrzeniem.

- Sereno, wyjeżdżam dziś wieczorem. Czy masz jakieś wiadomości do przekazania państwu Pendomerom?

Uśmiechnęła się z goryczą.

- O czym mogłabym ich poinformować? Że nie jestem już właścicielką Anse Chatelet? Że okryto mnie hańbą i wykluczono z londyńskiej socjety? Że ślub Lucy stoi pod znakiem zapytania?

- Oczywiście, że nie. Osobiście jednak uważam, że szczęściu panny Lucy naprawdę nic nie zagraża. Rozumiem cię jednak. Cóż, zatem do widzenia.

- Do widzenia, lordzie Winterset. Życzę wielu pogodnych chwil w Anse Chatelet. Mam nadzieję, że jest pan przygotowany na wyjaśnienie moim... najmocniej przepraszam, swoim pracownikom, czemu Calvertowie ich opuścili.

- Powiedz, czego dowiem się na miejscu. Czy śmierć Tony'ego naprawdę nastąpiła wskutek wypadku? A może istnieje inne wytłumaczenie?

Zapadło milczenie, przerwane ostatecznie przez wyraźnie zasmuconą Serenę.

- Nie mogę panu tego wyjawić - szepnęła zadziwiająco łagodnie. - Pan sam musi się przekonać.

Przysunął się bliżej.

- Będziesz tu, kiedy wrócę?

- Sama nie wiem. Pragnę ujrzeć Lucy na ślubnym kobiercu, ale chwilowo trudno powiedzieć, kiedy to się stanie. A potem... Nie mam pojęcia.

Przyciągnął ją do siebie. Popatrzyła na niego ze zmęczeniem, ale nie opierała się, gdy ją całował: długo, słodko, gorąco. W tym jednym pocałunku zawarła się cała namiętność, jaka łączyła ich cały czas, wbrew przeciwnościom losu. Po chwili Serena wyrwała się z jego mocnego uścisku, lecz ponownie przytulił ją do siebie.

- Ta sprawa z Hoddesdon - szepnął. - Czy naprawdę masz mnie za takiego niegodziwca? Uważasz, że posunąłbym się do najgorszego, aby cię pognać? Po tym wszystkim, czego wspólnie doświadczyliśmy na wzgórzu w Surrey? William, Trask, Douce... Tyle cudownych godzin, fantastycznych wspomnień...

- Nie wiem! - wykrzyknęła i ponownie się odsunęła. - Mam mętlik w głowie. Dowiedziałam się, że wczoraj był pan

w gospodzie. Wręczył pan właścicielowi pieniądze. W jednej chwili uważam pana za diabła wcielonego, potwora, w następnej trzyma mnie pan w ramionach i nie wyobrażam sobie, by gdziekolwiek mogłoby mi być lepiej... Skoro tak nam było dobrze ze sobą, to czemu potraktował mnie pan tak okrutnie? Och, niech pan już jedzie na St Just i zostawi mnie samą, lordzie Wintersett.

- Mów mi po imieniu. Mam na imię James. Ostatecznie, zwracam się do ciebie Sereno. Gdy jesteśmy sami...

- Serena i James... Nie, nie mogę.

- Już nigdy nie wypowiesz mojego imienia?

- Trudno powiedzieć. Po powrocie z St Just być może nie zechce pan się ze mną spotkać.

Spochmurniał.

- Czy usłyszę tam o kapitanie? O mężczyźnie, którego imię zaczyna się na literę „A”?

Zdawała się nie rozumieć słów Jamesa.

- O czym pan mówi? - spytała zaskoczona.

Bez słowa wręczył jej list kupiony od pokojówki. Rzuciła okiem na pismo i w odruchu obrzydzenia cisnęła go jak najdalej od siebie. Następnie oświadczyła:

- Przez moment uważałam, że źle pana oceniłam, lordzie Wintersett. Posunęłam się tak daleko, że zaczęłam się nad panem użalać. Cieszę się, że przed wyjazdem przypomniał mi pan, jaka jest pańska prawdziwa natura. - Mówiła coraz wyraźniej i dobitniej. Dodała z pogardą: - Czy sprawiło panu satysfakcję pocałowanie mnie w tak czuły sposób tylko po to, aby po chwili wyciągnąć ten... śmieć z kieszeni? Kupił pan list od właściciela gospody po to, aby mnie oskarżyć. Tak czy owak, pańskie poczynania są godne pogardy. Mam dość tych

sztuczek. Już nigdy, przenigdy nie zechcę się z panem spotkać! Życzę wielu miłych chwil podczas odkrywania prawdy na St Just.

Wybiegła z pokoju, po drodze wzywając Johna, aby zajął się lordem Wintersettem.

Następnego dnia Serena i Lucy siedziały w salonie domu przy Dover Street. Pomieszczenie było duże, przestronne, umeblowane sprzętami w różnych odcieniach bladej żółci i bieli. Pozornie nic nie mąciło przyjemnego nastroju. Przypadkowy obserwator już na pierwszy rzut oka zauważyłby jednak, że damy nie miewają się najlepiej. Obie były blade i miały podkrążone oczy. Serena spędziła bezsenłą noc, nie mogąc przestać myśleć o Jamesie Stannardzie, lordzie Winterset, który jechał na południowy zachód do Falmouth. Była to długa, wyczerpująca podróż i choć ostatecznie czekała go godna nagroda w postaci wspaniałego widoku Anse Chatelet, na terenie majątku raczej nie miał szansy zaznać radości.

Serenę prześladowały także wspomnienia poprzedniego wieczoru. Nie rozumiała, czemu James tak na nią wpływa. Wyjaśniła mu, że nie ma ochoty go więcej widzieć, i cały czas podtrzymywała swoje słowa. Myśl o utracie Jamesa paradoksalnie napawała ją głębokim smutkiem. Uśmiechnęła się z goryczą na wspomnienie rozmowy, którą odbyła z lady Pendermer jeszcze przed wyjazdem do Anglii.

- Nie zdecydowałabym się na zamążpójście i rezygnację z kierowania sprawami Anse Chatelet, z pewnością nic po upływie tylu lat - oznajmiła wówczas. - Chyba że znalazłabym męża, któremu mogłabym zaufać, który poradziłby sobie lepiej ode mnie...

W Surrey nabrała pewności, że trafiła na kogoś takiego. Perspektywa związania się z lordem Wintersettem napełniła ją wówczas nieznaną wcześniej błogością i satysfakcją. Tym większe przeżyła rozczarowanie, kiedy ten właśnie człowiek odebrał jej Anse Chatelet.

Wiedziała, że James powróci świadom własnej niesprawiedliwości, którą latami podsycił. Było już jednak za późno, aby cokolwiek zmienić. Mężczyzna ze wzgórza odszedł na zawsze. Pozostał zimny manipulator znany wszystkim w Londynie.

Serena westchnęła i spróbowała skupić uwagę na Lucy. Martwiła się o podopieczną. Rzadko się zdarzało, by ta energiczna, wesoła dziewczyna popadała w apatię i nie odzywała się ani słowem. A przecież właśnie teraz powinna cieszyć się najpiękniejszymi dniami swego życia. To reakcja towarzystwa na rzekome przewiny Sereny ją załamała. Michael codziennie składał wizyty, w domu było pełno kwiatów, lecz nawet to nie mogło poprawić samopoczucia Lucy. W takiej sytuacji Serena z niekłamana radością zerwała się z miejsca i powitała hrabinę Ambourne.

- Serena! Jak ci się wiedzie, moja droga? - Najwyraźniej starsza pani postanowiła konsekwentnie mówić jej po imieniu. - Co u ciebie, Lucy? Przybywam z dobrymi wieściami, radą oraz koszem owoców i świeżych warzyw z Ambourne.

Serena poprosiła o herbatę i po chwili damy usadowiły się wygodnie przy stoliku.

- Na początek dobre wieści. Z pewnością zauważyłyście, jak bardzo byłam ostatnio zajęta. W rezultacie nieco was zaniedbałam, niestety. Na szczęście Perdita jest już zdrowa i w pełni sił. Pomyślałam, że powinnam pojechać do niej do Am-

bourne, ale nie jest to konieczne. Zabawię więc w Londynie nieco dłużej.

Obie panny Calvert wyraziły zadowolenie, a hrabina kontynuowała:

- Owoce i warzywa przekazałam Johnowi, aby zaniósł je pani Starkey...

- A rada? - przypomniała Serena z uśmiechem.

- Jeśli łaska, wołałabym porozmawiać o niej z tobą w cztery oczy, Sereno. Czy Lucy mogłaby nas na moment opuścić?

- Dziewczyna zerwała się z miejsca, ale lady Ambourne powstrzymała ją ruchem dłoni. - Moje dziecko, nie odchodź za daleko. To dotyczy także ciebie.

Lucy się oddaliła, a hrabina wyniszczyła swój plan.

- Co o tym myślisz? - spytała na koniec. - Perdita z radością gościłaby cię w Ambourne.

Serena się zawahała.

- Lady Ambourne, dziękuję pani, ale nie chcę, aby ludzie nabrali przekonania, że przyznaję się do porażki. Nie zrobiłam nic, czego powinnam się wstydzić. Poza tym mam nadzieję, że pan Barnet wkrótce rozwikła zagadkę...

- A jeśli nie? Wiem, że James dostarczył mu wielu istotnych informacji...

- Lord Winterset?

- Nie wspomniał o tym w rozmowie z tobą? - Hrabina zrobiła wielkie oczy, choć świetnie wiedziała, że James nie powiedziałby Serenie ani słowa. - Sporo dowiedział się w Hoddesdon. Jest niemal pewien, że kobietą towarzyszącą sir Harry'emu była ta przeklęta Amelia Banagher. Pan Barnet wziął ją pod lupę. Ma nadzieję, że ona doprowadzi go do osobnika zwanego kapitanem.

- Rozumiem...

- Czy na pewno? Czy rzeczywiście rozumiesz?

- Jak to?

- Dlaczego James miałby zadawać sobie tyle trudu, aby ci udzielić pomocy? Pojechał do Hoddesdon, wybrał się w długą podróż na St Just...

- Wyruszył na St Just po to, aby rzucić okiem na swoją własność.

- Tak powiedział? Chyba jesteś w błędzie. Moim zdaniem, chce wiedzieć, co faktycznie zdarzyło się na wyspie trzynaście lat temu. Nie będzie mu do śmiechu w dniu, w którym pozna prawdę. A właściwie dlaczego nigdy mu nie powiedziałaś o Richardzie i Alannie?

- Zamierzałam to uczynić wczoraj wieczorem, gdy do mnie przyszedł, ale dowiedział, że kierują nim niskie pobudki. Zezłościłam się na niego i miałam ochotę zrobić mu krzywdę, oznajmić mu, że jego brat stracił życie z powodu Alanny i Richarda, nie przeze mnie. Mógłby mi nie uwierzyć, to jasne. Wcześniej wielokrotnie nie dawał wiary moim słowom. Potem uświadomiłam sobie, że nie mogę wyznać mu tego w złości. W innych okolicznościach, kto wie... Gdyby mi ufał, a ja jemu... Jak mogłabym zakomunikować mu, że jego brata zdradzała żona? A jego jedyny łącznik z Tonym, bratanek i spadkobierca, być może jest kimś, z kim nie łączą go więzy krwi?

- Wiele osób chętnie by go zraniło.

- Ale ja nie.

- Wyjawię ci dlaczego, Sereno. W moim przekonaniu kochasz tego mężczyznę, a on kocha ciebie.

- Lord Winterset nie jest zdolny do miłości, której szukam. A jeśli nawet kiedyś mnie kochał, na swój sposób, to zapomni

o wszystkim jeszcze przed powrotem z Karaibów. Powiedziałam mu, że już nigdy nie chcę go widzieć.

Hrabina się uśmiechnęła i zauważyła trzeźwo:

- Chyba mylisz się w obu sprawach, Sereno. Rozmowa o Jamesie nie ma jednak sensu. Gdy wróci, sam przemówi. A teraz, co do mojego planu;..

Serena ostatecznie dała za wygraną.

- Lady Ambourne, tyle pani zawdzięczamy. Nie wiem, jak pani dziękować...

Hrabina poprawiła się na krześle.

- Moja przysługa wcale nie jest bezinteresowna, wier mi. Edward i Perdita wyjechali, więc czuję się nieco samotna, zwłaszcza w Rotherfield House! Poza tym chcę na pewien czas zostać w Londynie. Powiedz mi, czy Lucy kocha Michaela Warnhama? Czy chce wyjść za niego za mąż?

- Och, tak! Tyle że...

- Tyle że państwo Warnhamowie się martwią? To dobrzy, mili ludzie, ale zawsze przesadzali z tym swoim przywiązaniem do konwenansów. Gwarantuję, że ponownie zaakceptują Lucy, kiedy świat się dowie, iż pozostaje ona pod opieką hrabiny wdowy Ambourne. Ludzie wkrótce zapomną o skandalu, jeśli panna Calvert nie będzie przypominała o nim swoją obecnością. Sereno, zaufaj mi. Wiem, o czym mówię. Gdy twoi wrogowie zostaną zdemaskowani, co jest tylko kwestią czasu, powrócisz triumfalnie na salony.

Serena ostatecznie zgodziła się przywołać Lucy, aby poznać jej opinię. Bała się, że porywczą bratanica od razu odrzuci propozycję, ale najwyraźniej nie doceniała hrabiny. Po paru minutach wszystko zostało ustalone. Jedyna zmiana planu polegała na tym, że Serena nie pojedzie do Ambourne, lecz z po-

wrotem do lady Spurston. Wyjaśniła hrabinie i Lucy, że w tym momencie wołałaby nie narzucać się Perdicie. Nie wspomniała natomiast, że zamierza dotrzeć do Winterset Court. Musiała na własne oczy ujrzeć Tony'ego Stannarda! W tym celu, tuż przed opuszczeniem Londynu, zaopatrzyła się w mapę Surrey, dostępną w księgarni Hatcharda przy Piccadilly.

Rozstanie z Lucy nie było łatwe, ale zarówno hrabina, jak i Sheba zapewniły Serenę, że jej bratanica pozostanie pod troskliwą opieką. Michael również był na miejscu, aby wspierać Lucy. Serena miała nadzieję, że młodzi wkrótce oficjalnie potwierdzą swój związek. Poza tym bez żalu opuszczała Londyn. Lord Winterset płynął na Karaiby i może nigdy nie miała go już zobaczyć. Niewykluczone, że tak byłoby najlepiej.

Rozdział dwunasty

Serena w skrócie opisała lady Spurston przebieg swojej dramatycznej przygody, lecz i to wystarczyło, by wzbudzić współczucie damy, zwłaszcza gdy usłyszała ona o wsparciu ze strony rodziny Ambourne'ów. Babka cioteczna zgodziła się, że decyzja o tymczasowym wyjeździe do Surrey jest rozsądna.

- Jak wiesz, trzy ćwierci sezonu mamy już za sobą. Świat wkrótce zapomni o tym skandalu. Jeśli zachowasz przyjaźń Ambourne'ów, za rok powrócisz do Londynu na następny sezon.

- Nie - sprzeciwiła się Serena stanowczo. - Chyba że zostanie całkowicie oczyszczona z zarzutów. A może nawet wtedy zrezygnuję z udziału w przyszłym sezonie. Powiedz mi lepiej, ciociu, gdzie mogę kupić nowe damskie siodło?

Po krótkiej wymianie zdań obie panie ustaliły, że Serena będzie mogła jeździć konno bez ograniczeń pod warunkiem, że stajenny Tom będzie jej stale towarzyszył. Tak więc zrezygnowała z męskiego sposobu dosiadania konia, z pewną trudnością przypominała sobie, jak jeździć bokiem i tydzień po przyjeździe wyruszyła na poszukiwania Winterset Court.

Odkąd prawnik lorda Wintersetta przybył do Surrey z wiadomością, że jego klient wyjechał w pilnej sprawie na Karaiby, Alanna czuła, że jej dni są policzone. Za trzy miesiące - może mniej, jeśli wiatry będą sprzyjały podróżnemu - zostanie zdemaskowana. Co wówczas zrobi? W nocy nie mogła spać, za dnia nie zaznawała odpoczynku. Irytowali ją służący, nieraz traciła cierpliwość do syna. Dzień po dniu snuła się po ogrodzie i martwiła o własny los. Czy powinna wyjechać, dajmy na to do domu w Irlandii? Nie uśmiechała się jej jednak perspektywa zamieszkania z siostrą i opieki nad starym ojcem.

Wkrótce do licznych zmartwień musiała dorzucić nowe. Z wizytą przyjechał Fergus O'Keefe, rzekomo po resztę należnych mu pieniędzy. Wkrótce jednak dobitnie dał jej do zrozumienia, że to nie są jego ostatnie odwiedziny. Na dodatek zwracał się do niej po imieniu jak do starej znajomej.

- W pięknym domu mieszkasz, moja droga Manno. Lubię tu do ciebie zaglądać. Wpadnę jeszcze w przyszłym tygodniu, co ty na to?

Zająknęła się, przeprosiła, ale ustąpiła, gdy oświadczył ze śmiechem:

- Moja Manno, chyba mnie nie zbywasz, prawda? Mnie, starego druha z Irlandii. Bez obaw, zostawię cię w spokoju, kiedy tylko sprawię sobie własne kasyno w Dublinie. Obiecuję. Tyle że to kosztuje... Niemało kosztuje. Nie miałabyś jeszcze paru pensów do dorzucenia? Wspomogłabyś przyjaciela, co? Mógłbym ci zapewnić poczucie bezpieczeństwa. No właśnie, zająłbym się twoim bezpieczeństwem. Pierwszorzędna myśl!

- Zaniósł się rechotem. Alanna zadrżała i obiecała mu jeszcze sto funtów.

Nie miała złudzeń: ta wizyta nie zakończyła sprawy. Aby wyciszyć ponure myśli, wybrała się na spacer do ogrodu i maszerowała, aż opadła z sił. Nie wątpiła jednak, że zatrudniając Fergususa O'Keefe'a, dała mu nad sobą kontrolę.

Serena jechała drogą do Winterset Court, lecz przystanąła na widok samotnej postaci na ławce pod drzewem. Zeskoczyła z konia i przekazała wodze stajennemu. Po chwili podeszła do ławki.

- Pani Stannard?

Alanna wstała.

- Obawiam się, że nie...

- Zapewne nie poznaje mnie pani. Miałam zaledwie czternaście lat, kiedy ostatnio się widziałyśmy.

Wstrząśnięta Alanna zrobiła wielkie oczy i zerwała się na równe nogi.

- Och, nie! - wrzasnęła piskliwie. - Niech pani się stąd wynosi, natychmiast! Precz, precz!

- Niechże pani oszczędzi mi tych hysterii! - Serena nawet nie próbowała ukrywać pogardy. - Z pewnością pani wie, że James jest w drodze na St Just i wkrótce dowie się dostatecznie dużo, by panią zdemaskować i ujawnić pani kłamstwa.

- Tak, ale zawsze może rozpuścić się sztorm, statek może zatonać... - Alanna zawiesiła głos. - Co pani tu robi? - wyszeptała po chwili.

- Chciałam zobaczyć się z chłopcem i spytać, dlaczego pani to zrobiła.

- Co robiłam? - spytała Alanna ostrożnie.

- Dlaczego powiedziała pani rodzinie Stannardów, że to ja uwiodłam Tony'ego. Przecież to Richard uwiodł panią.

- Co innego miałam zrobić?! - krzyknęła Alanna. - Stannardowie nigdy nie udzieliliby mi schronienia, gdyby poznali prawdę... Dokąd bym wtedy poszła? Uznałam, że tak będzie najbezpieczniej. St Just leży po drugiej stronie Atlantyku i było jasne, że Calvertowie zatają informacje o roli Richarda w tej sprawie. Stannardowie byli gotowi zrobić wszystko, aby zatrzymać syna Tony'ego. Co innego mogłam uczynić?

- Powiedzieć prawdę.

- Jaką prawdę? Powinłam zdradzić, że pani wspomniały brat mnie odrzucił, wyśmiał, kiedy powiedziałam, że chcę go poślubić? Wyobraża pani sobie, co czułam, gdy oznajmił, że mną gardzi? Że nie zamierza żenić się z ladacznicą? Że pierwsza lepsza dzikuska ze wsi dała mu więcej rozkoszy? Że jeden bękart więcej, jeden mniej nie robią mu różnicy, bo ma ich mnóstwo? - Alanna wpadła w histerię. Serena usiłowała ją przekonać, aby usiadła, lecz na próżno. - Tak do mnie powiedział! Do mnie, Alanny Cashel! Nie jakiejś tam dziewczki ze wsi, lecz Alanny Cashel z Kildone! - Alanna przechadzała się nerwowo w tę i z powrotem przed ławką, niczym tygrysica w klatce. W dłoniach ścisnęła chustkę i darła ją na strzępy. - Co innego mówił, kiedy zaciągał mnie do łóżka. Och, tak! Szalałam za nim, ale nie dałam tego po sobie poznać. Dopiero kiedy przysiągł, że ożeniłby się ze mną, gdyby nie Tony. Oddałam mu się... A potem okazało się, że dziecko jest w drodze... - Alanna osunęła się na trawę. Przestało do niej docierać, że ktoś jej słucha. Żyła przeszłością, straciła kontakt z otoczeniem. - Poszłam do Tony'ego i oznajmiłam, że go opuszczam. Myślał, że opowiadam głupstwa. Nawet nie chciał rozmawiać na ten temat. Więc... zastrze-

liłam go. - Ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsały niekontrolowane spazmy. - Pozbyłam się Tony'ego, ale Richard mnie nie chciał...

- Zastrzeliła pani Tony'ego?

Alanna nagle się uciszyła.

- Tak powiedziałam? Ech, to i tak bez znaczenia - burknęła, znużona. - Nikt inny tego nie usłyszał, a poza tym nie ma już dowodów... Wkrótce wyjadę, a pani słowa niewiele znaczą. Tak, zabiłam Tony'ego Stannarda. Wszyscy tak bardzo starali się wyciszyć sprawę, że nikt nie kwestionował jego samobójstwa. Żałuję, że go zabiłam.

Ponownie ukryła twarz w dłoniach i załkała. Serena patrzyła na nią ze zgrozą. Nie spodziewała się, że usłyszy takie potworności. Alanna podniosła wzrok.

- Wyjeżdżam - wyszeptwała. - Nie wiem jednak, co począć z Anthonym. Nie może podróżować, ale nie mogę też zostawić go bez opieki. Co się z nim stanie?

- Powiada pani, że jest synem Richarda? - Alanna skinęła głową. - Zatem to mój bratanek, krew Calvertów. Mniejsza z tym, co widnieje w jego metryce urodzenia. Sama się nim zajmę, jeśli Stannardowie umyją ręce. Będzie bezpieczny. - Serena na próżno usiłowała wykrzesać w sobie litość dla tej kobiety.

- Chciałam odpokutować. Spędziłam tutaj tyle lat. Co to za życie? Ani razu nie pojechałam do Londynu. Nigdzie nie podróżowałam. Przez trzynaście lat dotrzymywałam towarzystwa lady Winterset i opiekowałam się synem. - Chwyciła Serenę za rękę. - Pani mu nie powie, prawda? Anthony'emu? Nie powie mu pani, że ja... że jego własna matka...

Serena oswobodziła się z uścisku.

- Nie będę mogła milczeć, jeśli pani tutaj pozostanie. To chyba oczywiste.

Alanna pokiwała głową.

- Wyjadę w ciągu tygodnia. Przysięgam. Powinam pani coś powiedzieć... - Zastanowiła się. - Bałam się, że pani porozmawia z Jamesem, więc... - zająknęła się. - Nie, nie mogę. Nie pomoże mi pani, jeśli to wyjawię.

Nagle odwróciła się i rzuciła biegiem do domu, jakby ściagały ją moce piekielne. Serena patrzyła za nią i zachodziła w głowę, co takiego Alanna zamierzała powiedzieć?

Alanna była przygotowana na następną wizytę Fergusa O'Keefe'a.

- Nie mam więcej pieniędzy - oznajmiła. - Są jednak klejnoty. Dużo. Możesz mieć prawie wszystkie, tylko kilka zostawię sobie.

Kapitanowi załśniły oczy.

- A gdzie one są, Alanno, moja duszyczko?

- W bezpiecznej kryjówce. Dostaniesz je, jeśli zabierzesz mnie ze sobą do Irlandii. Mogę pomóc ci w kasynie.

- A to ci niespodzianka! Nieczęsto się zdarza, by ktoś zaskoczył Fergusa O'Keefe'a, a tobie się to udało, ślicznotko. - Podejrzliwie zmrużył oczy. - Ciekawe, czemu tak nagle mnie polubiłaś?

Zaśmiała się z przymusem.

- Mam dość życia tutaj - oznajmiła. - A ty jesteś mężczyzną odważnym, przedsiębiorczym... Chciałabym przed śmiercią zobaczyć kawałek świata... z tobą.

- Wyglądasz całkiem do rzeczy. Życie ze mną nie będzie

take łatwe jak tutaj, ostrzegam. Na szczęście twoje klejnoty mogą wiele zmienić. Dużo ich, mówisz?

- Wintersetowie są bogaci... i hojni. Dostałam ich nie mała.

- Przypomnij mi, gdzie one są?

- Nie zapomniałeś, bo ci nie powiedziałam.

Fergus uśmiechnął się szeroko.

- Nie powiem, żebyś nie miał na ciebie chętki, Alanno Stannard.

- Alanno Cashel, Fergusie. Nazywam się Alanna Cashel. Zaczekaj na mnie na końcu podjazdu. Zaraz przyjdę. Na najbliższej stacji wynajmiemy powóz. Mój kufer już tam czeka.

Alanna ze łzami w oczach pożegnała śpiącego syna. Ucałowała go i poszła do Fergusu O'Keefe'a. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by pożegnać się z domownikami.

Co do kapitana, zczekał na towarzyszkę podróży. Nie przejmował się klejnotami, prędzej czy później musi je znaleźć. Przez pewien czas gotów był opiekować się Alanną Cashel. W sumie nawet nie wyglądała najgorzej - jak na swoje lata, rzecz jasna.

Serena z niecierpliwością czekała na spotkanie z synem Richarda, lecz postanowiła opóźnić wizytę w Winterset Court do wyjazdu Alanny. Nie chciała jej więcej widzieć. Świadomość zbrodni popełnionej przez tę kobietę napełniała ją zgrozą. Nie sądziła, by do zabójstwa doszło w afekcie, jak to opisała Alanna. Przecież musiała przynieść ze sobą broń. Poza tym zachowała zimną krew, skoro nikt nie podejrzewał zabójstwa. Zdaniem Sereny, Stannardowie powinni znać prawdę, choć po upływie tylu lat nie było sensu ogłaszać jej publicznie. Mu-

siała uchronić chłopca przed świadomością, że jego matka dopuściła się najcięższej zbrodni. Okoliczności śmierci Tony'ego Stannarda pozostawały tajemnicą tak długo, że dodatkowy miesiąc nie stanowił różnicy.

Potwierdzenie zniknięcia Alanny znalazła w formie ogłoszenia w gazecie; poszukiwano towarzyszkę dla dwojga niepełnosprawnych: wdowy z wyższych sfer oraz dziecka przykutego do wózka inwalidzkiego. Adres: Wintersett Court, Surrey.

Serena z miejsca udała się do ciotki i pokazała ogłoszenie.

- Ciociu, musisz mi pomóc. Chciałabym, żebyś napisała mi referencje.

- A po cóż ci one? Nie ma żadnego powodu, żebyś szukała sobie posady. Zapomniałaś, kim jesteś?

- Nie, ciociu, nie zapomniałam, ale jeśli Anse Chatelet do mnie nie wróci, pozostanę praktycznie bez pensa przy duszy. Muszę więc zarobić na utrzymanie. Poza tym chcę się dostać do Wintersett Court.

Niezadowolona lady Spurston dopiero po dłuższych namowach dała się przekonać do napisania referencji. Ze zgrozą jednak przyjęła prośbę o wystawienie ich dla osoby o nazwisku Prudence Trask.

- Tego już za wiele! - wybuchnęła. - Nie zamierzam posuwać się do oszustwa. Sereno, dlaczego nie przedstawiś się własnym nazwiskiem?

- Ciociu, świetnie wiesz, że rodzina Stannardów nie przyjmie pod swój dach żadnego Calverta.

- Tym bardziej nie powinnaś się tam udawać. Co ci chodzi po głowie?

Serena uklękła przy babci ciotecznej.

- Czuję pod skórą, że mam ważne zadanie do wykonania

w Winterset Court. Wiem, że mogę uczynić dla tego dziecka więcej niż ktokolwiek inny. Nie mam pojęcia, skąd u mnie to przekonanie, ale tak jest. Jeśli jednak wybiorę się tam jako Serena Calvert, nigdy się do niego nie zbliżę. Pomóż mi, proszę! Okazałaś mi wiele serca, ale i tak wiem, że w skrytości ducha tęsknisz za ciszą i spokojem.

Lady Spurston namyślała się przez cały dzień, aż na koniec zgodziła się napisać Prudence Trask stosowne referencje.

- Sereno, postępuję wbrew sobie i tylko na twoje wyraźne nalegania. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. Co zrobisz, kiedy powróci lord Winterset?

- Zamierzam wcześniej stamtąd odejść. Trzy miesiące to sporo czasu. Przez kwartał można zrobić bardzo dużo.

Rozmowa Sereny z lady Winterset w obecności radcy prawnego przebiegła w dziwny sposób. Dama sprawiała wrażenie chorej, a prawnik po dłuższym namyśle orzekł, że brak doświadczenia Sereny zmusza go do odrzucenia jej kandydatury, pomimo doskonałych referencji.

Wtedy właśnie lady Winterset drgnęła, położyła dłoń na ramieniu radcy i pokiwała głową.

- Lady Winterset, czy życzy sobie pani, abym zatrudnił pannę Trask?

Dama ponownie skinęła głową.

- Doskonale. Panno Trask, uznałem, że pani miła aparycja i ciekawa osobowość są istotniejsze od braku doświadczenia. Do pani będzie należało nadzorowanie domowych obowiązków. .. - Prawnik skupił się na szczegółach, lecz Serena słuchała piąte przez dziesiąte. Lady Winterset najwyraźniej nie interesowała się rozmową, więc czemu się wtrąciła?

Następnego dnia po wprowadzeniu się do Wintersett Court Serena trafiła do pokoju Tony'ego. Gdy podchodziła do leżącego w łóżku chłopca, serce waliło jej jak młotem. Młody człowiek był blady i chudy, lecz ogromnie przypominał Richarda.

- Chce pani zająć miejsce mamy - oświadczył w pierwszych słowach. - Nie potrzebuję pani.

- Tony, nie mogłabym tego zrobić. Mam ci dotrzymywać towarzystwa, i tyle. Takie leżenie w samotności musi być piekielnie nudne.

Odwrócił głowę i Serena dopiero wówczas ujrzała lady Wintersett, siedzącą po drugiej stronie pokoju. Starsza pani badawczo przypatrywała się obojgu. Serena pośpiesznie dygnęła.

- Lady Wintersett, przepraszam - wymamrotała. - Nie zauważyłam pani...

Dama uśmiechnęła się i ruchem dłoni nakazała Serenie kontynuować.

- Tony, wiem, że twoi rodzice przebywali na Karaibach, więc przyniosłam kilka obrazków i książek, poświęconych tym wyspom. Chcesz obejrzeć?

Serena zaczęła powoli, systematycznie zdobywać zaufanie chłopca. Tony nie był już dzieckiem. Niedługo kończył trzynaście lat i szybko dojrzewał. Lekarz lady Wintersett, doktor Galbraith, wkrótce zastąpił dotychczasowego lekarza chłopca. Po rozmowie z medykiem Serena nabrała odwagi i otworzyła wielkie okna w pokoju Tony'ego, aby wpuścić do środka trochę słońca i świeżego powietrza, a także skłonić go do ruchu. Wspólnie z podopiecznym wykonywała zalecone przez lekarza ćwiczenia i nagradzała go smakołykami, jeśli naprawdę się

starał. Któregoś dnia lady Winterset odwiedziła wnuka, przynosząc mu szczeniaka, suczkę Pandorę, nazwaną tym imieniem, „bo pakowała się we wszelkie możliwe kłopoty”. Piesek z miejsca zawładnął sercem młodzieńca, który dla niego był gotów ćwiczyć najintensywniej, jak potrafił.

Serena opowiadała mu o swoim bracie Richardzie, który robił wszystko, aby napytać sobie biedy: spadał z drzew, utykał w jaskiniach i ogólnie łobuzował. Chłopiec z zapartym tchem słuchał historii, które z czasem zmieniły się niemalże w sagę pełną prawdziwych i zmyślonych zdarzeń. Serena zabierała Tony'ego na dwór i tam bawiła się z nim oraz z psem na trawniku, najczęściej w rzucanie i łapanie piłek. Przez cały czas towarzyszyła im lady Winterset, obserwując rozba-wione towarzystwo i niekiedy, a nawet często, uśmiechając się pogodnie.

Rzekoma panna Prudence czekała na odpowiednią chwilę, aby uświadomić Tony'emu, że potrafi on zrobić znacznie więcej, niż mu się wydaje. Dlatego też demonstrowała, jak dobrze byłoby wstać z wózka. Zawczasu porozmawiała z doktorem Galbraithem na temat inwalidztwa chłopca i usłyszała, że dziecko zaczęło chodzić w normalnym wieku i czyniło zadowalające postępy.

- Biedaczysko, potem zachorował. Nie pamiętam na co - na odrę, ospę wietrzną lub coś podobnego - i pojawiły się komplikacje. Pani Stannard zaczęła go traktować jak inwalidę i w rezultacie odechciało mu się chodzić. Gdy sprzeciwiłem się takiemu postępowaniu, zwolniła mnie i zatrudniła innego lekarza. To straszne, ile szkód może narobić nadgorliwa matka.

Któregoś dnia Serena rzuciła piłką zbyt wysoko. Tony się

wyprostował na ławce, na której siedział, zrozumiał, że nie sięgnie do piłki i wstał, aby ją chwycić. Następnie znieruchomiał w pozycji stojącej.

- Panno Trask? - odezwał się niepewnie.

Serena miała ochotę tańczyć i śpiewać, lecz powstrzymała radość.

-Tak?

- Ja... stoję! - W tej samej chwili Tony nagle opadł z powrotem na ławkę.

- Cóż w tym dziwnego? Ludzie robią to bezustannie.

- Ale ja nie.

- Ależ tak. Widziałam cię. Spróbuj raz jeszcze. Łap! - Znieznacka rzuciła piłkę, ponownie za wysoko.

Tony bez namysłu zerwał się z miejsca. Nie udało mu się chwycić piłki, bo rozentuzjasmowana Serena cisnęła ją za bardzo w bok, ale chłopak uśmiechnął się szeroko, uświadomiwszy sobie, co zrobił.

- Masz ochotę na mały spacer? Będę cię asekurować.

Tony Stannard ruszył ku niej, krok po kroku, chwiejnie, ale konsekwentnie. W pewnej chwili potknął się i Serena musiała go podtrzymać.

- Na dzisiaj dość - orzekła. - Wracamy do domu.

Pomagając mu usiąść na wózku, zauważyła w jednym z okien sylwetkę lady Winterset. Pomachała jej przyjaźnie, a starsza pani uniosła dłoń. Tego wieczoru do kolacji podano szampana.

Następnego ranka Serena zawiozła Tony'ego do nieużywanej stajni.

- Tony, pozwól, że ci kogoś przedstawię. Parks chciałby pokazać ci dwa wynalazki. Parks, oto panicz Tony. Zademonstruj mu swoje dzieła.

Na ziemi leżały dwie konstrukcje: drewniana rama oraz pokraczne siodło. Tony obejrzał je w milczeniu.

- Jedno można zarzucić koniowi na grzbiet - zdecydował.

- Ale po co są te pręty z boku?

- Aby cię podtrzymywać, paniczu Tony. To specjalne siodło na kuca. - Parks przyprowadził małego, jabłkowego konia. - Takiego jak ten.

- Dla mnie?! - wykrzyknął wniebowzięty Tony. - Mogę jeździć konno? Och, panno Trask!

Serena tylko się zaśmiała.

- Wypróbuj siodło - zachęciła go. - Potem dosiądziesz kuca. Jeśli Parks nie będzie miał zastrzeżeń, zrobisz rundkę dookoła podwórza. Ale najpierw przyjrzyj się tej konstrukcji. - Ustawiła przed sobą ramę i zrobiła kilka kroków. Tony zorientował się, że ciężar jej ciała spoczywa na rusztowaniu, dzięki czemu nogi mogą swobodnie się poruszać. - To chodzik Parksa. Podsunęłam mu pomysł, a on wykonał projekt i konstrukcję. Moim zdaniem, należą mu się podziękowania. Takiej konstrukcji nie da się zbudować w jeden dzień.

Tony nieco pośpiesznie wyraził wdzięczność, gdyż nie odrywał wzroku od kuca. Już po kilku minutach siedział w nietypowym siodle, solidnie umocowanym na grzbiecie konia. Parks ostrożnie wyprowadził zwierzę na dwór i kilka razy obszedł z nim podwórze. Gdy jednak wymownie popatrzył na Serenę, ta oznajmiła, że na dziś wystarczy. Tony gwałtownie zaprotestował.

- Nie jestem zmęczony! Naprawdę! - wykrzyknął, ale Serena była nieugięta.

- Do wszystkiego dojdiesz, ale powoli. Teraz wypróbujesz

chodzik. Kiedy będziesz potrafił należycie korzystać z własnych nóg, nauka konnej jazdy przyjdzie ci znacznie łatwiej.

Mijały tygodnie i zdawało się, że każdy dzień przynosi poprawę kondycji chłopca. Chodzik był początkowo wykorzystywany bezustannie, lecz z czasem mięśnie Tony'ego się wzmocniły i urządzenie przestało być potrzebne. Parks zdemontował także podpory na siodle. Postępy chłopca najwyraźniej korzystnie wpływały także na lady Wintersett, która często wychodziła do ogrodu i niewątpliwie interesowała się poczynaniami domowników.

Lato minęło, jak z bicza strzelił i nastąpiła jesień. Choć poranki stały się chłodne, dni pozostały ciepłe i suche, więc ogród wokół Wintersett Court rozbrzmiewał chłopięcymi okrzykami i pogodnym śmiechem. Po wakacjach powrócił gubernator. Postanowiono, że zajęcia lekcyjne będą odbywały się rankami i późnymi popołudniami, dzięki czemu lwia część dnia chłopiec będzie wykorzystywał na ćwiczenia. Serena regularnie jeździła z Tonym, zawsze w towarzystwie stajennego. Podróżowali tam, dokąd chcieli, choć Serena nigdy nie zabierała podopiecznego na wzgórze. Nie miała ochoty ponownie odwiedzać tego miejsca.

Któregoś październikowego popołudnia dość późno powrócili z przejażdżki. Tony spóźnił się na lekcje. Pośpiesznie wjechali do stajni, gdzie ujrzeli osiodlaną Douce, a przy niej wysokiego, spalonego na brąz dżentelmena.

- Właśnie wybierałem się was szukać - oznajmił na powitanie.

- Stryjek James! - zawołał Tony i byle jak zsunął się z konia.

- Patrz, umiem jeździć konno!

- Widzę, widzę. Gratuluję. Ktoś powinien nauczyć cię sub-

telniejszych elementów tej sztuki, choćby zgrabnego zeskakiwania na ziemię.

Tony nie słuchał. Niezdarnie podbiegł do stryja i oświadczył dumnie:

- Umiem też chodzić!

-Warto było przepłynąć ocean, aby to usłyszeć, drogi chłopcze. Jak się miewasz? - James uśmiechnął się radośnie.

- Właściwie nie musisz mi odpowiadać. Wejdźmy do domu, opowiesz mi wszystko po kolei. Parks!

- Tak, wasza lordowska mość?

- Zajmij się końmi. Tony, idziemy! Panno Trask?

Rozdział trzynasty

Już w domu Serena przeprosiła i ruszyła ku schodom.

- Panno Trask!

Przystanęła i powoli się odwróciła.

- Dokąd pani zmierza? Miałem nadzieję, że pani do nas dołączy.

- Muszę się przebrać, lordzie Wintersett. Lady Wintersett z pewnością nie życzyłaby sobie, żebym w takim stanie pojawiła się w salonie.

- Doskonale. Przez chwilę obawiałem się, że próbuje mnie pani unikać. To zdecydowanie nie przypadłoby mi do gustu... panno Trask.

- Zejdę jak najszybciej, wasza lordowska mość.

Skinął głową i ruszył za bratankiem. Serena była na siebie wściekła za radość, jaką poczuła na widok lorda Wintersetta. Ledwie zdołała się powstrzymać, by nie rzucić mu się w ramiona na powitanie. Kiedy jednak przypomniała sobie słowa, jakie padły przed jego wyjazdem na St. Just, doszła do wniosku, że nie może oczekiwać od Jamesa przyjaznego traktowania. Wyglądał dobrze, najwyraźniej morską podróż mu służyła, ale dostrzegła cień bólu na jego ogorzałej twarzy. No cóż,

nie tylko opłakiwał utraconego brata, odkrył także, że przez tyle lat bardzo się mylił.

Musiała jak najszybciej stąd zniknąć, zwłaszcza że jego obecność miała na nią fatalny wpływ. Zjawił się tak nieoczekiwanie, że zabrakło jej czasu na ucieczkę czy choćby na przygotowanie się do tego spotkania, przypomnienie sobie wszystkiego, co mówił i co zrobił. Nagle zmarszczyła brwi i zamarła. Uświadomiła sobie, że chociaż w stajni lord Wintersett potraktował ją lodowato, nie wydawał się ani odrobinę zaskoczony. Skąd mógł wiedzieć, że zamieszkała w Wintersett Court i podawała się za Prudence Trask?

Niezależnie od tego, co lord Wintersett czuł do Sashy Calvert, odkrył prawdę i musiał być wściekły, że zadomowiła się w jego siedzibie, w dodatku pod fałszywym nazwiskiem. Co sobie pomyśli lady Wintersett, kiedy „panna Trask” zostanie zdemaskowana? Serena myślała o tym z trwogą, gdyż czas spędzony z Tonym sprawił jej wiele radości, a na chłopca miał zbawienny wpływ. Polubiła również milczącą lady Wintersett i przykro jej było, że pracodawczyni wkrótce odkryje, jak bardzo oszukała ją jej towarzyszka. Może syn właśnie w tym momencie wyjawiał matce prawdziwe nazwisko panny Trask? Serena z niechęcią zesłała na dół. Nie miała pojęcia, co ją czeka.

Kiedy weszła do salonu, ujrzała, że lord Wintersett rozmawia z Tonym, a starsza dama odpoczywa. Herbata i przekąski stały na stoliku obok sofy. Był to zwyczajny widok, nic nie wskazywało na to, żeby za chwilę miał rozegrać się dramat.

- Och! Cudotwórczyni we własnej osobie. Prosimy, prosimy! - Lord Wintersett mówił przyjaznym, ale znaczącym to-

nem, niepozostawiającym wątpliwości, że wie, z kim ma do czynienia.

Serena usiadła i zobaczyła, że lady Wintersett uśmiecha się do niej przyjaźnie.

- Tony opisywał mi wasze zajęcia, panno Trask - zaczął lord Wintersett. - Jestem zdumiony jego postępowaniem. Niektóre z pani maszyn wydają się wręcz genialne. Czy... hm, ma pani jakieś szczególne zdolności techniczne?

- Pochlebiamy mi pan - odparła Serena spokojnie. - To Parkowski należy się uznanie za te wynalazki.

- Ale to pani je zaprojektowała! - wykrzyknął Tony.

- Ach, zatem projektantka. To się wydaje bardziej prawdopodobne. Tak czy owak, panno Trask, zasługuje pani na naszą wdzięczność.

Serena pochyliła głowę.

- Chociaż życzylibym sobie, żeby nauczyła pani naszego młodzieńca z nieco większą gracją schodzić z konia - ciągnął James. - W stajni przypominał mi worek kartofli, który spada z wozu.

Serena z uśmiechem popatrzyła na naburmuszoną twarz Tony'ego.

- Nie każdego dnia jego stryj wraca z... Skąd właściwie?

- Panno Trask, przecież pani wie. Mówiłem, że stryjek James jest na Karaibach. Oglądaliśmy mapy, stryjku, znalazłem St Just i pokazałem pannie Trask. To niezbyt duża wyspa, prawda?

Lord Wintersett zerknął na czerwone policzki Sereny.

- Nie jest duża, za to piękna, Tony - odparł. - Anse Chateau to urokliwa posiadłość. No, na ciebie już pora. Musisz się przebrać, a do tego obiecałem panu Gimble'owi, że nie zajmę

ci zbyt dużo czasu. Jutro pogadamy sobie dłużej, teraz wracaj do lekcji.

Tony natychmiast zaczął protestować, ale jego stryj pozostał niewzruszony. Chłopiec z rezygnacją uśmiechnął się do Sereny i wyszedł.

- Do rzeczy, panno... Trask. Zmiana w chłopcu jest niezwykła, jesteście pani naprawdę wdzięczni. - W głosie lorda Wintersetta nadal pobrzmiwała fałszywa nuta.

Serena postanowiła przerwać jego wywody.

- Zostałam zaangażowana tylko tymczasowo. Wspaniale czułam się z Tonym, lecz odnoszę wrażenie, że on mnie już nie potrzebuje, i zrozumie, jeśli zażyczy pan sobie, bym odeszła. - Mówiła rzeczowym tonem, ale wzrokiem błagała go, żeby nie zdradził jej przed swoją matką.

- Pytanie brzmi, czy w obecnych okolicznościach pani wołałaby odejść, panno Trask.

- Ja bym wołała, żeby panna Trask została z nami, James.

Był to głos lady Wintersett. Serena i James popatrzyli na nią ze zdumieniem.

- Co... Co takiego, mamie? - wykrztusił lord Wintersett.

- Chciałabym, żebyś przekonał pannę Trask do pozostania w Wintersett Court. - Uśmiechnęła się kącikiem ust i wstała.

Zanim Serena i James doszli do siebie na tyle, żeby przemówić, wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Jeszcze jeden cud. Najwyraźniej pełno ich w Wintersett, odkąd jest pani z nami. Skoro o tym mowa, Sereno...

- Wiem, co chce pan powiedzieć, i zgadzam się z każdym pańskim słowem. To, co zrobiłam, było okropne i kłamliwe. Jednak ani trochę nie żałuję. A teraz pójdę się spakować.

- Słyszałaś moją matkę. Odezwała się chyba pierwszy raz od dziesięciu lat. Chce, żebyś została.

- To bardzo uprzejmie ze strony lady Wintersett, że się za mną wstawiła, ale skoro pan wrócił, nie czułabym się tu swobodnie. Cieszę się, że pomogłam pańskiemu bratankowi.

- Mojemu bratankowi? Bardzo w to wątpię.

- Pan wie?

James wstał i zaczął spacerować po pokoju.

- Chyba wiem teraz już niemal wszystko. Czas spędzony na St Just okazał się wielce pouczający, choć nie powiem, żeby nie wstrząsnął moim poczuciem własnej wartości. Muszę przyznać, że byłem ślepy. Chyba rozumiem, dlaczego nie mogłaś mi powiedzieć prawdy o Alannie. Czemu jednak w żaden sposób nie próbowałaś mnie ostrzec?

- A uwierzyłby mi pan?

- Zapewne nie. Może i dobrze się stało, że musiałem dowiedzieć się wszystkiego sam. Naturalnie, powinienem był popłynąć na St Just już wieki temu. Zawsze jednak miałem co innego na głowie - śmierć ojca, chorobę matki, Alannę i jej dziecko. Katastrofa za katastrofą. - Usiadł obok niej ze zwieszoną głową. I choć Serena wiedziała, że ani nie pragnął jej współczucia, ani na nie nie zasłużył, wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego ramieniu. James uściśnął jej palce. - Wiele o tym myślałem podczas podróży powrotnej. Jak ci to wytłumaczyć? - Nagle wstał i podszedł do okna, po czym wyjrzał. - Teraz to się wydaje idiotyczne, ale opowieść Alanny brzmiała tak prawdopodobnie, że uwierzyliśmy w nią bez wahania.

- Bo częściowo była prawdziwa. Tylko bohaterowie byli inni.

- Zastąpiła Richarda tobą, a siebie Tonym. - Odwrócił

się i spytał: - Czy twój ojciec nakazał Richardowi opuścić wyspę?

- Tak.

- Alanna kłamała.

- Była zrozpaczona - powiedziała Serena cicho. - Może i zdradziła pańskiego brata, ale została równie paskudnie potraktowana przez mojego.

- To smutna historia, Sereno, i zawstydzona mnie rola, jaką w niej odegrałem. Myślę, że teraz wiem już niemal wszystko. Ostatnie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsca dziś, kiedy po południu chłopiec wszedł do stajni. Przysiągłbym, że był z tobą William.

- William?

- Tak... William Niepokorny, William Blake, William Serena Calvert - nazywaj go, jak zechcesz. Chłopak wygląda dokładnie jak ty, ma tylko inny kolor włosów.

- Richard był ciemnym blondynem, nie brunetem, jak ja. Ojciec zwykł go nazywać lwem. - Serena wzięła głęboki oddech i powiedziała: - Lordzie Winterset...

- Jeszcze niedawno mówiłaś mi po imieniu.

- To był błąd. Co pan proponuje w sprawie Tony'ego?

- A cóż ja mogę zrobić, do diaska?

- Należy wziąć pod uwagę pańską rodzinę. Skoro nie ma pan synów, syn Richarda odziedziczy tytuł Wintersetów. To nie byłoby wskazane.

- Och, nie ma takiego niebezpieczeństwa. Może zainteresuje cię informacja, droga panno Trask, że zamierzam mieć żonę i synów, i to już w niedalekiej przyszłości.

- Zapewne może kupić pan żonę, z tymi pieniędzmi, o których bez przerwy pan gada - oświadczyła cierpko. - Skąd jed-

nak ta pewność, że będzie miał pan dzieci, a już w szczególności synów?

James wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Ależ z ciebie łobuz, Sereno! Muszę przyznać, że o tym nigdy nie pomyślałem. - Nagle spowaźniał i dodał. - Jestem ci winien przeprosiny... Znacznie więcej niż przeprosiny. Jak mógłbym cię skłonić, żebyś zapomniała o tych wszystkich okropieństwach, które wygadywałem i które zrobiłem? Ostatnio, kiedy się spotkaliśmy, przysięgłaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Myślałem, że uciekniesz, kiedy ujrzałaś mnie w stajni. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś to zrobiła.

- Pan też nie wydawał się uszczęśliwiony moim widokiem - powiedziała niechętnie. - Oznajmił pan tylko wyniośle: „Tony, idziemy... Panno Trask?”.

- Zapewniam cię, że nie byłem ani odrobinę wyniosły. Nigdy w życiu aż tak się nie denerwowałem.

- Denerwowałem? Pan?

- Tak, denerwowałem się... Bałem się, że jeśli cokolwiek powiem, znikniesz. Dlatego byłem bardzo ostrożny - i w stajni, i później.

- Ale dlaczego pan się nie zdumiał?

- Dajże spokój, Sereno! Nie obrażaj mojej inteligencji. Kim mogłaby być Prudence Trask? Zapominasz, że wtedy już wiedziałem, iż Tony jest zapewne synem Richarda. Domyśliłem się, że przy nim będziesz. Zapamiętałem Prudence z naszej rozmowy na wzgórzu. No i naturalnie zapamiętałem Traska.

- Jestem zaskoczona pańską doskonałą pamięcią.

- Chyba nie zapomniałem niczego, co ciebie dotyczy. - Serena usiłowała się odwrócić, ale ujął jej ręce i dodał pośpiesznie: - To bez znaczenia. Pytałem, czy mogłabyś mi wybaczyć.

Jeśli nie uważasz mnie za potwora, z pewnością spodziewałaś się tego pytania, Czy przemyślałaś odpowiedź?

- Zastanawiałam się nad tym przez cały czas, kiedy pana nie było. Widziałam, jak destrukcyjny wpływ miało postępowanie Richarda na pańską rodzinę, i dlatego wzięłam po uwagę, że rzutowało także na pańskie postępowanie. Rachunki są chyba wyrównane.

- Ale to ty najbardziej ucierpiałaś, Sereno, chociaż byłaś zupełnie niewinna.

- Nie tylko ja ucierpiałam. A pańska matka? Młody Tony i jego... i pana brat? Nie, myślę, że czas zapomnieć o przeszłości.

- Nie zasłużyłem na taką wyrozumiałość. - Nagle pochylił się i ucałował jej dłonie. Serena natychmiast mu je wyrwała. Była bardzo poruszona. James wstał, zrobił dziwną minę i nagle powiedział: - Przygotowałem dokumenty dotyczące zwrotu Anse Chatelet.

- Nie. Ja... Ja nie chcę zwrotu posiadłości.

- Nie mogę jej zatrzymać!

- Anse Chatelet musi trafić do Tony'ego. Proszę zatrzymać posiadłość dla niego.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. Gdyby Richard żył, odziedziczyłby Anse Chatelet, powinno więc trafić do jego potomka. Ale to musi być prezent od pana. Niezależnie od tego, kto jest jego ojcem, Tony zawsze będzie nosił nazwisko Stannard. Proszę dopilnować, żeby nie zmarnował swojego dziedzictwa.

- Ufasz mi, że to zrobię?

- Tak, ufam. Podobno zawsze był pan uczciwym człowiekiem. A teraz muszę już iść.

- Zostań! Przecież dopiero wróciłem.

- Wiedziałam, że poprosi pan o wybaczenie, i panu wybaczam. Zamierzałam odejść, nim jeszcze pan wrócił.

Zrozumiał, że mówiła poważnie.

- Sereno, wysłuchaj mnie. - W jego głosie słychać było rozdrażnienie. - Rozumiem twoje uczucia.

Serena pokręciła głową.

- Sama tego nie wiem.

Ruszyła do drzwi. James poszedł za nią i ją zatrzymał.

- Czekaj, Sereno! Błagam. - Popatrzyła na niego niechętnie.

- Pozwól mi wytłumaczyć - powiedział szybko. Zaprowadził ją na środek pokoju, gdzie przystanęli, patrząc na siebie. Po dłuższej chwili dodał: - Kiedyś na pewnym wzgórzu byliśmy chyba bliscy całkowitego porozumienia. Jeszcze nigdy w całym moim życiu... Ta przyjaźń była dla mnie bardzo ważna, Sereno.

- Zniszczył pan ją - zauważyła z kamiennym wyrazem twarzy.

- Wiem! Zniszczyłem ją swoimi ślepyimi uprzedzeniami wobec Calvertów. Daj mi jednak szansę, odbuduję ją. Zdołałbym to zrobić, gdybym miał czas, jestem pewien.

- Nie jest pan tamtym człowiekiem ze wzgórza. Mogłam go pokochać - nie, ja go naprawdę kochałam. Zapomniał pan jednak, że znaleźliśmy się w Londynie. Słyszałam, co o panu mówią. - Usiłował przerwać, ale kontynuowała: - Wiedziałam, że to wszystko prawda. Brak panu zrozumienia, współczucia, a ja tego nienawidzę. Przyznaję, że czuliśmy do siebie pociąg. Prawdopodobnie w innych okolicznościach takie uczucie mogłoby przerodzić się w miłość.

- Sereno!

- Widzi pan, i ja sądziłam, że na tamtym wzgórzu odnalazłam swoją drugą połówkę. To było cudowne, nawet o czymś takim nie marzyłam. A wtedy... a wtedy... - Nie mogła dokończyć, że wzburzeniem zaczęła krążyć po pokoju. Zapomniała o formalnościach. W końcu przystanąła i oświadczyła zdecydowanie: - Nie, drugi raz do tego nie dopuszczę. Jeśli zostanę, znów sprawi pan, że będę miała mętlik w głowie.

- A Tony i moja matka?

- Tony da sobie radę. Potrzeba mu towarzystwa mężczyzn, rówieśników... Może powinien iść do szkoły. Jeśli ma zamieszkać na St Just, powinien być wdrożony do dyscypliny, której zawsze brakowało Richardowi.

- A moja matka, Sereno? Ona bez wątpienia potrzebuje cię równie mocno, jak Tony. Myślę, że przy tobie po pewnym czasie całkowicie doszłaby do siebie. - Widział, że Serena nie jest przekonana i ponownie ujął ją za ręce. Kiedy zrobiła krok do tyłu, powiedział błagalnie: - Sereno, nie mogę cię zmusić, żebyś spełniła moje życzenie. Znam cię zbyt dobrze, by próbować cię przekupić. Mogę jedynie odwołać się do twojego rozsądku. Bez Anse Chatelet nie masz domu. Zostań tutaj z moją matką. Będę możliwie często przebywał w Londynie, rzadko będziesz mnie widywała.

Zbladł pod opalenizną, ręce mu drżały. Po raz pierwszy Serenę ogarnęły wątpliwości. Bardzo kusiła ją możliwość pozostania, gdyż niezwykle polubiła lady Wintersett. I choć lady Spurston ofiarowała by jej gościnę, Serena wiedziała, że babka cioteczna będzie szczęśliwsza bez niej. James znowu przemówił.

- Będę w Londynie. Mam tam sporo spraw do załatwienia.

Po prostu bardzo chciałem ujrzeć Prudence Trask, dlatego opuściłem miasto bez zwłoki.

Serena popatrzyła na niego niepewnie. Na co się zdecydować?

- Sereno?

- Och, proszę wybaczyć! Co pan mówił?

- Że wkrótce muszę powrócić do Londynu. Spróbuję wytropić Alannę.

- Czy to rozsądne? - Natychmiast pożałowała tych słów, ale James doskonale ją zrozumiał.

- Czyżbyś wierzyła, podobnie jak ja, że to ona stała za tym spiskiem przeciwko tobie? Czy to nie dobry powód, by ją odszukać?

Serena pokręciła głową.

- Pańska bratowa nie mogła sobie pozwolić na to, żebym zdradziła prawdę. Musiałam zostać skompromitowana.

- I zostałam. Czy Barnet odzywał się do ciebie?

- Odnalazł powóz i chyba rozmawiał ze stangretem. Od niego dostał opisy spiskowców. Jak dotąd jednak nie zdołał odnaleźć lady Banagher. Sądzę, że obecnie Barnet jest w Irlandii.

- Może i Alanna tam jest.

- Moim zdaniem, lepiej by było, gdyby zniknęła - oznajmiła stanowczo Serena. - Nie chce pan chyba, żeby nazwisko Stannardów kojarzyło się z taką sprawą.

- Zrobię, co w mojej mocy, by zachować dyskrecję, ale jeśli publiczne zdyskredytowanie Alanny to jedyny sposób na oczyszczenie twojego nazwiska, nie zawaham się tego uczynić.

Popatrzyła na niego uważnie. Czy powinna mu zdradzić,

że Alanna ma więcej do ukrycia niż tylko spisek przeciwko Serenie Calvert? Gdyby to zrobiła, jeszcze bardziej pragnęłyby odnaleźć kobietę, która zabiła jego brata. Co by się stało z Tonym? Postanowiła na razie milczeć w tej sprawie.

- Dziękuję panu za starania, lordzie Wintersett - oświadczyła. - Dla Lucy to także bardzo wiele znaczy.

- Co do Lucy... Czy widziałaś się z nią, odkąd przybyłaś do Surrey?

- Nie. Doszliśmy do wniosku, że lepiej, byśmy się na razie nie spotykały. Pisze do mnie raz lub dwa razy w tygodniu. Odkąd lady Ambourne wzięła Lucy pod swoje skrzydła, Warnhamowie chcą ogłosić zaręczyny, lecz Lucy odmawia poślubienia Michaela, póki... moja reputacja nie będzie czysta jak łąza. - Próbowała się uśmiechnąć. - Dlatego to takie istotne.

- Nie robisz tego dla siebie?

- Owszem, chciałabym również zostać sprawiedliwie osądzona.

- Dlaczego zatem nie zostaniesz? Zobowiązuję się nie nękać się prośbami powrotu do naszego... naszej przyjaźni. Zresztą, wkrótce wracam do Londynu.

- Wobec tego dobrze, lordzie Wintersett. - Serena odechnęła głęboko. - Zgadzam się zostać na jakiś czas.

Raz jeszcze zdumiała ją gwałtowna przemiana w Jamesie, kiedy się uśmiechnął. Ujął jej twarz w dłonie, po czym pocałował ją delikatnie.

- Tylko po to, by przypieczętować umowę - szepnął. - Tylko po to.

James nie od razu wyjechał z Surrey, ale trzymał się z dala od Sereny. Spędzał czas na spacerach, jeździe konnej i sie-

dzeniu z matką w salonie. Także Tony'emu poświęcał więcej uwagi niż kiedykolwiek wcześniej. Zabierał chłopca na konne przejażdżki, a pewnego popołudnia Serena zauważyła, że uczył go sztuki posługiwania się batem. Dała się przekonać i wspólnie przemierzali na koniach wiejskie dróżki.

Każdego wieczoru James i Serena spotykali się na kolacji, ale zawsze w towarzystwie lady Winterset. W jej obecności Serena zmuszona była odgrywać rolę panny Trask. James z rozbawieniem obserwował te wysiłki - musiała poskramiać naturalny temperament. Był nią coraz bardziej oczarowany. Z dnia na dzień przekładał wyjazd do Londynu, chociaż był on coraz pilniejszy przede wszystkim ze względu na sprawę najwyższej wagi - przywrócenie Serenie dobrego imienia. Potwarzał sobie, że lepiej będzie, jeśli opuści Winterset Court, nim Serena zorientuje się, że ich przyjaźń ewoluowała. Mogłaby uciec, gdyby uświadomiła sobie, że znowu się do siebie zbliżyli. Zależało mu na tym, by została w posiadłości, gdzie mógł przynajmniej widywać ją od czasu do czasu.

W końcu sprawy same się rozstrzygnęły. Barnet wysłał informację, że po długiej nieobecności lady Banagher znowu zawitała do Londynu. Znienacka opuściła Dublin, gdzie mieszkała u niejakiego kapitana Fergusa O'Keefe'a, i statkiem pocztowym wyruszyła do Holyhead. Barnet był pewien, że zmierzała na Portland Place. James wyjechał z Surrey tego samego dnia, obiecawszy Serenie, że wkrótce dowie się prawdy od Amelii Banagher.

Serena była zdumiona smutkiem, jaki poczuła na wieść, że James wraca do Londynu. Jego towarzystwo znowu zaczęło sprawiać jej przyjemność, nagle zdała sobie spr-

wę, że ma o nim inne zdanie niż jeszcze niedawno. Ani na chwilę nie zapomniała, że potrafi być zimnym i odpychającym człowiekiem, ale nie mogła nie podziwiać jego łagodności i dobroci dla matki oraz szczerego zainteresowania Tonym. Wieczorne posiłki często przeciągały się z powodu długich dyskusji i Serena odkryła, że bawi się w trakcie tych pogawędek znacznie lepiej, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać. Czasem z trudem przypominała sobie, że jest tutaj tylko wynajętą pracownicą, i niejedną raz dostrzegła, że lady Winterset patrzy na nią z przyjacielskim rozbawieniem, słuchając dowcipnych i pełnych ironii przekomarzań między nią a swoim synem.

Po wyjeździe Jamesa do Londynu Serena poczuła się zagubiona i niespokojna. Padało, więc wędrowała po całym domu, nie mogąc się na niczym skoncentrować. Właśnie wyglądała przez okno w salonie, kiedy lady Winterset niespodziewanie powiedziała:

- Tęskni pani za moim synem, panno Calvert?

- Ależ, skąd, lady Winterset! - Serena odwróciła się błyskawicznie. - Tylko ten deszcz... Jak mnie pani nazwała?

Lady Winterset uśmiechnęła się.

- Pora, żebyśmy porozmawiały. Proszę tu podejść i usiąść.

- Serena bez słowa sprzeciwu usiadła obok sędziwej damy. - James wiele mi opowiedział po powrocie z St Just. Ucierpiała pani przez kłamstwa Alanny i chciałabym zapewnić, że pani współczuję. Winię siebie za to, co się stało.

- Dlaczego?

- Nie powinnam była ślepo wierzyć w jej słowa. W rzeczy samej, wyczuwałam, że w tej historii coś się nie zgadza. Choć spędziłam z dzieckiem mnóstwo czasu, nigdy nie dostrzegłam

w nim swojego syna. Potem zjawiała się pani, i gdy tylko zobaczyłam panią w towarzystwie Tony'ego, zaczęłam rozumieć.

- Pewnie jest pani zła, że tak długo panią zwodziłam. Ja... Ja naprawdę nie chciałam przysporzyć pani cierpień, ale tylko w ten sposób mogłam być w pobliżu bratanka. Czy mi pani kiedykolwiek wybaczy, lady Wintersett?

- Bez trudu, moja droga. Zresztą, nigdy mnie pani nie zwodziła, gdyż od samego początku wiedziałam, że mam do czynienia z Sereną Calvert. Tak się złożyło, że spacerowałam nieopodal w dniu, w którym rozmawiała pani z Alanną, jeszcze przed przyjazdem tutaj. Podśledzałam waszą rozmowę.

- Podśledzała pani? Całą? - Serena nagle wpadła w po płoch. - Nawet...

- Nawet fragment o tym, że Alanna Cashel zastrzeliła mojego syna? - dokończyła lady Wintersett z goryczą w głosie. - Tak.

- I nikomu pani nie powiedziała?

- Chciałam, by Alanna na zawsze zniknęła z naszego życia, i obawiałam się, że jeśli coś powiem lub zrobię, tak się nie stanie. Teraz jest lepiej, znacznie lepiej, i modlę się tylko o to, by James nie zdołał jej odnaleźć.

Serena popatrzyła na nią z zadumą.

- Nie chce pani, by Alanna zapłaciła za swoje występki?

- A cóż to da? Nie wskrzesi to zmarłych, a żywym może przysporzyć jeszcze więcej cierpień. Z biegiem lat zdołałam pokochać dziecko Alanny. Nadal je kocham, chociaż teraz wiem, że nigdy nie było moim prawdziwym wnukiem. W rzeczy samej, w ostatnich miesiącach ja i Tony przebyliśmy długą drogę. I to dzięki pani.

- Jak to, lady Wintersett?

- Przecież to pani nauczyła Tony'ego, że jeśli chce w pełni korzystać z życia, musi wykazać się odwagą i determinacją. Obserwując was, myślałam o własnym życiu i dostrzegłam, jak wiele zmarnowałam. Każdego wieczoru, gdy Tony opowiada mi o tym, jak spędził dzień, i słyszę, jak cenna jest dla niego każda minuta, wstydę się swojego tchórzostwa. Pani to sprawiła - pani odmieniła mnie i jego. Mam u pani olbrzymi dług wdzięczności.

- Lady Winterset, proszę mi nie dziękować. Cokolwiek zrobiłam, zrobiłam to z miłości do Tony'ego. Nie zasługuję na pani podziękowania. Usiłowałam panią zwiść. Poza tym odebrałam pani ostatnie ogniwo łączące panią ze zmarłym synem.

Lady Winterset uśmiechnęła się.

- O dziwo, teraz, kiedy wiem, że Tony nie jest moim wnukiem, bardziej dostrzegam w nim ducha Anthony'ego. - Zamilkła, lecz po chwili ciągnęła: - Wcałe nie odebrała mi pani mojego Tony'ego, wręcz przeciwnie, zwróciła mi go pani. Widzę, że to panią zdumiewa, jednak da się łatwo wytłumaczyć. Przed pani przybyciem nie potrafiłam pojąć przyczyn śmierci Tony'ego. Tego, że odepchnął żonę, dziecko i nas wszystkich, i targnął się na swoje życie. Nie mogłam znieść myśli, że tak bardzo go zawiodłam, więc wolałam uciec do swojego świata. Teraz wiem, że nie popełnił samobójstwa, i po raz pierwszy od lat jestem pogodzona z losem. To również zawdzięczam właśnie pani. Pewnie kiedyś w przyszłości młody Tony będzie musiał poznać prawdę o swoich rodzinach. Słyszałam, że ma dostać w spadku Anse Chatelet.

- Bardziej należy się jemu niż mnie - odparła Serena.

- Anse Chatelet nie będzie pani potrzebne.

Serena miała ją zapytać, co to ma znaczyć, kiedy nagle zjawił się służący z listem do lorda Wintersetta od pana Barneta.

- Wiem, że jego lordowska mość już wyjechał, ale napisało tu „Pilne”. Na wypadek nieobecności lorda Wintersetta list został również zaadresowany do panny Trask.

Serena przeprosiła lady Wintersett i otworzyła list. Pismo wskazywało na wielki pośpiech. Jeden akapit natychmiast przykuł jej uwagę.

Od ostatniego raportu dowiedziałem się znacznie więcej. Po pierwsze, lady Banagher nie przebywa już na Portland Place. Pojechała wraz z kapitanem O'Keefe'em do Horton Wood House nieopodal Epsom Common. Po drugie, informacje z Irlandii wskazują na to, że O'Keefe to człowiek, którego szukamy w związku z naszą sprawą. Jest niezwykle niebezpieczny. Muszę Pana ostrzec, że należy podchodzić do niego z wielką ostrożnością. Opuścił Dublin, by uniknąć aresztowania za morderstwo. Dalsze informacje przekażę po powrocie z Liverpoolu, gdzie mam spotkanie z kimś, kto wie znacznie więcej o kapitanie O'Keefie. Tymczasem błagam Pana o zachowanie ostrożności.

- O, nie! - Serena zerwała się na równe nogi. - O mój Boże!
- Co takiego, panno Calvert?
- James jest w olbrzymim niebezpieczeństwie! Muszę natychmiast do niego jechać!
- Co pani wygaduje? Dlaczego?
- Proszę przeczytać ten list, lady Wintersett. Barnet ostrzega nas przed kapitanem O'Keefe'em, a James z pewnością jest teraz w drodze na spotkanie z nim. Nie znalazł tej Banagher

na Portland Place i z pewnością podążył za nią do Epsom. Lady Winterset, proszę mi wybaczyć, muszę go ostrzec!

Serena pobiegła na górę i zaczęła gorączkowo przerzucać ubrania. Na szczęście znalazła chłopięcy strój, który niegdyś tak chętnie nosiła. W duchu podziękowała sobie za sentymentalizm, dzięki któremu zachowała strój. Włożyła go bez wahania, odszukała pistolet i zbiegła na dół. Lady Winterset była tak poruszona, że nie zwróciła uwagi na niekonwencjonalny strój panny Calvert.

- Proszę na siebie uważać! - zawołała. - I pani może znaleźć się w niebezpieczeństwie!

Pisnęła na widok pistoletu w rękę Sereny.

.- Nie, dopóki mam to ze sobą, zapewniam panią!

Po krótkiej konsultacji z Parksem, który dobrze znał okolice Epsom, wspólnie ruszyli w tamtym kierunku. Padał ulewny deszcz, choć czasem zza chmur przedzierał księżyc. Serena nie zwracała uwagi na aurę - myślała tylko o tym, by dotrzeć do Epsom przed Jamesem.

Rozdział czternasty

Po przybyciu do Londynu James zastał dom na Portland Place zamknięty na cztery spusty. Przeklinając pod nosem Barneta za nieścisle informacje, odwiedził londyńskie kluby w poszukiwaniu wieści o Amelii Banagher. Wreszcie udało mu się u White'a. Harry Birtles akurat rozpoczął pijackie narzekania na niestałość kobiet.

- Na przykład ta piękna Amelia - mamrotał. - Nic jej nie wystarcza - wstążki, kwiaty, nawet biżu... biżuteria. I jak mi się odpłaca? - Rozejrzył się nieprzytomnie wokół siebie.

- Jak ci się odpłaca, mój stary? - spytał współczująco James i poprowadził Birtlesa do stolika obok. - Napij się jeszcze wina. . . .

Sir Harry z ochotą znów zatopił smutki w winie. Nagle odwrócił się i chwycił Jamesa za ramię, po czym przyjrzał mu się uważnie.

- Wintersett? - spytał. - Miło, że mnie wysłuchasz, druhu. Wiesz, przecież, jaka ona jest.

- Co zrobiła tym razem?

- Uciekła! Dom na Portland Place zamknięty na głucho, żadnych służących, żadnego liściku do mnie. A przecież wró-

ciła raptem dwa dni temu. - Zrobił chytrą minę. - Ale ja wiem, dokąd zbiegła. Mnie nie wystawi do wiatru.

- Dokąd?

- Do domu Tyrrella w Epsom. Bóg wie po co! On siedzi we Francji, to wiem na pewno. - Sir Harry wyszeptał do ucha Jamesa: - Moim zdaniem, ona kogoś tam ma. Bo niby po co jechałaby do tego zapomnianego przez Boga miejsca? Jest z kimś, Winterset. - Spojrzał melancholijnie na rozmówcę, czknał, po czym osunął się pod stół. James go tam zostawił.

Pogrążony w rozmyślaniach powrócił na Upper Brook Street. Tyrrell jest kuzynem Amelii, całkiem prawdopodobne, że jeśli chciała się ukryć, pojechała do Horton Wood House. Nie miał jednak pojęcia, jak długo zamierzała tam zabawić. Być może już jutro wyruszy w dalszą drogę. Doszedł do wniosku, że chociaż jest bardzo późno, musi się z nią spotkać jeszcze dzisiaj. Szybko zmienił strój, napisał liścik do Barneta i wyruszył Brighton Road do Epsom.

Poruszał się całkiem szybko, mimo niesprzyjającej pogody, i dzięki temu, że droga miała niezłą nawierzchnię, znalazł się pod drzwiami Horton Wood House niedługo po siódmej. Dawniej odwiedzał Tyrrella wraz z Amelią, dlatego odźwierny bez trudu go rozpoznał.

- Pilnie pragnę się widzieć z lady Banagher, Parfitt - oświadczył James. - Powtórz jej, proszę, że tu jestem.

Został wprowadzony do niewielkiego pomieszczenia obok holu i tam kazano mu czekać. Po kilku minutach odźwierny powrócił i zaprowadził Jamesa do pięknie umeblowanego salonu na piętrze. Lady Banagher z gracją upozowała się na sofie przed kominkiem.

- James! Cóż za miła i niespodziewana wizyta. Doprawdy,

jesteś jeszcze przystojniejszy niż kiedyś. Usiądź, proszę. Czy już jadłeś kolację? - Amelia wydawała się odprężona, lecz mówiła nieco zbyt wysokim głosem, a jej dłoń była mocno zacisnięta na wachlarzu, którym osłaniała twarz.

- Dziękuję ci bardzo, nie zamierzam tracić czasu na uprzejme pogaduszki o niczym - odparł James. - Przybyłem, by ci oznajmić, że wiem wszystko o spisku Alanny, mającym na celu zdyskredytowanie Sereny Calvert. To ona cię przekupiła, prawda? Ciebie i kapitana O'Keefe a.

Amelia zbladła i wycedziła z wystudiowanym spokojem:

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Dlaczego zawsze podejrzewasz mnie o najgorsze? - Z widocznym wysiłkiem ściszyła głos i dodała, przybierając żałosny wyraz twarzy: - Kiedyś tak nie było.

- Daruj sobie tę kokieterię. Wiem, skąd się wziął fałszywy powóz Ambourne'ów. Znam nazwiska twoich wynajętych współników. Orientuję się, jaką rolę odegrałaś - czy może powinienem powiedzieć, jakie role, Betty? A jeśli nie postąpisz zgodnie z moją sugestią, wymiar sprawiedliwości pozna wszystkie szczegóły.

- Przecież mnie zrujnujesz! - wykrzyknęła, nie kryjąc już lęku.

- Tak jak ty usiłowałaś zrujnować reputację panny Calvert. Obawiam się jednak, że w twoim wypadku skończy się to więzieniem.

Amelia natychmiast zaczęła się tłumaczyć, jednak niewzruszony James zaczekał, aż zakończy swoją tyradę.

- Jesteś gotowa wysłuchać mojej sugestii? - zapytał.

- Co masz do powiedzenia?

- Spiszesz pełne zeznanie, całkowicie oczyścisz dobre imię

panny Calvert. Twój list trafi do rąk najważniejszych osób z towarzystwa, w tym do sir Johna i lady Taplowów oraz do sir Harry'ego Birtlesa. Kiedy to przeczytają i gdy osobiście potwierdzisz te zeznania, pomogę ci uciec do Irlandii lub na kontynent, jak będziesz wolała.

- To bardzo przyzwoita propozycja, skarbie, ale nie mieszaj mnie do tego, z łaski swojej. Mogłoby to zaszkodzić mojemu zdrowiu albo twojemu, jeśli wymienisz moje nazwisko w zeznaniu.

Do pokoju wszedł wysoki, ogorzały mężczyzna. James patrzył na niego lodowato.

- Fergus O'Keefe?

- Już pan wie, kim jestem? - Kapitan z zadumą popatrzył na Amelię. Zadrżała i zakrzyknęła:

- To nie ja, Fergusie! Wiedział, nim tu przybył. Nic mu nie powiedziałam.

O'Keefe popatrzył na Jamesa:

- Nie lubię, kiedy ktoś bez potrzeby wymienia moje nazwisko, lordzie Winterset.

- A to dlaczego? Jest aż tak wartościowe? - James z pogardą wykrzywił usta. - Nazwisko dżentelmena, który bierze pieniądze, żeby niesłusznie i niesprawiedliwie okryć hańbą damę? Nazwisko dzielnego wojaka, który walczy z kobietami? Zapewniam pana, że nie mam ochoty wymieniać nazwiska takiego tchórza. Po załatwieniu sprawy panny Calvert z chęcią zapomnę pańskie nazwisko i pana osobę. Jedno i drugie budzi we mnie obrzydzenie.

- James! Przestań go denerwować! - wykrzyknęła Amelia.
- Fergusie?

O'Keefe ją jednak zignorował.

- Pożałujesz tych uwag, Wintersett - powiedział cicho.

- Nie ma tu prawdziwego mężczyzny, który by mnie zmusił do ich wycofania, O'Keefe. Z pewnością ty nim nie jesteś.

- Nie byłbym taki pewien. Czy nie okazałem się dość męski, by przekonać pannę Calvert do siebie tamtej nocy? Nie mówiła ci, jak błagała mnie o miłość? Czy sir John i jego żona nie widzieli, jak biegnie mnie powitać, gdy do niej wróciłem? Ta historia zrobi wrażenie w sądzie, prawda? Niezależnie od tego, czy mi uwierzą, czy nie, honor tej damy będzie splamiony raz na zawsze.

James wyciągnął pistolet.

- Właśnie podpisałeś wyrok śmierci na siebie, O'Keefe. Niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę ci rozpowiadać takie rzeczy publicznie. I niech mnie diabli, jeśli puszczą takiego szubrawca wolno.

Wyciągnął drugi pistolet, identyczny jak pierwszy. O'Keefe popatrzył na broń i wybuchnął śmiechem.

- Zatem pojedynek? Taki dżentelmen zniża się do pojedyńku z człowiekiem mojego pokroju. Cóż za zaszczyt, milordzie!

- Nie poczytuj sobie tego za zaszczyt, O'Keefe. To jedyny sposób, żebym mógł cię zabić zgodnie z literą prawa. Łap!

O'Keefe schwycił pistolet i przyjrzał mu się uważnie, po czym cofnął się o parę kroków.

- Przecież i ja mogę pana zabić, lordzie Wintersett.

- Ależ spróbuj, człowieku. A może potrafisz walczyć tylko z kobietami?

Kiedy O'Keefe z wściekłą miną odwracał się ku Jamesowi, drzwi z boku pomieszczenia nagle się otworzyły i wybiegła z nich jakaś kobieta z potarganymi włosami i w podartej sukni.

- James! - Ruszyła prosto ku niemu. - James, Bogu niech będą dzięki! Pomóż mi, błagam!

Jednak wściekły O'Keefe nie czekał na odliczanie, tylko bez zastanowienia wypalił. Kobieta, która znalazła się na linii ognia, zachwiała się, potknęła i upadła.

- Alanno! - James dobiegł do niej i przyklęknął, odrzucając pistolet. Oddał fragment halki bratowej i przyłożył do jej piersi, na której wykwitła plama krwi. - Pomóż, Amelio!
- krzyknął niecierpliwie.

Właśnie te słowa usłyszała biegnąca po schodach Serena, za którą podążał Parks. Słyszała rozpacz w głosie Jamesa, więc mocniej ścisnęła pistolet w dłoni i wpadła do salonu. Tam powitała ją przerażająca scena - Alanna Stannard, cała we krwi, leżała na podłodze, a James klęczał obok niej, desperacko usiłując zatamować krwotok. W pobliżu nigdzie nie było Amelii Bannagher. Nagle jakiś ruch z prawej strony przyciągnął uwagę Sereny. Mężczyzna, który wywiózł ją do gospody, ostrożnie przesunął się w kierunku pistoletu leżącego na podłodze nieopodal Jamesa. W pewnym momencie chwycił go i odskoczył.

- No, mój bohaterze! - wykrzyknął. - Teraz zobaczymy, kto zginie! - Uniósł broń.

James popatrzył na niego. Jego twarz przypominała maskę.

- Alanna umiera - powiedział - i to ty ją zabiłeś.

O'Keefe ledwie raczył rzucić okiem na leżącą kobietę.

- Amelia jest warta kilku takich ja ta - oświadczył z pogardą.
- Zaraz twoja Alanna będzie miała towarzystwo. - Uśmiechnął się niegodziwie.

James ominął go wzrokiem i popatrzył na stojącą w drzwiach Serenę. Nie zmieniając wyrazu twarzy, oświadczył:

- Każde towarzystwo jest lepsze niż twoje, O'Keefe. Nawet towarzystwo przebrzydłej ropuchy.

O'Keefe zacisnął palec na spuście i w tym samym momencie pistolet Sereny wypalił. Rozległ się wrzask, gdy kapitan, zataczając się, wypadł z pokoju. Krew spływała z jego bezwładnego ramienia, pistolet leżał na podłodze.

- Zajmij się nim, Parks, z łaski swojej - powiedziała Serena. Podniosła broń i wręczyła ją swojemu towarzyszowi. Potem podbiegła do Jamesa i uklękła obok niego. Alanna była upiornie blada. Ledwie oddychała, jej puls nie dawało się już wyczuć.

- James - szepnęła. - Muszę... Ci... Coś... Powiedzieć. - Wyznać... Zastrzeliłam Tony'ego... Zastrzeliłam go.

- Nic nie mów, Alanno. Sprowadzimy chirurga.

- Nie... nie ma czasu. Chcę, żebyś... mi... wybaczył. Błagam...

James pochylił głowę i ucałował policzek bratowej.

- Oczywiście, Alanno.

- Życie za... życie, James. - Jej głos odpłynął, po czym nagle powiedziała głośno: - Anthony?

- Będzie z nami bezpieczny, obiecuję ci to.

Alanna zamknęła oczy, po czym znów je otworzyła i spojrzała błagalnie na Serenę. Nie mogła już mówić. Serena wzięła ją za rękę.

- Anthony dostanie Anse Chatelet, Alanno - powiedziała. - Ma do niego prawo. Obie kochamy syna Richarda. Będę o tym pamiętała, a o reszcie zapomnę.

James wstał i pomógł podnieść się Serenie. Miał zmęczoną, ściągniętą twarz. Mimo wyczerpania Serena zapragnęła przy-

tulić go i pocieszyć. Nie zrobiła tego jednak, patrzyła tylko na Alannę. W końcu James przemówił:

- Życie za życie, powiedziała. Biedna Alanna, żyła z tym przez tak wiele lat! I na koniec ocaliła mi życie - oświadczył grobowym głosem. Spojrzał na Serenę: - Ty też.

Zbierało się jej na płacz, ale opanowała się i powiedziała ze złością:

- Właściwie to byłam zdecydowana dać mu cię zastrzelić. Czemu znów nazwałeś mnie przebrzydłą ropuchą?

- Pomyślałem, że to cię rozzłości. O'Keefe nie miał pojęcia, do czego zdolna jest bezbronna kobieta. - Na widok zdumionej miny Sereny tylko się uśmiechnął, a potem dodał: - Musisz jak najszybciej opuścić ten dom. Parfitt cię wpuścił? Zajmę się nim, ale nie powinien widzieć cię tu ani chirurg, ani nikt inny. Parks pochodzi z okolicy, na pewno znajdzie ci jakiś nocleg. - Chciała zaprotestować, ale nie dopuścił jej do głosu. - Nie mogę z tobą jechać, choć bardzo bym tego pragnął. Muszę zająć się nieszczęsną Alanną i całą resztą. Co się stało z kapitanem?

- Parks zabrał go na dół. Wątpię, czy poważnie go raniłam, ale może powinnam to sprawdzić?

- Pod żadnym pozorem! Musisz trzymać się na uboczu. Ja sprawdzę, co z nim, i dam ci znać. Tymczasem chodź ze mną.

Powoli zeszli na dół, a James ukrył Serenę w pomieszczeniu przy holu. Wrócił do niej po kilku minutach i poinformował, że Parfitt sprowadził kilku chłopców stajennych do pilnowania złoczyńcy, chociaż właściwie nie było to potrzebne. Kapitan stracił sporo krwi, leżał na ławie w kuchni, z zamkniętymi oczami. W oczekiwaniu na chirurga i stróża prawa

mamrotał coś o chłopaku w drzwiach. Amelia zniknęła, więc kilku ludzi udało się na jej poszukiwania. Przykazałem Parksowi, żeby zjawił się tutaj za kilka minut. Już wie, dokąd ma cię zabrać. Z nim będziesz bezpieczna, Sereno.

- A ty?

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby posprzątać ten bałagan. Liczę na to, że zdołam wyjaśnić sytuację władzom, nie zdradzając kilku detali. Co za szczęście, że przebrałaś się w chłopięcy strój. Poza Parksem i mną nikt nie ma pojęcia, kim jesteś, więc nawet gdyby ktoś słuchał mamrotania kapitana, chłopak nigdy nie zostanie odnaleziony. Jutro Parks odwiezie cię do Winterset Court, ja zjawię się tam najszybciej, jak się da. Zaczekasz na mnie? - Patrzył tak niespokojnie, że znowu zapragnęła go pocieszyć, i tym razem nie oparła się pokusie.

- Obiecuję.

Zamknął ją w ramionach i pocałował. Serena się nie opierała.

- Przepraszam - powiedział James, gdy się odsunął. - Przepraszam, Sereno. Błagam, zechciej mi wybaczyć. Już po raz drugi nie wiem, co mnie naszło.

- Wszystko rozumiem, James. - Z uśmiechem pogłaskała go po policzku.

Ponownie chwycił ją w objęcia. Tym razem jednak tylko ją przytulał, czerpiąc pociechę z bliskości. W takiej pozycji zastał ich Parks. Odczekał chwilę i dyskretnie chrząknął.

- Proszę wybaczyć, wasza lordowska mość. Gdyby ktoś państwa zobaczył, mógłby doznać szoku - w końcu panna Calvert ubrana jest w męski strój. Hm... Chirurg jest już pod domem. Lada chwila się tu zjawi.

James ucałował dłoń Sereny i nakazał Parksowi zaopiekować się panną Calvert.

Minał niemal miesiąc, nim James zdołał przyjechać do Winterset Court na dłużej niż jedną noc. Codziennie jednak wysyłał wiadomości do matki i Sereny. Po załatwieniu formalności związanych ze śmiercią Alanny doszedł do wniosku, że powinna zostać pochowana nieopodal swojego domu rodzinnego w Irlandii. Grób jej męża znajdował się na Karaibach, a nikt z rodziny nie chciał, by trafiła do rodzinnego grobowca Wintersetów. James przyjechał po Tony'ego i obaj odbyli smutną podróż do Irlandii.

W oczekiwaniu na powrót Jamesa Serena często odwiedzała Lucy i hrabinę, ale zawsze po kilku dniach wracała do Winterset Court. Lucy zdradziła jej, że złapano Amelię Banagher, i chociaż natychmiast wyparła się ona swojej obecności przy śmierci Alanny Stannard, publicznie przyznała, że pomogła w spisku przeciwko pannie Calvert. Być może tylko po to, by ocalić własną skórę, przysięgła, że Fergus O'Keefe spędził noc z nią, a u Sereny zjawił się dopiero rano, by odegrać swoją rolę na oczach sir Johna Taplowa i pozostałych.

Nowiny o niegodziwym postępku kapitana rozeszły się po zaszokowanym Londynie. Reputacja Sereny została uratowana. Towarzystwo chętnie przyjęło z powrotem pannę Calvert, a Warnhamowie bez zwłoki przystąpili do omawiania planów związanych ze ślubem Lucy. Serena obiecała jednak, że będzie w Winterset Court, kiedy powróci James, i zamierzała dotrzymać obietnicy.

Jakiś czas temu doszła do wniosku, że nie mogłaby z nim żyć. Czy mogła jednak żyć bez niego? Wybrała nieco tchórzliwe roz-

wiązanie i obiecała sobie, że na te pytania poszuka odpowiedzi dopiero wtedy, gdy przyszłość Lucy będzie zapewniona.

W końcu James i Tony zjawili się w Winterset Court. Ziemię pokrywał pierwszy w tym roku śnieg. Po ich powrocie atmosfera była tak radosna, że pocałunek, który James złożył na policzku Sereny, wydawał się całkiem naturalny.

Zmieszana i zarazem rozbawiona wyśliznęła się z jego objęć i powiedziała:

- Spójrzcie tylko na ten widok. Dla was śnieg to pewnie nic nadzwyczajnego, ale dla mnie to zupełnie niesamowite. Nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego.

- Doprawdy? - James patrzył na jej zarumienioną twarz i błyszczące oczy. - A ja widziałem, Sereno.

Lady Winterset z uśmiechem wzięła Tony'ego za rękę.

- Tony jest już równie wysoki, jak ja. Chodź, chłopcze. Mam ci tyle do powiedzenia, a jestem pewna, że i Pandora bardzo się za tobą stęskniła.

Serena znalazła się sam na sam z Jamesem.

- Czy doszłaś już do siebie po wydarzeniach w Epsom? Chyba niepotrzebnie pytam, przecież widzę, że tak. - Poprowadził Serenę do salonu. Tam oboje podeszli do okna i wpatrywali się w spadające z nieba płatki śniegu.

- Sereno...

-James...

Jednocześnie się odezwali i jednocześnie przeprosili, po czym oboje się roześmieli.

- Co chciałeś powiedzieć? - zapytała po chwili.

- To, że chyba naprawdę jest już po wszystkim. Możemy zapomnieć o całej tej okropnej historii. Alanna i mój brat nie żyją.

- Podobnie jak Richard.

- Podobnie jak Richard. Tony Stannard odziedziczył majątek Calvertów. Być może kiedy pozna prawdę, zechce zmienić nazwisko, i wtedy znowu Calvertowie staną się właścicielami Anse Chatelet.

- Nazwisko nie jest aż tak ważne. Wątpię, żeby Calvertowie zasłużyli na jakieś szczególne względy.

- Przynajmniej jeden Calvert zasługuje na moje specjalne względy, Sereno.

Znów się zaczerwieniła i rzekła pośpiesznie:

- Co jeszcze chciałeś powiedzieć? Chyba nie skończyłeś.

Bawiło go jej zakłopotanie, ale spoważniał.

- Fergus O'Keefe też trafił do Irlandii - powiedział. - *Ma zostać powieszony za morderstwo, które tam popełnił.*

Zadrżała, a on objął ją ramieniem.

- Zasłużył na to, moja droga. Zabiłbym go, gdybym zdołał, przecież wiesz. Nie myśl o nim. To szubrawiec. Gdyby był sądzony w tym kraju, zrobiłby, co w jego mocy, żeby zszargać twoje dobre imię. Na szczęście Amelia przyznała się do wszystkiego, twoja reputacja jest krystalicznie czysta. Wiesz o tym?

- Tak, Lucy mi powiedziała. - Serena odsunęła się od niego.

- Co mi przypomina, o czym muszę z tobą porozmawiać.

- Mogę sobie wyobrazić, cóż to takiego. Ale mów.

- Warnhamowie życzą sobie, by Michael jak najszybciej poślubił Lucy. Wracam do Londynu, James. Jest tyle rzeczy do przedyskutowania i do załatwienia.

- Przetrzymanywanie cię tutaj wbrew twojej woli z pewnością nie pomoże mi osiągnąć celu. Nie jest moim zamysłem odciąganie cię od innych obowiązków. Są teraz najważniejsze, ważniejsze od tego, czego ja pragnę.

Serena wpatrywała się w niego uważnie. Zawahała się i, lekko zarumieniona, oświadczyła.

- Nie są ważniejsze, James, tylko bardziej pilne. Nie mogę niczego postanowić, póki Lucy nie wyjdzie za mąż. Po to przyjechałam do Anglii i tego muszę dopilnować.

Uśmiechnął się nagle tym swoim cudownym, radosnym uśmiechem.

- A zatem dopilnuj tego, a jeśli mógłbym być w czymś pomocy, daj mi znać. Do dzieła, Sereno! Mamy sporo roboty!

Niespełna tydzień później Serena zjawiła się w stolicy. Londyn był nieco bardziej wyludniony niż podczas sezonu, ale pozostało w nim wystarczająco wiele osób z towarzystwa, by panna Calvert poczuła, jak wielką radość sprawił im jej powrót. Choć James starał się zachować dyskrecję, często był widywany na Dover Street, rzekomo z wizytą u hrabiny.

Dwa dni przed ślubem Warnhamowie wydali przyjęcie. Hrabina wyjechała do Ambourne i nie było jej od niemal tygodnia, w związku z czym James właściwie przestał bywać na Dover Street. Od kilku dni nie widział Sereny i odkrył, że nieznośnie brakuje mu jej towarzystwa. Dotychczas publicznie udawało mu się traktować ją z chłodną obojętnością, ograniczał się do dwóch tańców, na co zezwalały przyjęte zasady, w związku z czym nie wzbudzali podejrzeń. Teraz jednak cierpiał męki zazdrości. Gdyby otaczający Serenę dżentelmeni wiedzieli, co chodzi mu po głowie, z całą pewnością czmychnęliby do swoich domów na wsi i tam się zaszyli. Choć James liczył każdy taniec innych mężczyzn z Sereną i sekundy, które spędzali w jej towarzystwie, nie tracił zimnej krwi.

Dziś jednak było inaczej. Nagle odkrył, że nie jest w stanie

dłużej tolerować tego, że zabierają czas jego ukochanej. Kiedy właśnie zaczynała walczyć z panem Yardleyem, James bezceremonialnie wszedł między nich i porwał ją na drugi koniec sali, nim pan Yardley zdołał dobiec do siebie na tyle, żeby zaprotestować.

- To było bardzo niegrzeczne, lordzie Wintersett! - wykrzyknęła Serena.

- Panno Calvert, ostatnio aż nazbyt długo przyglądałem się, jak czaruje pani rozmaitych idiotów. Mam dość i dłużej nie zamierzam cierpieć. - Skłonił głowę i zręcznie pokierował ją ku niedużej oszklonej werandzie przy sali balowej w domu Warnhamów.

- O nie! - oświadczyła z determinacją w głosie. - Już raz znalazłam się z panem w zimowym ogrodzie, lordzie Wintersett, i nie zamierzam powtarzać tego doświadczenia. Natychmiast proszę mnie odprowadzić do sali balowej!

- Jeszcze tylko chwila w twoim towarzystwie. Obiecuję, że będę zachowywał się przyzwoicie.

- Proszę zwracać się do mnie „panno Calvert”, kiedy nie jesteśmy sami. Poza tym wyprowadzanie mnie do prywatnych pomieszczeń nie ma nic wspólnego z przyzwoitym zachowaniem.

- Ogród zimowy to nie są prywatne pomieszczenia, Ser... Panno Calvert.

- Proszę mnie przepuścić!

Była nieubłagana. Gdy usiłowała go odepchnąć, James wybuchnął śmiechem i porwał ją w ramiona. Popatrzył w jej miotające błyskawice złociste oczy, po czym ją pocałował. Przez chwilę się opierała, po czym nagle ustąpiła i odwzajemniła pocałunek. Nagle jednak z całej siły odepchnęła Jamesa.

- Przyzwoite zachowanie, a niech mnie! Nie pozwalam na to! - wykrzyknęła i wymierzyła mu siarczysty policzek. Oboje jednocześnie przypomnieli sobie, co zdarzyło się poprzednio przy podobnej okazji. Serena szeroko otworzyła oczy i cofnęła się o krok. - Nie chciałam, lordzie Winterset. Błagam, proszę mi wybaczyć!

James był raczej rozbawiony niż zły. Kto mógł przewidzieć, co Serena Calvert zrobi w następnej chwili? Czy ona sama to wiedziała? Zaczął się śmiać, a kiedy popatrzyła na niego ze zdumieniem, rozbawił się jeszcze bardziej. Obrabiona Serena wyszła z ogrodu zimowego z wysoko podniesioną głową.

Goście Warnhamów byli zaintrygowani wściekłą miną zarumienionej panny Calvert, która wyłoniła się z zimowego ogrodu. Lord Winterset szedł tuż za nią, śmiejąc się w głos. Pan Yardley wykazał się prawdziwym bohaterstwem i zaproponował Serenie, że stanie w jej obronie.

- Nie zadzieraj z nią, Yardley. Ona nie potrzebuje twojej pomocy. Da sobie z tobą radę i na pistolety, i na gołe pięści, zapewniam się - oświadczył James, wciąż się śmiejąc.

Serena doszła do wniosku, że powinna interweniować.

- Dziękuję, panie Yardley, ale uważam, że chyba lepiej zignorować kiepskie żarty lorda Wintersetta. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. - Popatrzyła zimno na Jamesa.

W końcu zdołał dojść do siebie i przeprosił ją, a ona przyjęła przeprosiny. Później, tego samego wieczoru, podczas tańców ludowych, gdy znowu znaleźli się twarzą w twarz, James oświadczył z błyskiem w oku.

- Mimo to... panno Calvert... Nigdy nie zapomnę tego, co pani zrobiła mi dziś wieczorem.

- Phi - odparła, świadoma, że nie będzie żądał publicznej satysfakcji.

Hrabina zjawiła się na Dover Street nazajutrz. Postanowiono, że wesele odbędzie się w rezydencji pani Galveston przy Portman Square. Naturalnie wszyscy Ambourne'owie zostali zaproszeni, jednak niedawne narodziny najmłodszego członka rodu sprawiły, że rodzice dziewczynki nie mogli być obecni na ceremonii ślubnej, wysyłali zatem tylko serdeczne życzenia oraz prezenty.

Hrabina spędziła bardzo pracowity dzień, ale zarezerwowała sobie trochę czasu na spokojną wieczorną pogawędkę z Sereną. Gdy już opisała maleństwo i bardzo serdecznie wyraziła się o Lucy, zapytała nagle:

- Kiedy ty i James ogłosiscie zaręczyny?

Serena omal nie upuściła filiżanki z gorącą czekoladą.

- Ja... Bardzo przepraszam, o co pani spytała, lady Ambourne?

- Nie zwlekajcie zbyt długo. Cały Londyn spekuluje na temat tego, co wydarzyło się w zimowym ogrodzie Warnhamów. Mówi się, o czym wspominać nie bez satysfakcji, że James znalazł wreszcie kobietę godną siebie.

- Ale James, to znaczy lord Wintersett, nigdy nie proponował mi małżeństwa. Zresztą pewnie i tak bym go nie przyjęła.

- Chyba nie mówisz poważnie? Ty i James jesteście dla siebie stworzeni.

- Szczerze w to wątpię. Lord Wintersett bywa czarujący, przyznam nawet, że podobamy się sobie, bez wątpienia. Mimo to bywa też nieludzki, a ja nie mogłabym z tym żyć. Mówiłam mu to zresztą.

- A więc poruszył ten temat.
- Nie wprost. - Serena zaczerwieniła się z zakłopotaniem.
- Słyszałam o twoich wyczynach w Epsom. To więcej, niż można oczekiwać nawet od przyjaciela. Chcę, żebyś na mnie popatrzyła i powiedziała mi bez zmrużenia oka, że nie kochasz Jamesa.

Serena uniosła głowę i zaczęła mówić, ale nie mogła dokończyć zdania. W końcu zamilkła.

- Widzisz? Na dobre i na złe kochasz tego potwora. Chcę, żebyś zapomniała o wszystkich jego występkach i posłuchała tego, co ja mam ci do powiedzenia na temat Jamesa Stannarda.
- Hrabina mówiła tak władcym tonem, że Serena nie mogła się jej sprzeciwić. - James nie jest łatwym człowiekiem. Ma mało cierpliwości do naciągaczy, łobuzów czy głupców, i nie kryje pogardy. Dlatego nie jest zbyt popularny w Londynie, gdzie roi się od tego typu ludzi.

- Sama odczułam jego pogardę, lady Ambourne. Mam wierzyć, że i ja jestem taką osobą?

- Sereno, robisz uniki. Doskonale zdajesz sobie sprawę, że okoliczności, w których się poznaliście, były wyjątkowe. I że gwałtowna reakcja Jamesa na ciebie i twoją rodzinę wzięła się z najbardziej szlachetnych pobudek - miłości i przywiązania do własnej rodziny. Gdyż, mimo że James był samotnym i niekochanym chłopcem, a ojciec traktował go jak maminsynka i tchórza, jeśli chłopiec okazał choć cień strachu, mimo że pół Londynu podlizuje mu się ze względu na majątek, James jest niesłychanie lojalny wobec tych, których kocha. Trudno się do niego zbliżyć, jest bardzo nieufny, ale kiedy już uzna cię za przyjaciela, zrobi dla ciebie wszystko. A jeśli się zakocha - śmiem twierdzić, że to już się stało - będzie robił wszystko, by zadowolić ukochaną

osobę, i będzie zupełnie bezbronny. Zaklinam cię, Sereno, nie odtrącaj pochopnie takiego mężczyzny. Być może w ten sposób odrzucisz szansę na szczęście. No dobrze, dość już tego. - Lady Ambourne odetchnęła i dodała zupełnie innym tonem: - Powiedz mi, proszę, gdzie Lucy chce zamieszkać po ślubie.

Rozmawiały jeszcze trochę, ale Serena bardzo chciała już zakończyć spotkanie. Wiedziała, że musi zobaczyć się z Lucy, a potrzebowała trochę czasu na przemyślenia.

Ze względu na zamieszanie przed ślubem nie miała zbyt wiele okazji do rozmowy z ukochaną bratanicą. Choć zdawała sobie sprawę, że nie powinna się przejmować, bardzo chciała upewnić się, że Lucy cieszy perspektywa dzielenia życia z Michałem Warnhamem i zamieszkania w Anglii.

Lucy nie żywiła wątpliwości i była całkowicie pewna, że właśnie tego pragnie.

- Wszyscy, których kocham najbardziej, będą tutaj, w Anglii. Dlaczego nie miałabym być szczęśliwa?

- Wszyscy?

- Sasha, przestań udawać. Może jestem młoda, ale nie głupia. Lord Winterset zwrócił ci Anse Chatelet, ale nigdy już tam nie zamieszkas.

Serena chciała jej powiedzieć, że Anse Chatelet nie należy już do niej, ale chwilowo był to sekret Tony'ego, zapytała więc tylko:

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Sasho, będziesz mieszkała w Winterset Court - wszyscy to wiedzą! Lubię lorda Wintersetta. Był bardzo miły dla mnie i Michaela.

Serena na próżno usiłowała odwieść Lucy od przekonania, że lord Winterset cokolwiek dla niej znaczy.

- Znam cię, Sasho, i w ostatnich tygodnia stało się dla mnie jasne, że kochasz lorda Wintersetta. Nie ukryjesz tego przede mną, ale nic się nie martw. Nikomu nic nie powiem - może tylko Michaelowi. Zresztą cały świat widzi, że lord Wintersett szaleje na twoim punkcie.

- Szaleje?

- To znaczy, chciałam powiedzieć, że lord Wintersett jest w tobie bardzo zakochany. Sasha, będę za tobą tęskniła. To znaczy zamierzam być szczęśliwa z Michaelem, ale będzie mi brakowało naszych wspólnych zabaw. Dziękuję ci, o najukochańsza z cioć, za te wszystkie wspólne lata. I mam nadzieję... Nie, jestem pewna, że któregoś dnia będziesz równie szczęśliwa, jak ja. Nie mogę doczekać się ślubu.

Ucałowały się serdecznie i Serena życzyła Lucy miłych snów. Sama jednak nie mogła zmrużyć oka. Najwyraźniej wszyscy uparli się przekonać ją, żeby życzliwiej traktowała Jamesa Stannarda. Ich zdaniem, był idealnym kandydatem na jej męża. Serena żałowała, że nie potrafi im uwierzyć. Co gorsza, była pewna, że wszyscy się mylą...

Rozdział piętnasty

Ślub Lucy okazał się wyjątkowo radosnym wydarzeniem. Było chłodno, lecz bardzo słonecznie, goście mieli doskonałe humory, a państwo młodzi wprost promienieli. Warnhamowie pokochali Lucy jak własną córkę i nie kryli radości, że znajdzie się ona w ich rodzinie. Serena pozbyła się ostatnich wątpliwości. Mimo że młoda para wyjechała w podróż poślubną na kontynent, uroczystości przy Portman Square nadal trwały. Lady Warnham, o wiele bystrzejsza, niż podejrzewała jej droga mama, zasugerowała wcześniej, że być może pani Galveston powinna zaprosić do Londynu lady Spurston. W rezultacie obie starsze panie doskonale się bawiły, spędzając cały czas na plotkach i wspominkach.

Hrabina Ambourne pierwsza zaczęła zbierać się do powrotu. Przybyła na ślub Lucy, ale śpieszno jej było do Ambourne i rodziny. Mimo to jeszcze przed odjazdem zamieniła kilka słów z Sereną.

- Lucy wyglądała przepięknie. Jestem pewna, że będzie szczęśliwa. Nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę ciebie w ślubnym stroju - dodała dama z błyskiem w oku. - Och, wybacz, kochana. Znowu się wtrącam. Nie potrafię jednak siedzieć ci-

cho, gdy ludzie stworzeni dla siebie odwracają się plecami do szczęścia. Bądź miła dla Jamesa, a z pewnością tego nie pożałujesz. I przyjeźdź jak najszybciej do Ambourne.

Serena zaczęła rozglądać się za ciotką. Następnego dnia miały opuścić Londyn i wrócić do Surrey, więc chciała się upewnić, że starsza pani nie będzie zbyt zmęczona. Okazało się jednak, że lady Spurston drzemie w prywatnym saloniku pani Galveston. Serena nie miała serca jej budzić. Powędrowała zatem do biblioteki, zadowolona, że ucieknie od biesiadników i trochę odpocznie.

James ją tam znalazł. Wszedł do biblioteki i starannie zamknął za sobą drzwi, po czym znieruchomiał i przyglądał się jej tylko.

- Wydajesz się zmęczona Sereno - zauważył w końcu. - A może smutna? Myślisz o Lucy?

- Dlaczego miałabym się tym smucić?

- Nie sugeruję, że żywisz wątpliwości. Nikt, kto ją widział z Michaeliem Warnhamem, nie mógłby ich mieć. Jednak byliście sobie bardzo bliskie; nic dziwnego, że przepełnia cię poczucie straty.

Oczy Sereny napełniły się łzami. Podczas przygotowań do ślubu nikt inny o tym nie pomyślał, nawet sama Lucy. James, wyzywając się w duchu od bezmyślnych głupców, podszedł bliżej i usiadł obok niej, po czym ujął jej dłonie.

- Sereno, nie! - zawołał, kiedy łza spadła mu na dłoń i wyciągnął chusteczkę. - Nie masz pojęcia, co czuję, gdy widzę, jak płaczesz. Pozwól, osuszę ci policzki. Nie możemy przecież rujnować mitu nieugiętej panny Calvert.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się przez łzy, po czym rozszochała się jeszcze bardziej. James przytulił ją do siebie,

szepecząc słowa pociechy, aż w końcu się uspokoiła. Uśmiechnęła się przepraszająco i delikatnie wyśliznęła z jego objęć.

- Dziękuję - szepnęła. - Wybacz mi.

- Cóż takiego? To, że mówisz mi, co ci doskwiera? Uważam to za przywilej. Dzięki temu nabieram nadziei, że pewnego dnia zgodzisz się powiedzieć mi coś więcej, znacznie więcej. Och, Sereno, nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję tego, co zdarzyło się w przeszłości... Wybaczyłaś mi, lecz przeszłość wciąż nas dzieli. Gdyby nie ona, pomógłbym ci zapomnieć o utracie Lucy i innych nieszczęściach. Wiem, że potrafiłbym nauczyć twoje ciało, by mnie pokochało - przekonuję się o tym przy każdym pocałunku. Ale ja pragnę czegoś znacznie więcej! Chcę twojego umysłu, ducha, jakkolwiek to nazwiesz. Nigdy nie przestanę marzyć o twojej bliskości.

- James, to nie przeszłość nas dzieli, tylko twój brak... - Nie potrafiła dokończyć zdania.

Nagle w jej umyśle rozbłyły obrazy: James zabiera nieznanego chłopca na przejażdżkę, aby poprawić mu nastrój w dniu urodzin; James w parku, choć nie ma powodu, by ufać Sashy Calvert ani jej lubić, wyczuwa jej samotność i decyduje się pojechać z nią na przejażdżkę; James pociesza morderczynię swojego brata i patrzy ze smutkiem na jej śmierć; James zadaje sobie trud, aby poznać syna Alanny. W końcu wszystkie te wizje skupiły się na jednej, znajomej, ukochanej twarzy. Uśmiechnęła się, a jej cudowne oczy pojaśniały, gdy wypowiedziała tylko jedno słowo:

-James...

Drzwi do biblioteki otworzyły się i na progu stanęła pani Galveston.

- Ach, lord Winterset - zaczęła. - Proszę, proszę. Och, Serena! Wybacz, w pierwszej chwili cię nie zauważyłam. Właś-

nie przygotowujemy stół do wista, aby zapewnić dżentelmenom rozrywkę. Czy ma pan ochotę zagrać, lordzie Wintersett? Sereno, najmocniej przepraszam, ale nie powinnaś przebywać sam na sam z mężczyzną. Rozumiem, że bawimy się dzisiaj na weselu, niemniej...

- Z radością się przyłączę, pani Galveston - odparł James pośpiesznie. - Panna Calvert uskarża się na ból głowy, więc na pewno chętnie zostanie sama, aby skorzystać z chwili spokoju. Czy zobaczymy się jeszcze, nim powróci pani do Surrey? - spytał Serenę.

Pod czujnym okiem pani Galveston Serena mogła tylko wymamrotać, że niestety, wyjeżdża już jutro. Gdy jednak James wychodził z biblioteki, spytała od niechcienia:

- Lordzie Wintersett, czy zamierza pan na długo pozostać w Londynie?

- Raczej nie. Ostatnio sporo przebywałem poza domem i mama zaczęła się uskarżać, że nigdy mnie nie widuje.

Serena się zawahała.

- Mój młody przyjaciel, skądinąd znany panu William, pytał o pana - zauważyła cicho. - Może będzie pan miał ochotę spotkać się z nim po powrocie do Surrey?

Mężczyzna, stojący przy zgrabnej gniadej kłaczy, uważnie patrzył przed siebie. Słyszając stukot kopyt, odwrócił się i ujrzał roześmianą, rozpromienioną kobietę, która jechała mu na spotkanie. Zatrzymała konia tuż obok. Mężczyzna podszedł bliżej i wyciągnął ku niej rękę, aby pomóc jej zejść. Zeskoczyła sprawnie, lecz choć stała już mocno na ziemi, on nadal ją obejmował.

- Zakładałem, że możesz przyjechać w chłopięcym przebraniu.

- Kusiło mnie, ale uznałam to za zbyt niebezpieczne. Ludzie mogą przeżyć lekki wstrząs, widząc mnie w zwykłym stroju, ale gdybym włożyła rzeczy Williama, doświadczyłoby szoku. Poza tym nie jestem sama, stajenny czeka u stóp wzgórza.

- Postąpiłaś słusznie. Wydawało mi się jednak, że to William chciał ze mną rozmawiać.

- Nie, James. Przybyłam jako Serena, Sasha i William w jednej osobie. Wszyscy troje chcielibyśmy ci coś powiedzieć właśnie tutaj, na wzgórzu, na którym się poznaliśmy.

- I cóż to takiego, moja ty miłości, zmoro i drogi przyjacielu?

- My wszyscy... - Serena się zawahała, ale w końcu wyznała: - Kocham cię, James, i ufam ci bezgranicznie i na zawsze.

James nie wytrzymał. Z jego gardła wydarł się głośny okrzyk radości. Rozanielony chwycił Serenę i unióśł ją wysoko w powietrze. Konie poruszyły się niespokojnie.

- Douce i Trask są zbulwersowane - zauważyła ze śmiechem. - James, odstaw mnie natychmiast, zanim uciekną od tak niegodnej szacunku pary.

James postawił ją na ziemi, lecz przytrzymał jej dłonie.

- Wobec tego ja też będę wobec ciebie szczerzy. Sereno, wyjdiesz za mnie? Chcę cię mieć teraz i na zawsze tylko dla siebie. Jeśli zostaniesz moją żoną, będę cię kochał i wielbił, póki śmierć nas nie rozłączy, przysięgam. Weźmiesz ze mną ślub?

Uśmiechnęła się.

- Och tak, James, tak! - odparła, patrząc mu w oczy.

Ucałował jej dłoń, potem drugą, po czym podprowadził ją na skraj urwiska i przytulił. Oboje zapatrzili się na krajobraz łąciaty od pól i łąk.

- Wydawałoby się, że minęły wieki od naszego pierwszego spotkania, tutaj, na tym wzgórzu - zauważyła rozmarzona.

- To prawda - przyznał.
- Coś mi przyszło do głowy...
- Co takiego, ukochana?
- Jeśli obiecuję, że będę wzorową żoną przez resztę roku, czy zechcesz zabrać mnie na tydzień do jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie ponownie będę mogła być Williamem? Chciałabym czasem ubrać się i jeździć konno jak on.
- Mogę cię wywieźć na odludzie nawet na dwa tygodnie
- zobowiązał się James wielkodusznie. - Pod warunkiem, że o zmroku ponownie przeobrazisz się w Serenę.
- Umowa stoi. A teraz powinnam wracać, aby powiedzieć cioci Spurston o naszych zaręczynach. Wybierzesz się ze mną? Będzie zachwycona, zobaczysz.
- Sądziłem, że nie jestem przez nią mile widziany.
- Przekonam ją do ciebie.

Rychły ślub panny Calvert i lorda Wintersetta nikogo nie zaskoczył, a zachwycił wszystkich, którzy dobrze życzyli nowożeńcom. Po powrocie do Londynu Lucy niejednokrotnie się uskarżała, że nie widuje się z ciocią i wujem tak często, jak by oczekiwała, gdyż większość czasu spędzają w Wintersett Court. Kilka razy zabierali też bratanka na St Just do czasu, gdy przyjście na świat Edwarda Anthony'ego Stannarda utrudniło szczęśliwym rodzicom wojaże. Raz w roku oboje znikali na dwa tygodnie i nikt nigdy się nie dowiedział, gdzie się wtedy ukrywają.